ORZEŁ BIAŁY (White Eagle) & SYRENA 9/16 août 1962 — Price-Prix 1/3, NF 0.75, $0.20

SYRENA

ROK XXII
PARYŻ—LONDYN

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

Nr 32/3 (1048/9) Czwartek, 9/16 sierpnia 1962

B.D.I.C

BIBLIOTHÈQUE DE LA GUERRE MUSÉE

JAN BIELATOWICZ

DRUGI POMNIK 15 PUŁKU ULANÓW POZNAŃSKICH

KTO zna Poznań, widział tam niewątpliwie na tle barokowych murów kościoła franciszkanów, w załamaniu ulicy Ludgardy jeden z najpiękniejszych pomników, jakie istniały w Polsce. Miasto postawiło go swoim synom: 15 pułkowi ułanów poznańskich. Obecnie pułk otrzymał drugi pomnik, symboliczny dla czasu kiedy większość żołnierzy pułku znalazła się nie na swojej ziemi, lecz gdy zastępują ją słowo i tradycja ojczysta. Otrzymał wielką księgę swych dziejów, w opracowaniu zbiorowym piętnastaków, pod redakcją Pawła Zaremby, liczącą pół tysiąca stron*). Trudno o piękniejszą pamiątkę formacji historycznej i zarazem żywego ciągle w jego żołnierzach oddziału wojskowego, który pozostał na obczyźnie, aby strzec znicza wolności. Dzieje 15 pułku ułanów poznańskich pokazują, że „znicz wolności" i „tradycja walki" to nie puste frazesy i górnolotne słowa, lecz siła zdolna nawet w najcięższym położeniu i nawet na krańcach świata zebrać Polaków do walki o zagrożony kraj ojczysty.

Ułani poznańscy urodzili się jako oddział bez żadnej mobilizacji, bez przygotowań i wyszkolenia i nawet bez własnego państwa. Pułk sformował się w kilka czy kilkanaście dni na ulicach Poznania, kiedy jeszcze słońce wolności nie świeciło nad całą Polską. Były to pamiętne dni powstania wielkopolskiego. Potem znowu pułk odrodził się z niczego i w najstraszniejszych warunkach: w Rosji Sowieckiej. A zdobywszy w kampanii włoskiej liczne wawrzyny i mocno się wykrwawiwszy, podobnie jak kiedyś w dniach śmiertelnego zagrożenia ze wschodu, mógł ze siebie wyłonić jeszcze pułk ułański: 25, tym razem z Polaków, których przemocą ubrano w mundur niemiecki. Polskie wojsko nieraz w dziejach rekrutowało najlepszych swych żołnierzy w armiach zaborców. W nich też szkoliło swoich świetnych dowódców.

Jeżeli pułk ułanów wielkopolskich, nazwany później poznańskimi, powstał w kilku dniach, zrywając się do walki z Niemcami, jeżeli przez dwa lata był na froncie sowieckim najtwardszą polską pięścią, jeżeli osłaniał w doskonałym porządku odwrót do Wisły i w ciągu paru dni później mógł ruszyć do brawurowej ofensywy i zapuścić się aż poza Mińsk, jeżeli w kampanii wrześniowej nierozbity wyszedł po chlubnych i krwawych bojach z kotła pod Kutnem, jeżeli potem odrodził się z więźniów i zesłańców w Rosji, jeżeli odnosił zwycięstwa na ziemi włoskiej, zmieniając kolejno swój charakter z jednostki zmotoryzowanej, a nawet pieszej, przez lekkopancerną, aż po pułk czołgów czołowy do tego i wzorcowy w pancernej brygadzie nazwanej od jego imienia wielkopolską, jeżeli nadto wyłonił z siebie opancerzony pułk rozpoznawczy, dlaczego by jego żołnierze mieli tracić nadzieję, że wrócą kiedyś do rodzinnego Poznania, że odkopią sztandar pułkowy z ziemi i oddadzą cześć swoim poległym pod pomnikiem przy kościele franciszkanów?

„Dzieje 15 pułku ułanów poznańskich" łączą nadzwyczaj udatnie walory ideowe, rzec by można, katechizmu żołnierskiego, z rzetelną pracą wojskowo-historyczną. Wśród licznych opracowań pamiątkowych naszych jednostek bojowych monografia ułanów poznańskich odznacza się powagą ujęcia tematu i poziomem autentycznego dziejopisarstwa. Budzi podziw dla swej bezstronności, skromności, właściwych proporcji i ocen a przede wszystkim dla formy obiektywnego sprawozdania z czynów bojowych, nie podlanych sosem frazeologii i retoryki. Trzeba to szczególnie mocno podkreślić, że na pięciuset stronach monografii ułańskiej nie użyto ani raz wyrazu „husaria" czy „rycerze". Ta poznańska robota

(Dokończenie na str 8)

*) DZIEJE 15 PUŁKU ULANÓW POZNAŃSKICH (1 PUŁKU ULANÓW WIELKOPOLSKICH). Opracowanie zbiorowe pod redakcją Pawła Zaremby. Nakładem Koła Ułanów Poznańskich. Londyn 1962. Stron 504, w tekście 64 ilustracji, szkice i mapy. Okładka płócienna ze złoceniami.

PRZYPOMINAMY, ŻE NASTĘPNY NUMER ORŁA BIAŁEGO/SYRENY UKAŻE SIĘ PO DWUTYGODNIOWEJ PRZERWIE WAKACYJNEJ W DNIU 23 SIERPNIA B.R.

PODWÓJNY NUMER ORŁA BIAŁEGO obejmuje 16 SRTON

W NUMERZE:

Andrzej TOMICKI — Czy w ślady Stresemanna? — Z. BORYNICZ — Dalszy ciąg: Ze wspomnień ułańskich p.t.: „Wojenna matura i spokojny odcinek Sokul—Rożyszcze". Stefan WOJSTOMSKI — „Sybir bez przekleństw" (Gawęda Sybiraka). Mieczysław PASZKIEWICZ: Hexham: Na zapleczu muru Hadriana (z wędrówek po Anglii) — Czesław JEŚMAN: Naokoło świata — Teodozya LISIEWICZ: Coral (nowela) — PIERWSZY ODCINEK NOWEJ POWIEŚCI Stefana WOYCICKIEGO p.t.: „ZIEMIA PRZEZNACZONA". — Dodatek Zarządu Głównego SPK: Z ŻYCIA KOMBATANTÓW. — Nasze stałe dodatki: LEKKIM PIÓREM — POKRZYWY i PANI W DOMU I W ŚWIECIE.

NA DZIEŃ 15 SIERPNIA

Święto Żołnierza, rocznica wiekopomnej bitwy pod Warszawą, pozostaje dla nas zawsze źródłem głębokiej wiary i otuchy. Wspomnienie sierpnia 1920 roku przywodzi nam przed oczy wielkie zwycięstwo wojsk wskrzeszonej Rzeczypospolitej nad całą ówczesną potęgą bolszewicką, która po pokonaniu Polski chciała już wtedy podbić Europę. Stało się inaczej: naród polski, zjednoczony w największym wysiłku, pokonał najeźdźcę, ratując nie tylko niepodległość Polski, ale i wolność Europy. Dla żołnierza polskiego rocznica ta jest pamięcią chwały i triumfu, a dla wszystkich pokoleń polskich pozostanie przypomnieniem, że Polska nigdy nie pogodzi się z utratą wolności a w jej obronie wyłania z siebie siłę ducha, niedocenianą zazwyczaj przez wrogów.

Dzisiaj, po tylu latach obcego panowania w Polsce, najprzód okupacji niemieckiej a później panoszenia się agentury sowieckiej, naród polski w dalszym ciągu daje dowody niezwykłej siły ducha i przywiązania do wolności. Pomimo tak długiego czasu, pomimo wszelkich najpodstępniejszych środków zmierzających do zatrucia ducha prawdziwej wolności, cały świat wie dobrze, że w Polsce rządzi siła i przemoc obca a naród nigdy nie pogodził się z utratą wolności i niepodległości. Od bitwy warszawskiej 1920 roku wzrastają już zupełnie nowe pokolenia polskie, od młodości wychowane w niewoli, ale pomimo to najgoręcej wierne duchowi polskiemu i nienawidzące najeźdźcę ze wschodu.

Drodzy Koledzy: Żołnierze, Marynarze i Lotnicy. Ani przeciąg czasu, ani odległość od Kraju nie osłabią naszej woli pracy i walki dla sprawy Wolności Polski. Niech nam będzie otuchą i umocnieniem sierpniowa rocznica wielkiego zwycięstwa nad najeźdźcą bolszewickim. Pamiętajmy że i teraz, w innego rodzaju walce ducha, którą naród nasz prowadzi, oczy Kraju są na nas ciągle zwrócone jako na żołnierzy nieugięcie i wbrew wszystkim przeciwnościom walczącym o niepodległą Rzeczypospolitą.

Generał W. Anders

W sierpniu 1962.

TYDZIEŃ POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ

Odroczenie rokowań ze Wspólnym Rynkiem

ROKOWANIA prowadzone w Brukseli o wejście W. Brytanii do Wspólnego Rynku — odroczono do października. Nastąpiło to po długich, nocnych obradach pełnych wzajemnych wyrzutów i wśród wzrastającego zamętu. Spór toczył się dokoła zagadnienia zbytu produktów rolnych z Kanady, Nowej Zelandii i Australii. Wytwory rolne tych krajów sprzedawane są w W. Brytanii bez cła lub obciążone drobnymi opłatami.

Stanowisko to nie da się łatwo pogodzić z zasadą, obowiązującą w krajach Wspólnego Rynku. Przyjęły one postanowienie, że ich własne produkty będą miały uprzywilejowaną pozycję w granicach Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Z chwilą gdy Anglia do niej przystąpi będzie musiała ona zapewnić wolny import produktom rolnym, dajmy na to z Francji, nie zaś z Australii. Francja, która jest najbardziej zainteresowana w tej sprawie, zajmowała też w Brukseli — nieugięte stanowisko.

Delegat W. Brytanii p. Heath, doskonały zresztą negocjator, proponował, rozmaite rozwiązania kompromisowe. Uzyskał m.in. zgodę na uwzględnienie specjalnego położenia

(Dokończenie na str. 16)

DOŻYNKI PO PAZDZIERNIKU

PARYSKA MODA JESIENNA

Płaszczyk 3/4 z grubo dzianego jersey, noszony z paskiem lub bez. Sukienka w tym samym szarym kolorze. Kreacja — BESSART, Paris. (Copyright)

PRZEGLĄD SPORTOWY

Mimo ulewy i nieprzychylnej publiczności

POLACY WYGRALI Z ANGLIKAMI

108:104, POLKI PRZEGRAŁY 52:54

Jeszcze nigdy po żadnym spotkaniu lekkoatletycznym nie kupowałem z takim zainteresowaniem i niepokojem gazet angielskich, jak właśnie w niedzielę (5.8.) po pierwszym dniu międzypaństwowego meczu *Polska—W. Brytania i Północna Irlandia*. I wcale nie chodziło mi o wyniki, bo te notowałem sobie w czasie meczu. Chodziło o to w jaki sposób prasa brytyjska opisze incydent, który powstał w czasie wspaniałego biegu na 5.000 m między dwoma biegaczami polskimi: *Kazimierzem Zimnym* i *L. Boguszewiczem* a niemniej świetnym biegaczem angielskim, *Bruce Tulloh*. Ci którzy widzieli

(Dokończenie na str. 12)

FP 2156

ANDRZEJ TOMICKI

CZY W ŚLADY STRESEMANNA?

OSTATNIE tygodnie stoją pod znakiem wydarzenia niezmiernie doniosłego: odbytej w dniach 2-8 lipca b.r. podróży kanclerza Adenauera do Francji, zgotowanego mu tam uroczystego przyjęcia, komunikatu, wydanego w Paryżu dnia 5 lipca na temat tej wizyty oraz treści przemówień, wygłoszonych przy tej sposobności w rozmaitych miastach Francji przez generała de Gaulle i niemieckiego gościa.

W myśl tych wszystkich oświadczeń przekreślona została na zawsze nieprzyjaźń francusko-niemiecka. Wzajemna niebezpieczna rywalizacja, walki i wojny ustąpiły — jak się wyraził w Reims gen. de Gaulle, widzący wydarzenia polityczne zawsze w dalekich perspektywach historycznych — miejsca szczerej i trwałej współpracy „Germanów i Gallów"!

Nie będziemy dzisiaj szczegółowo rozpatrywali z szerszego, międzynarodowego punktu widzenia wytworzonego w ten sposób położenia. Stwierdźmy tylko, że znaczenie tego porozumienia jest niewątpliwie wielkie i może mieć duży wpływ na rozwój stosunków. I to tym bardziej, ponieważ jest ono wynikiem wytrwałej polityki obu stron, prowadzonej już od dłuższego czasu. i to zwłaszcza też przez stronę niemiecką. Kanclerz Adenauer spotykał się wprawdzie z rozmaitymi oporami w swoim własnym narodzie. Byli tacy, którzy zawsze jeszcze zezowali ku Rosji i bali się zbyt daleko idącego związania Niemiec z Zachodem. Tym razem jednak — jeżeli chodzi o porozumienie niemiecko-francuskie — opory te na ogół umilkły.

* * *

Obchodzi nas tu przede wszystkim pytanie, czy i jakie skutki porozumienie francusko-niemieckie wywrze na politykę Niemiec w stosunku do Polski.

Sięgając śladem gen. de Gaulle do historii, co prawda nie tak odległej, przypomnieć należy, że był już okres po pierwszej wojnie światowej, w którym Niemcy dążyły do wyrównania stosunków z Francją — ale między innymi z tym wyraźnym celem, ażeby przez usunięcie napięcia na zachodzie móc wywrzeć tym silniejszy nacisk na wschód — i to w kierunku rewizji granicy polsko-niemieckiej. Oczywiście, jak to głosiły, środkami pokojowymi. Czyż jednak słyszał ktoś kiedykolwiek — zwłaszcza dzisiaj, gdy bez względu na istotne zamiary obowiązują piękne i uspakajające słowa o miłości pokoju — jawną zapowiedź, że się zamierza zaprowadzić jakieś zmiany siłą? I to zwłaszcza wtedy, gdy się jej już — albo jeszcze — nie posiada?

Mamy na myśli politykę Gustawa Stresemanna po pierwszej wojnie światowej. Był to niewątpliwie najzręczniejszy i najzdolniejszy mąż stanu, jakiego Niemcy miały w okresie między dwoma wojnami. Współzałożyciel (w roku 1918) Niemieckiej Partii Ludowej („Deutsche Volkspartei"), która była dalszym ciągiem przedwojennej partii narodowo-liberalnej, inspirator i przyjaciel Ludendorffa, głosił on w czasie pierwszej wojny hasła daleko idących zaborów, między innymi też na Wschodzie.

Mając duże poczucie rzeczywistości, potrafił jednak Stresemann po wojnie wyciągnąć wnioski z przegranej. Zrozumiał on, że należy szukać pojednania z Zachodem a zwłaszcza z Francją, ażeby wydźwignąć Niemcy z upadku. W tym kierunku zmierzała polityka, którą prowadził jako kanclerz i minister spraw zagranicznych Republiki Weimarskiej od roku 1923 aż do swojej śmierci w roku 1929. Traktat w Locarno (1925) w którym zdołał przeprowadzić rozróżnienie granic zachodnich i wschodnich, rozmowy w Thoiry z Briandem (1926), wejście Niemiec do Ligi Narodów (1926) — były ważnymi etapami polityki porozumienia z państwami zachodnimi, a zwłaszcza też z Francją. Prowadził Stresemann tę politykę z wielką wytrwałością i zrecznością. Była to zresztą dla Niemiec jedyna polityka, mogąca je wydobyć ze skutków klęski.

Gdyby Stresemann dążył wyłącznie do wprowadzenia znowu Niemiec do rodziny narodów, do stopniowego uwolnienia ich od rzeczywiście ogromnego ciężaru odszkodowań wojennych, do pokojowego zniesienia na mocy układów okupacji Nadrenii, nie można by mu robić żadnego zarzutu. Każdy mąż stanu ma prawo i obowiązek służyć swojemu narodowi.

Ale to, co było w najwyższym stopniu niepokojące w jego polityce, to właśnie fakt, *że odpowiednikiem dążenia do porozumienia się z Francją było nieukrywane dążenie do rewizji granic na wschodzie.* Oczywiście, Stresemann był zbyt zręcznym politykiem i zbyt dokładnie zdawał sobie sprawę z ówczesnego stosunku sił, ażeby chcieć przeprowadzić tę rewizję siłą. Czasy, w których mógł głosić hasła zaborów jako cele wojenne skończyły się po klęsce Niemiec w roku 1918. „O ile chodzi o spodziewaną rewizję granic — stwierdził w wydanej w roku 1961 (Fischer-Bücherei) „Historii Niemieckiej 1919-1945" historyk niemiecki Golo Mann — zależało wszystko od metody. Stresemann był zbyt mądry, ażeby myśleć o innych metodach, niż pokojowe".

Stresemann umarł, mając zaledwie 52 lat, dnia 3 października 1929, nie doprowadziwszy do końca swoich zamiarów. Czy byłby pozostał wyłącznie przy „pokojowych" metodach w sprawie rewizji granic, gdyby Niemcy odzyskały dawną potęgę jeszcze za jego życia a porozumienie z Francją i Anglią zabezpieczyło go od zachodu? Nie wolno zapominać o jego aneksjonistycznej przeszłości.

Bo metody „pokojowe" w sprawie granic nie byłyby dały pożądanych przez Stresemanna wyników. Polska przeciwstawiłaby się rewizji *w każdym razie i w każdym położeniu*, jak tego zresztą później dowiodła. Ale Stresemann mógł żywić pewne nadzieje na ich skuteczność, opierając się na nastrojach, które Niemcy potrafiły wytworzyć między innymi we Francji. Nie wypowiadali się na ten temat otwarcie urzędowi francuscy dyplomaci, ale w Warszawie dobrze o tych nastrojach wiedziano. Piszący te słowa przekonał się zresztą o nich osobiście w rozmowach z niektórymi korespondentami pism francuskich w Berlinie w roku 1932, którzy mówili szczerzej, niż dyplomaci. Propaganda za rewizją granic wzmagała się w Niemczech w okresie rządów Stresemanna bardzo celowo.

Sytuacja zmieniła się, jeżeli chodzi o państwa zachodnie a zwłaszcza też o Francję, po dojściu do władzy Hitlera, chociaż dążenie do kompromisów nadal się rozwijało, jak się to najwyraźniej okazało w Monachium. Dyktator narodowo-socjalistyczny nie był jednak tak „mądry" jak Stresemann. Zmienił radykalnie „metody". Marszałek Piłsudski — zdając sobie doskonale sprawę z tego, co się dzieje — spróbował wyzyskać niepewną jeszcze na razie pozycję Hitlera, ażeby doprowadzić do rozcięcia węzła (sprawa Westerplatte). Ale nie został niestety przez państwa zachodnie poparty. Polska uzyskała jednak tyle, że Hitler przerażony postanowił na jakiś czas wstrzymać zbyt gwałtowne kroki, a nawet w słynnym układzie polsko-niemieckim o nieagresji (1934) zaprzestał na razie propagandy rewizyjnej.

Jednakże polityka Stresemanna leżała w gruzach, a sam Stresemann określony został przez narodowych socjalistów jako „kapitulant i zdrajca". Nowe „metody", które zastosował Hitler, polegały na użyciu siły. Jak wiadomo, napaść na Polskę doprowadziła do drugiej wojny światowej.

* * *

Po drugiej wojnie światowej Niemcy znalazły się w podobnym — a nawet gorszym — położeniu, co w roku 1918. Znalazł się jednak równie mądry, jak Stresemann, mąż stanu, który podjął jego politykę: Kanclerz Adenauer. Porozumienie z Francją jest dzisiaj faktem dokonanym. Niestety zupełnie tak samo, jak za czasów Stresemanna, zaczyna się w Niemczech wzmagać celowo akcja rewizyjna w sprawie granicy polsko-niemieckiej. Nasuwa się więc pytanie: czy Niemcy rzeczywiście uważają, że Stresemann tylko dlatego nie zdołał doprowadzić do rewizji granic, ponieważ umarł za rychło i ponieważ Hitler jego „metody" zarzucił, zastępując je metodami otwartych gwałtów? I czy są zdania, że tym razem będą mędrsi i kontynuując po 30-letniej przeszło przerwie politykę Stresemanna, osiągną cel?

Coraz silniejszy rozwój propagandy rewizjonistycznej w Niemczech budzić musi w tej sprawie wśród Polaków — i może nie tylko wśród nich — rosnące obawy. Zwracaliśmy na ten rozwój niejednokrotnie uwagę. Tym razem podkreślić musimy nowe niepokojące objawy. A mianowicie w Niemczech wystąpiono dzisiaj *urzędowo* przeciwko rodzącym się w trzeźwiejszych kołach niemieckich skłonnościom do uznania dzisiejszej granicy na Odrzei Nysie. Oto sekretarz stanu w bońskim ministerstwie dla wysiedleńców, uchodźców i poszkodowanych przez wojnę, Peter-Paul Nahm, ogłosił bezpośrednio przed wyjazdem Adenauera do Francji artykuł, w którym ni mniej ni więcej oświadczył, że „każde spotwarzanie („Diffamierung") myśli rewizyjnej jest sławieniem („Verherrlichung") dokonanego gwałtu i powokacją do nowego gwałtu"!!!

Pomijamy, że to moralne oburzenie na gwałty w ustach niemieckich ma dość osobliwy posmak. *Położenie dzisiejsze jest, jak wszyscy wiedzą, wyłącznie i całkowicie skutkiem i wynikiem niesłychanego gwałtu, który popełniły Niemcy.* O tym Niemcy dziwnie zapominają — bo po prostu nie chcą uznać skutków własnego postępowania.

Ale mniejsza o to — o inne stwierdzenie chodzi: Otóż najwyraźniej w świecie polityka rządu w Bonn nie poprzestaje już dzisiaj na jawnym popieraniu dążeń rewizyjnych i finansowaniu odnośnych manifestacji, ale usiłuje we własnym narodzie zdławić rodzący się w sprawie politki rewizyjnej sceptycyzm, nazywając krytykę tej polityki — „spotwarzaniem" i „sławieniem dokonanego gwałtu"!

To już jest dalszym krokiem w dotychczasowej polityce rządu w Bonn, dziwnie jednoczesnym z podróżą Adenauera do Francji. Czyżby rząd w Bonn uznał chwilę za stosowną, ażeby silniej natężyć politykę rewizyjną i w tym celu chciał usunąć w łonie własnego społeczeństwa istniejące przeszkody? Należałoby właściwie wyjaśnić w Paryżu, czy rząd i naród francuski, czy generał de Gaulle, który swego czasu niedwuznacznie wypowiedział się za uznaniem granicy na Odrze i Nysie, godzą się na tego rodzaju cele i wnioski, jakie, jak się okazuje, Bonn wyciąga z porozumienia francusko-niemieckiego? Bardzo to niebezpieczna droga.

KRONIKA WOJSKOWA

ROKOWANIA ROZBROJENIOWE, zerwane w czerwcu 1960, a wznowione 14 marca b.r. w znacznie powiększonym gronie, ślimaczą się nadal w Genewie, choć już 1 czerwca ich stan miał być zreferowany Organizacji Zjednoczonych Narodów. Wskutek zbojkotowania ich przez Francję rokowania te prowadzone są, jak wiadomo, przez delegatów 17 a nie 18 państw, jak przewidywano, mianowicie: Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Włoch i Kanady ze strony bloku zachodniego, Sowietów, Polski, Czechosłowacji, Rumunii i Bułgarii jako reprezentantów bloku komunistycznego, wreszcie ośmiu państw „niezaangażowanych", mianowicie Brazylii, Burmy, Egiptu, Etiopii, Indii, Meksyku, Nigerii i Szwecji, dopuszczonych do rokowań po raz pierwszy.

Delegacja Polski Ludowej składa się z wiceministra spraw zagranicznych i byłego naczelnego politruka wojska Naszkowskiego, profesora Lachsa, generała Bienia, komendanta Wyższej Szkoły Wojennej, i dra Blusztajna z Min. Spraw Zagr.

Choć podstawowe projekty Ameryki i Sowietów pod względem podziału na fazy wykonawcze nie różnią się diametralnie (amerykański przewiduje redukcję w trzech fazach), szanse dojścia do porozumienia są nadal więcej niż znikome, bo blok komunistyczny nie chce słyszeć o prawdziwej kontroli, nazywając ją „zalegalizowanym szpiegostwem". Nawet w dziedzinie kontroli broni niekonwencjonalnych, nie chce pójść na żadne ustępstwa, choć mocarstwa anglosaskie zredukowały już swoje żądania do ustanowienia zaledwie 19 posterunków kontrolnych na obszarze ZSRR i dokonywania, w razie potrzeby, na rok maksymalnie 12 do 20 „neutralnych" inspekcji z zewnątrz. Moskwa upiera się przy twierdzeniu, że sejsmograficzne i inne instrumenty pomiarowe i zaręczenia sygnatariuszy w zupełności zabezpieczają przed niespodziankami. Mając lepszy wywiad i daleko ściślejszą ochronę swoich tajemnic, może bez ryzyka dla siebie tak stawiać sprawę kontroli. Zachodzi obawa, że Ameryka pójdzie w tym punkcie na dalsze ustępstwa, byle ruszyć rokowania z martwego punktu. Decydujące narady w tej materii toczą się obecnie w Waszyngtonie z udziałem głównego delegata amerykańskiego Deana

Spośród delegatów państw „neutralnych" angażuje się coraz wyraźniej na rzecz stanowiska Sowietów delegat Indii, Lall, choć przedstawiciele Sowietów, Zorin i Czarapkin, od czasu do czasu sami je dezawuują, wycofując złożone już deklaracje i próbując zmienić protokoły obrad.

Dodać tu trzeba, że specjalna komisja trzech mocarstw atomowych, obradująca od 31.10.1958 nad zakazem przeprowadzania doświadczeń atomowych czy wodorowych, zawiesiła swoje czynności 30 stycznia b.r. po 353 plenarnych posiedzeniach! Jak wiadomo, Sowiety zerwały swoimi doświadczeniami związane z tymi rokowaniami ciche moratorium. Mimo to Zorin ośmielił się wystąpić 20 kwietnia na posiedzeniu komisji rozbrojenowej z wnioskiem, by podczas jej obrad Ameryka nie przeprowadzała swoich doświadczeń ani na Pacyfiku ani w Newadze.

Niezależnie od rokowań rozbrojeniowych toczą się w Genewie od 7 czerwca b.r. obrady 28 państw na temat współpracy w pokojowej eksploatacji kosmosu. Jak wiadomo, prezydent Kennedy zaproponował Sowietom ścisłą współpracę w tej dziedzinie, na co Chruszczow odpowiedział, że będzie ona możliwa dopiero po dojściu do układu rozbrojeniowego. Wniosek delegata Kanady, by zabronić wprowadzania broni jądrowych w kosmos, został przez Sowiety i Amerykę utrącony.

FRANCJA. Choć oficjalnie nie zarzucono planu wyprodukowania — razem z Wielką Brytanią i Niemcami — satelity europejskiego, przygotowuje się własnego satelitę „Diamond", który ma być rzekomo za 2 lub 3 lata wprowadzony w orbitę ziemi przy pomocy rakiety o 3 członach. Pierwszy z tych członów ma mieć paliwo płynne, pozostałe dwa mają mieć paliwo stałe.

Mimo niechętnego stanowiska Ameryki i oporów w izbie deputowanych gen. de Gaulle nie rezygnuje z tworzenia francuskiej „force de frappe", choć senat odrzucił preliminowane przez rząd kredyty na budowę wielkich zakładów nuklearnych w Pierrelatte. Podług oświadczenia szefa sztabu lotnictwa już w przyszłym roku lotnictwo ma otrzymać 50 bombowców „Mirage IV" wraz „z odpowiednim uzbrojeniem", t.zn. bombami atomowymi. Czy produkcja tych bomb z ładunkiem plutonium została już podjęta, nie wiadomo. Prototyp pierwszego samolotu francuskiego, zdolnego do pionowych startów i lądowań, zwany „Mirage III-VTO Balzac" rozpoczął próby. Wzbijanie prostopadłe odbywa się przy pomocy 8 odrzutowych silników.

Szef sztabu marynarki wojennej, admirał Cabannier, „zapewnił" ostatnio, że pierwszy francuski okręt podwodny o napędzie atomowym, wyposażony w 16 rakiet podobnych do amerykańskich „Polaris", będzie oddany do służby w 1969 roku. Jego załoga ma liczyć 135 oficerów i marynarzy a jego szybkość w zanurzeniu ma przekraczać 20 węzłów. Okręt ten będzie mógł zanurzać się na przeszło 900 stóp i pływać bez przerwy 90 dni — bez dodatkowego ładowania silników. W 1970 mają dojść dalsze okręty tego typu. Podług prezydenta Tunisu, Burgiby, doszło ostatecznie do porozumienia w sprawie Bizerty. Ta niezmiernie ważna baza francuska ma być rzekomo już w 1964 oddana Tunisowi.

Legię Cudzoziemską ewakuuje się z Algierii na Korsykę.

Kage

KRYTYKA „KRZYŻAKÓW" W WILNIE

Jeden z popularniejszych pisarzy litewskich, Witold Sirijos-Gira, nadesłał ostatnio do warszawskich „Argumentów" krytyczne uwagi na temat filmu polskiego „Krzyżacy". Twierdzi on, że w „filmie „Krzyżacy" momenty historyczne zostały wypaczone w sposób niedopuszczalny". Dotyczy to w szczególności Litwinów, przedstawionych jako „motłoch dzikusów"... wydających nieporadne i nieartykułowane dźwięki, chociaż wiadomo powszechnie, że „pieśni litewskie są jedne z najstarszych w Europie i to nie tylko w czasach, które pokazano na ekranie. Grubo wcześniej Litwini śpiewali i to śpiewali pięknie".

„Motłoch litewski" — pisze dalej Sirijos-Gira — ubrano w skóry niedźwiedzie wprost na gołe ciało. „Dowodzi to, że reżyser filmu, na który wydano miliony złotych, nie chciał nawet pojechać do Krakowa i spojrzeć na sarkofag Jagiełły jak wyglądali ówcześni wojownicy litewscy. Na sarkofagu widać, że są oni ubrani, jak przystało cywilizowanym ludziom owego czasu. W książce do nabożeństwa Zygmunta Starego również są pokazani wojownicy litewscy. Dodam przy tej okazji, że ówczesna Litwa eksportowała len i że nie tylko wyroby tekstylne stały w prastarej Litwie na wysokim poziomie, lecz i taka sztuka, jak np. haftowanie".

(FEC)

NA WYCZERPANIU

NAJNOWSZA HISTORIA POLITYCZNA POLSKI
(tom III-ci — 912 stron)
Władysława Pobóg-Malinowskiego

OSTATNIE egzemplarze w cenie 50/- do nabycia w GRYF PUBLICATIONS LTD., 171, Battersea Church Rd., London, S.W.11 i we wszystkich księgarniach polskich

B.D.I.C

Z. BORYNICZ

ZE WSPOMNIEŃ UŁAŃSKICH

WOJENNA MATURA I SPOKOJNY ODCINEK SOKUL-ROŻYSZCZE

PO podjeździe nad Styr, celem wysadzenia mostu pod Kopylem*) wróciliśmy do Powurska, gdzie postój nasz trwał jeszcze około tygodnia i skąd także inne plutony dywizjonu kolejno wykonywały rozmaite zadania w kierunku wschodnim po linię Styru.

Tymczasem była już druga połowa kwietnia, resztki śniegu poznikały i z każdym dniem cieplało, za czym i żyło się coraz weselej. Zimowy mróz i długie wieczory na kwaterach w zniszczonych, niemal opuszczonych wioskach, jak Powursk, przy jakichś kagankach zaledwie rozwidniających kąt izby czy stajnię, nie poprawiały humorów, zawsze trochę gorzkawych, póki ułańskie obowiązki prz rastały nasze rekruckie możliwości.

Teraz jednak nie tylko z wiosną przyszły łatwiejsze warunki życia, ale najgorsze początki służby wojskowej, które przypadły nam na mroźną zimę, mieliśmy za sobą. Wszystko zaczęło wyglądać łatwo i różowo. W Powursku, poznanym za pierwszej wyprawy na Maniewicze pod śniegiem i w ciężkim mrozie lutego, grzaliśmy się teraz za dnia na wiosennym słońcu i czyściliśmy konie przed stajniami, tu i ówdzie na nowo zamieszkałych, chłopskich zagród. Wywieziona gdzieś w latach wojny, czy przepłoszona, ludność ściągała już powoli z powrotem.

Także w Kowlu, dokąd Dywizjon na swoje zimowe kwatery tuż przed Wielkanocą, przypadającą pod koniec kwietnia, znowu zagościł, stanęliśmy w dobrych świątecznych nastrojach. Przyczyniła się do tego sensacyjna nowość, z entuzjazmem przez nas powitana: kantyna „Imki" czyli YMCA, którą zainstalowano w jakimś opuszczonym budynku naszego rejonu kowelskiego. Była otwarta kilka godzin dziennie i można było dostać kawy czy herbaty z jakimiś biszkoptami a przede wszystkim czekolady w tabliczkach, pięknie opakowanej i doskonałej, o co było wtedy bardzo trudno. Wszystko to po niskich, dostępnych dla szeregowych cenach, co miało dla nas zasadnicze znaczenie. Jedyna bowiem cukiernia Sokołowskiej, o której już dawniej wspominałem, miała wprawdzie dobre, ogromne ciastka i pączki, ale była okropnie droga. W kantynie prócz lady z tymi specjałami było też kilka kulawych stolików i krzeseł, przy których można było posiedzieć, pogadać i dożywić się. Tam też spędziliśmy najmilsze godziny wielkanocnych dni świątecznych roku 1919.

Z bliższego mi, koleżeńskiego grona niektórzy już ubyli, ranni lub chorzy do szpitali, albo odjechali do kadry w Krakowie czy na urlopy. K. Wolski, mój częsty rozmówca, dobry gawędziarz i śpiewak, odwołany został z frontu w związku z tragicznym faktem rozstrzelania jego brata Luka przez Ukraińców w Złoczowie, gdzie był internowany. S. Burzyński, „papinsynek", lubiący nawet przesadnie podkreślać swoją niechęć do wojskowych trudów, ale wesoły dowcipniś i dostojny I. Stojowski, dostali urlopy, z których nie rychło ich zobaczyliśmy z powrotem.

Najwięcej teraz czasu wolnego spędzałem z E. Pisulą, dobrze opowiadającym wojenne i romantyczne przygody, a śpiewającym chętnie piosenki, co w owych czasach bez radia, gramofonu czy dostępnego kina, było szczególnie cenne. Dalej z Kubą Lewadowskim, sceptykiem lekceważącym ideowo higienę, czy z Arkuszewskim synem przemysłowca spod Lublina, chłopcem zaradnym i znoszącym doskonale choć ze smutną miną trudy wojenne, dalej z Chądzyńskim, starszym trochę od nas królewiackim szlagonem o pogodnym usposobieniu i lekkiej skłonności do koloryzowania, którego wojsko „cieszyło", jak się zwykło mówić.

WYWYŻSZENIE PONIŻONYCH

Z nadejściem wiosny wojsko zresztą wszystkich nas zaczynało cieszyć, przy czym ja miałem wtedy szczególny, raczej cywilny powód do radości, ponieważ czekał mnie urlop na maturę. Poszedłem do wojska w jesieni 1918 z ósmej klasy gimnazjalnej i miałem teraz prawo do kilku tygodni na zdanie matury czyli egzaminu dojrzałości. Przed wyjazdem jeszcze do tego awansowano mnie na „starszego ułana", czyli dostałem jeden pasek na naramienniku, obszytym biało-czerwonym sznurkiem co było oznaką censusu wykształcenia, wyrażonego też w określeniu „jednoroczny ochotnik", który nam przysługiwał.

Był to mój pierwszy powrót z frontu do domu, więc byłem odpowiednio przejęty. Dostałem dokument podróży i w towarzystwie jeszcze jednego szczęśliwca, pod koniec kwietnia z małym tobołkiem rzeczy, normalnie mieszczących się w juczkach przy siodle, poszedłem późnym wieczorem na kowelski dworzec kolejowy, który znajdował się w środku miasta i był sporym budynkiem z wysokimi schodami, prowadzącymi na perony tej znacznej, węzłowej stacji. Jechać miałem wpierw do Krakowa, gdzie była część mojej rodziny a dopiero stamtąd do Lwowa, który zaledwie ostatnio uwolniony został z obręczy, otaczających go przez kilka miesięcy oddziałów ukraińskich.

W przedziałach trzeciej klasy było ciasno i na jej drewnianych ławkach — twardo i nie bardzo wygodnie, ale nam się wszystko podobało. Jechaliśmy do Krakowa chyba powyżej dwie doby przez Lublin, potem Dęblin, Radom i dalej jakoś okrężnie, może przez Częstochowę aż i Sosnowiec. Rodziny mojej o przyjeździe nie mogłem uprzedzić dokładnie, bo poczta regularnie ani szybko nie chodziła, więc nikogo nie było na krakowskim dworcu. Kiedy jednak przyjechałem wieczorem i doszedłem przez planty i popod Floriańską Bramę do hotelu Francuskiego, okazało się, że czeka na mnie kolacja w postaci szynki, kupowanej dla mnie od wielu dni codziennie przez Matkę, ku żartobliwej uciesze mojej młodszej siostry i dalszej rodziny.

Od powitania i tej szynki zaczęła się typowo urlopowa epoka wywyższenia i przywileju, którym darzyły rodziny, a także wszyscy inni, przybywających z frontu synów. Zamiast obsługiwać konia i siebie, miało się wszystkich na usługi; zamiast skąpego jadła i częstego głodu — obfitość, na jaką tylko mogła się zdobyć rodzina; zamiast niewygód i bardzo względnej higieny — kąpiel i czystą bieliznę, wreszcie — co najważniejsze — zamiast ciągłego krytycyzmu przełożonych o niedociągnięcia służbowe — powszechne uznanie i nawet jakby aureolę bohaterstwa. Nigdy mi też w życiu nie wydał się Kraków tak piękny, jak tej wiosny 1919 r. po przyjeździe z Kowla.

Za kilka dni wpadł do Krakowa ojciec który wówczas Lwowa z zasady nie opuszczał, na co mu też ważne obowiązki nie pozwalały. Przyjechał rano i oglądnąwszy mnie w kąpieli, pogryzionego przez wszy i bardzo zeszczuplałego, powiedział „nareszcie wyglądasz jak człowiek". Była to aluzja do schudnięcia, które przydało się naprawdę bo byłem przedtem od dziecka za gruby. Ojcowska serdeczność była zawsze celowym przeciwieństwem i zrównoważeniem nadmiernej czułości matczynej; służbę wojskową uważał za obowiązek zaszczytny a bardzo pożyteczny po zbyt miękkim wychowaniu domowym, które od naszego dzieciństwa bezskutecznie próbował stale zwalczać.

MIASTO RODZINNE I MATURA

Dni moje krakowskie skończyły się niedługo i pojechałem wpierw sam do prawdziwego domu, do Lwowa, gdzie miałem zdawać maturę i gdzie wkrótce mieliśmy się znaleźć wszyscy, całą rodziną tylko bez starszego brata, który z Tarnopola, zajętego jeszcze przez Ukraińców, zdołał się zjawić dopiero później i po moim urlopie. Przyjazd do rodzinnego Lwowa, od którego byłem daleko aż kilka miesięcy po raz pierwszy w życiu był nowym świętem urlopowej kariery. Tu miałem większość dalszej rodziny, kolegów i znajomych, tu jakieś pierwsze głupawe amory, tu nawet zdawało się, że przechodnie uliczni poznają. Honory rodzinne robiła mi teraz ciotka, u której mieszkałem na placu Mariackim przez kilka dni, zanim wróciła z Krakowa moja Matka, i znalazłem się w domu, przy Akademickiej. Wujostwo mieli dwu starszych synów w wojsku i ciotka zastosowała teraz do mnie swój urlopowy regulamin. Zaczynał się on od tego, że dostawało się gorącą czekoladę z żółtkiem, która wjeżdżała rano do pokoju z odpowiednimi dodatkami.

Matura nie okazała się przedsięwzięciem zbyt trudnym, ani wyczerpującym. Byłem dobrym uczniem i kazano i zdawać tylko historię, łacinę, literaturę i matematykę, uprzedzając z góry, że nie mam powodu psuć sobie urlopu nadmiernym przygotowywaniem się. Poduczyłem się więc jedynie trochę u innego wuja, inżyniera, analityki, bo „myślniki matematyczne" jak mawiał nasz dyrektor, nie były w moim mózgu dostatecznie rozwinięte. W rezultacie przy stole egzaminacyjnym, gdzie zjawiłem się w mundurze wojskowym, przyjęto mnie z manifestacyjną życzliwością, prawie z szacunkiem. Wszystko, nawet matematyka, wypadła dobrze, a Tacyta kilka zdań przeczytałem i tłumaczyłem jedynie wtedy właśnie, przy mojej wojennej maturze za życzliwą współpracą prof. S. Pilcha. Po egzaminie uściskał mnie nawet katecheta, z którym miałem przedtem konflikty na tle akcji ideowo-politycznej. Obdarzony czy obciążony społecznym zmysłem, prowadziłem ją już w gimnazjum, co się księdzu nie podobało i teraz chciał na tym krzyżyk położyć.

Reszta urlopu minęła piorunem i w połowie czerwca trzeba było wracać, domowe wygody i spokojne bezpieczeństwo zamienić znowu na wojskową służbę. Były to dwie odmienne rzeczywistości, których zestawienie pozwalało dopiero lepiej rozumieć albo raczej odczuwać prawdę życia. Rzeczywistość wojenna była twarda i ryzykowna, wymagała panowania nad sobą i wysiłku, ale pociągała, dawała głębsze zadowolenie. Świat idei politycznych, w który wprowadzały nas jeszcze w szkole tajne organizacje, leżał gdzieś między jedną rzeczywistością a drugą. Było to wzniosłe, ponadosobiste, ale zanadto oderwane, werbalne, bez dostatecznego związania z działalnością, w której znajdowało by pokrycie. Służba wojskowa zbliżała hasła do praktyki i z wysokości tego doświadczenia pobłażliwie jakby zacząłem traktować organizacyjną atmosferę. Na spacerach w Parku Stryjskim, po wuleckich wertepach czy przy kawie u Zalewskiego konfrontowaliśmy przyjaźnie nową przeżycia.

ZE LWOWA NAD STYR

Wracałem do Kowla już bezpośrednią drogą na Rawę Ruską, Chełm. Wyprawiony z bogatszym tobołkiem bielizny i zapasem jedzenia, żegnałem dom zwykłym rytuałem pożegnań, otrzymywanych błogosławieństw i przestróg matczynych, uściskiem ojca i siostry. Odwoziła mnie matka na dworzec kleparowski i ta droga powozem długą ulicą Janowską była epilogiem urlopowych luksusów. Pogoda ślicznego wieczoru czerwcowego łagodziła przykrość rozstania. W pustym przedziale na drewnianych, żółtych ławkach nieźle się jechało przez Brzuchowice, Żółkiew i dalej...

Z tej podróży i stawienia się w oddziele (bez opóźnienia, co uważałem zawsze za punkt honoru) pamiętam niektóre tylko szczegóły. W Chełmie, dokąd przyjechaliśmy rano, miałem kilka godzin czasu i mogłem wyjść na miasto. Po zameldowaniu się w szwadronie najważniejszy był fakt przydzielenia mi nowego konia. Był to niewielki ale silny i doskonale utrzymany kasztan, który nazywał się Rycerz. Stan nowego wierzchowca zawdzięczałem poprzednikowi, ułanowi Dutce, chłopcu wiejskiemu, który umiał dbać o konia, karmić go i czyścić. Teraz jechał on do domu, zdaje się wyreklamowany jako jedynak do gospodarstwa. Poduczony już czyszczenia, potrafiłem Rycerza utrzymać na oddziedziczonym poziomie.

Tuż po moim powrocie Dywizjon, który — po powrocie z wyprawy uwieńczonej zdobyciem Łucka — jakby czekał tylko na mnie, ruszył z Kowla i tym razem już na dobre pożegnaliśmy tamtejsze kwatery. Z drogi tej pamiętam tylko kilkogodzinny postój na ulicach Łucka, gorąco, cień drzew koło białego budynku kościelnego i lody z obwarzankami sprzedawane na wózkach, których prędko zabrakło. Potem, znowu kilka godzin przy koniach z popuszczanymi tylko popręgami przy st. Rożyszcze i przymarsz do Sokula, miasteczka nad Styrem, gdzie przyszło nam stać kilka tygodni bez walk ani strat.

Zakwaterowałem sam, w małej szopie przy koniu. Spałem na świeżo skoszonej trawie, której spory stożek mieścił się na środku stodoły, choć mi powiedziano, że to niezdrowo. Było ciepło, słoneczne lato i unikając izb chłopskich miało się szanse zachować czystość. Za Styrem był teren nieprzyjaciela, albo raczej niczyj i wolno było się kąpać w rzece, co często robiliśmy. Służba polegała na patrolach albo na utrzymaniu nocnego kontaktu między placówkami. Jechało się w pojedynkę kilka kilometrów i z powrotem, krętą drogą wzdłuż rzeki do osady w płd. kierunku na Rożyszcze. Z karabinkiem gotowym do strzału, wśród zagajników było czasem nieswojo i pędziło się konia dobrym kłusem.

Raz też, jako st. ułanowi zdarzyło mi się być dowódcą patrolu łącznikowego na stacji Rożyszcze. Służba trwała 24 godziny, spało się na stole w poczekalni, podczas gdy konie z dwoma ułanami kwaterowały obok budynku stacyjnego. W tym charakterze meldowałem się dowódcy frontu wołyńskiego gen. Listowskiemu, którego salonka stanęła w Rożyszczach. Był to szczupły, miły pan, średniego wzrostu który przyjął mnie uprzejmie i nie miał dla mnie żadnych rozkazów.

*) patrz Z. Borynicza: „Wysadzamy most na Styrze", Orzeł Biały/Syrena z dn. 14. 6. 1962

W KRUSZWICY NAJWIĘKSZA FABRYKA MARGARYNY

Radio Warszawa podało ostatnio, że budowa największej w Polsce wytwórni margaryny dobiega końca. Fabryka mieści się w Kruszwicy, woj. poznańskie. „Przystąpiono już do montażu maszyn w najważniejszych oddziałach produkcyjnych: margarynowni, maszynerii i utwardzalni". W połowie lipca b.r. oddany zostanie do użytku drugi dział surowcowy.

Według zapowiedzi radia warszawskiego wytwórnia margaryny w Kruszwicy rozpocznie produkcję w dniu 1 października b.r. Będzie ona produkować dziennie prawie pół miliona kostek margaryny mlecznej i deserowej.

(FEC)

Ukazała się nakładem „Kultury"
PAWŁA ZAREMBY
HISTORIA POLSKI
CZĘŚĆ I.
obejmująca okres od zarania Państwa do r. 1506 to jest doprowadzona do przełomu Średniowiecza i czasów nowożytnych.
„HISTORIA POLSKI" Pawła Zaremby jest próbą syntezy dziejów Polski na tle rozwoju politycznego, gospodarczego i kulturalnego Europy.
600 stron dużego formatu z indeksem.
Cena 30/-, $ 4.25 lub 20 NF.
Sprzedaje w W. Brytanii:
„GRYF"
171, BATTERSEA CHURCH RD.
LONDON, S.W.11.

KTO MA RACJĘ?

Wielce Szanowni Panowie,

Zwracam się do Panów o wezwanie naszych historyków o wytłumaczenie sprzeczności, jaka istnieje między prof. Konopczyńskim a Stanisławem Mackiewiczem w przedstawieniu przystąpienia króla Stanisława Augusta Poniatowskiego do Konfederacji Targowickiej.

Prof. Konopczyński przedstawia tę sprawę jak następuje: (Dzieje Polski Nowożytnej, Tom drugi str. 390, Londyn 1959, B. Świderski):

„23 lipca otrzymał (t.j. król, wyjaśnienie moje) wezwanie carowej, by zerwać z „rewolucją 3 Maja", jeżeli chce uniknąć najgorszych następstw. Zwołał wtedy posiedzenie Straży z udziałem osób, na których uległość mógł liczyć, i tak wymownie zalecił ugodę, t. zn. akces do Targowicy, że pociągnął za sobą większość z Kołłątajem".

Stanisław Mackiewicz (Stanisław August, str. 223, Gryf Publications Ltd., London 1953) natomiast opowiada:

„W tych warunkach król aby obronić jak mniemał Polskę od nowych rozbiorów, aby ocalić cokolwiek z Konstytucji 3 Maja wstępuje na sto czterdzieści siedem lat przed Petainem na drogę Petaina.

Na radzie zebranej dnia 23 lipca słucha przemówienia Hugona Kołłątaja: „... wszelka zwłoka pomnoży nieszczęścia. Dziś jeszcze Wasza Królewska Mość musisz przystąpić do Konfederacji Targowickiej, nie jutro .. każdy moment jest drogi".

Hugo Kołłątaj do Konfederacji Targowickiej przystąpił. Król także".

Jednym słowem, u Konopczyńskiego Król namawiał do przystąpienia do Konfederacji Targowickiej i Kołłątaja i innych, u Mackiewicza właściwie rzecz się miała odwrotnie: Kołłątaj namawiał Króla i namówił. Jak to było naprawdę?

Szanownej Redakcji i naszym Szanownym Historykom z góry za wyjaśnienie dziękuję.

Z wyrazami poważania

Dr Jerzy Paszkowski
Zürcherstrasse 32. St. Gallen
Szwajcaria

STEFAN W. WOJSTOMSKI

GAWĘDA SYBIRAKA

„SYBIR BEZ FRZEKLEŃSTW"

Gdy w marcu 1922 r. eszelon mój z b. żołnierzami Polskiej V-ej Dywizji Syberyjskiej poprzez Niegoreloje dojeżdżał do Zdołbunowa, gdy z otwartych drzwi „tiepłuszek" rozległy się dźwięki „Roty" na widok polskiego posterunku prezentującego broń — pozostawiałem za sobą cały realizm okrucieństwa i bezmyślności rosyjskiej rewolucji. Przed sobą miałem wizję „szklanych domów" Żeromskiego. Spełniła się wróżba głodnej cyganki z Samary z 1921 r., — z roku strasznego dla Powołża — roku głodu i cholery — gdy rozglądając się dokoła, powiedziała mi: „Ze wszystkich, których tu widzę przed sobą, ty jesteś najszczęśliwszy, ty dotrzesz tam, dokąd zmierzasz".

Dotarłem — ale nie zapomniałem o tych, co utknęli w półdrogi, o tych, z którymi razem walczyłem z przeciwnościami na bezmiarach wschodniej Rosji i Syberii, o tych, którym nie udało się wyrwać z tego piekielnego kotła. Poza mną pozostawało 2 miliony rodaków, marzących o powrocie. Oni w nas szczęściarzach widzieli ambasadorów własnej sprawy, łudzili się, że dopomożemy im do powrotu.

Sprawę tę traktowałem poważnie, ale możliwości nie miałem żadnych. W poszukiwaniu środowiska i ludzi, którzy by się tą sprawą zainteresowali zetknąłem się z modnymi w Warszawie „3-ma Muszkieterami" — podróżnikami: Fularskim, Lepeckim i Zarychtą. Drogi ich rozeszły się wkrótce, najwięcej z Lepeckim, który zrobił wszystko aby odbrązowić siebie w opinii Warszawy. A stało się to tak:

Mieczysław Bogdan Lepecki pisał i pisał. Aż wreszcie w 1935 r., gdy jak złośliwi mówili, — zabrakło mu tematu, — wymyślił Kireńsk i Tunkę. Zachciało mu się zwiedzić miejsca zesłania marszałka Piłsudskiego na Syberii, no i zebrać... materiały do następnej książki.

Podróżował nie długo, — nie krótko: kilka tygodni; nie ciupasem, jak niegdyś Marszałek, ani nie kibitką, ale wygodnym samolotem, no i popił sobie, i podjadł. Lepecki, doświadczony podróżnik, dobrze wiedział, że Syberia — to nie Brazylia. Owocowym sokiem żyć nie można. W każdym razie syt chwały wrócił do Warszawy z materiałami.

I znów zaczął pisać i wyprodukował „Sybir bez przekleństw". I tu bomba pękła. Na obwolucie „stojało kieby wół", że „to raj", że „narzeczeni spędzają swój miodowy miesiąc nad rzeką Leną". Można i tak. Ja już byłem żonaty, a gdybym nie był, — toteż chętnie odstąpiłbym swoją kolejkę Lepeckiemu, a nawet podarowałbym mu swoje zdarte „walonki", gdybym przechowywał je w swoim rodzinnym muzeum.

Ale żarty na stronę. Cwany, kalkulacyjny móżdżek trzeba mieć, aby martyrologię Piłsudskiego zamienić na „miodowy miesiąc narzeczonych nad Leną". Nie wypadało adiutantowi Piłsudskiego uderzać w ten ton.

Przeliczył się jednak: rozgłosu „tanią oryginalnością" dla siebie i książki nie zdobył, a bolszewickiej propagandzie wysługiwał się za miskę kawioru. Bolszewicy sami napewno nie spodziewali się takiej gratki.

W Warszawie ludzie za głowy się brali na ten wybryk Lepeckiego. Najbardziej wrzało w Związku Sybiraków. Koledzy, którzy już zdążyli przeczytać to „arcydzieło" nie znajdowali dostatecznych słów potępienia.

I rzeczywiście: pisać w Polsce o amazońskiej dżungli albo o Boliwarze jest bezpieczniej, niż o Syberii, bo kilka milionów Polaków w ciągu ostatnich dwustu lat, coś nie coś mogło o tej Syberii z własnego doświadczenia wiedzieć i powiedzieć.

Syberia miała, ma i długo jeszcze mieć będzie dwa oblicza: Syberii karnej, powstałej z zesłania, i Syberii dobrowolnych przybyszy-kolonizatorów. Ta pierwsza Syberia jest znacznie rozleglejsza i książeczka Lepeckiego nie mogła jej odebrać piętna „katorżnej". Obydwie Syberie znamy bardzo dobrze.

Ale Lepecki podtasował karty: miał pisać o zesłaniu Piłsudskiego, a wylądował na „miodowych miesiącach". Lepecki chciał świadomie „postaciami narzeczonych" zasłonić falangi następców Piłsudskiego, które nieprzerwanym strumieniem za carów, a w monstrualnych rozmiarach za czerwonego cara Stalina płynęły na Syberię.

Z zapałem godnym lepszej sprawy, Lepecki chciał nam wskazać, w nieudolny zresztą sposób, „Syberię inną". Czytelnik polski miał zapomnieć o rzeczywistości. A jakaż ona była dla nas ta rzeczywistość syberyjska za czasów wizyty Lepeckiego w 1935 r. W telegraficznym skrócie garść faktów: setki tysięcy Polaków z terenów pogranicznych z Rzeczpospolitą, między innymi z Ukrainy, zesłano na Syberię; z samej tylko zniesionej Sowieckiej Socjalistycznej Autonomicznej Polskiej Republiki (rejon Żytomierza) zniknęło 400 tysięcy Polaków. Wyniszczanie Polaków przyjęło zupełnie fantastyczne rozmiary. Więzienia i łagry były zatłoczone Polakami — i wiemy, że rzadko który uszedł z życiem. Polskich komunistów wymordowano w Moskwie na rozkaz Stalina. Nie inny był los licznych uciemiężonych i podbitych przez Rosję narodów. Gdzież było marzyć o Eldorado dla tych wszystkich nieszczęśliwych, kiedy nawet miliony rosyjskich chłopów pakowano do „łagrów" za to, że nie chcieli włożyć się w ramy kołchozów. „Ponieważ brakowało miejsca" na Syberii — „łagry" utworzono w całej północnej Rosji. Sołowki, Bałtycko-Białomorski kanał, Uchta, Workuta i dziesiątki innych nazw dołączyły się do carskich: Narymskij kraj, Sachalin itp. Setki tysięcy ludzi, które tam trafiły, — ginęły w męczarniach i dlatego mało jest świadków, którzy wiedzą, co kryje się pod tymi nazwami. Przez wiele lat były to po prostu wykańczalnie, tereny popisów dla sadystów, zwyrodnialców i bestii w ludzkim ciele. Dopiero stosunkowo niedawno zaczęli je przerabiać na obozy pracy przymusowej, zastępując ludobójstwo ekonomicznym podejściem do człowieka, jako do roboczego bydlęcia. Ani nam ani dzieciom naszym nie wolno zapomnieć tych strasznych nazw, tak jak nie wolno zapomnieć Oświęcimia czy Buchenwaldu.

Ale nie tylko ta kategoria nieszczęśników, z przekleństwem również wymawiali słowo „Syberia" liczni robotnicy, napędzeni z całej Rosji, Ukrainy i Kaukazu do robót w rozbudowanym na gwałt górnictwie i przemyśle syberyjskim, pracując w najcięższych warunkach ludzkiego bytowania.

Takie refleksje nasuwały się na wiadomość o elaboracie Lepeckiego. Odbiciem ich była notatka w Polsce Zbrojnej, krytykująca w spokojnym tonie „Sybir bez przekleństw", a napisana przez mojego przyjaciela, harcerza z Orenburga, kapitana Edmunda G.

Natychmiast potem otrzymałem telefon od kpt. Antoniego Szubera, członka redakcji Polski Zbrojnej. Zawiadamiał on mnie, że miał awanturę z Lepeckim, który ordynarnie groził „policzeniem się" z kpt. T. G. i „kazał", aby ten ostatni „zameldował się" u niego. Kochany kpt. Szuber sugerował, aby Związek Sybiraków interweniował w obronie E.G., ponieważ rozwścieczony Lepecki może go chcieć „wykończyć".

Przypomniały mi się „szklane domy" i przyjaciele ugrzęźli w Rosji: zadzwoniłem do kpt. E.G. i przekonałem go, że się zgodził, iż ja stanę przeciwko Lepeckiemu.

Gdy zatelefonowałem do Lepeckiego, zaczął z wysokiego tonu, napadając na E.G., a gdy go wezwałem do zmiany tonu rozmowy, podkreślając, że mówię w imieniu Związku Sybiraków, zagroził, że i do nas „dobierze się". Rozmowa zakończyła się głupią połajanką.

Ze sprawy tej można wyciągnąć wiele wniosków — jeden smutniejszy od drugiego. Książka Lepeckiego była ciosem w plecy dla milionów Polaków za żelazną kurtyną i nie tylko Polaków. Na szczęście była wyjątkiem. Wolna Polska nie miała dość siły, aby upomnieć się o swoich, a Lepeccy chcieli pogrążyć ich w zapomnieniu.

W każdym razie, gdy w dobie Katynia, w roku 1940-ym, dalsze półtora miliona obywateli polskich poszło do więzień i deportowano na Sybir, zastali oni tam tylko nielicznych niedobitków z czasów „turystyki" pana Lepeckiego (1935 r.) i dowiedzieli się nagiej prawdy o „miodowych miesiącach nad rzeką Leną".

Ale Lepecki był w tym czasie daleko, w Brazylii — popijał soki owocowe. Gdy po wielu latach sprzykrzyło mu się i wszystko uciszyło się, umieścił w londyńskich „Wiadomościach" „dwuznaczne" wspomnienie o Piłsudskim, a wkrótce potem wrócił do kraju i zaczął wcale „niedwuznacznie", chwalić reżim. Słoń mógł by pozazdrościć Lepeckiemu jego grubej skóry, bolszewicy go jednak z niej nie obdarli, przydała się im dwukrotnie. A szkoda że był oficerem ordynansowym Marszałka Polski, a nie „dieńszczykiem" Stalina.

W ROCZNICĘ POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

W 18-tą rocznicę Powstania Warszawskiego odprawiona została w dniu 3 sierpnia o godz. 20-tej wieczorem w kościele św. Andrzeja Boboli w Londynie Msza św. za dusze poległych i zmarłych żołnierzy Armii Krajowej. Mimo późnej pory w nabożeństwie wzięło udział wiele osób z gen. T. Bór-Komorowskim z małżonką oraz gen. T. Pełczyńskim na czele. Zarząd Główny Koła AK reprezentowali p.o. przewodniczącla J. Konopacka, S. Wojewódzka i red. P. Hęciak.

WYRÓŻNIENIE KOMBATANTÓW Z VANCOUVER

W uznaniu zasług położonych w pracy społecznej Koła SPK nr. 3 w Brytyjskiej Kolumbii, Federacja Światowa SPK nadała srebrne odznaki honorowe nast. członkom: *L.H. Fusowi, W. Mokrzyckiemu, J. Stańczakowi.*

Uroczysta dekoracja odznaczonych Kolegów odbyła się w dniu 27 maja przy kościel św. Kazimierza, przy udziale licznie zgromadzonych członków i sympatyków Koła w Vancouver.

DOBRY START MŁODZIEZY

„Jest to wydarzenie raczej niezwykłe, że ta świetlica gości dzisiaj tak dużą ilość młodzieży, jakiej nie widziano tutaj dotychczas" — stwierdził w swym przemówieniu ks. prał. W. Staniszewski na otwarciu ostatniego kursu dla kierowników pracy Katolickich Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej w świetlicy przy kościele polskim na Devonia Rd., w Londynie. A przybyło na 2-dniowy kurs 70 druhen i druhów

Zagadnienie młodzieży, od dawna wysuwało się na czoło emigracyjnych trosk naszych duszpasterzy. Niektórzy z nich podjęli próby rozwiązania tego zagadnienia i tak powstały pierwsze Katolickie Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej w Swindon, w Birmingham, w Coventry, Londyn-Devonia, a później w Bradford, Northwick Park, Wolverhampton i innych ośrodkach. Największą żywotność wykazało KSMP w Swindon, które skupiło najwięcej młodzieży, posiada od ub. r. pierwszy w W. Brytanii sztandar KSMP, a z b. członkiń i członków zorganizowało pierwsze Koło Seniorów KSMP.

Dla uzgadniania działalności KSMP ks. dziek. F. Kącki, jako Asystent Generalny, powołał w Birmingham przed 6-ciu laty Sekretariat Generalny KSMP z dr. J. Ossolińskim na czele, a do współpracy z nim kilku członków miejscowego KSMP. Sekretariat wydał statut, wzorowany na statucie KSMP we Francji, sprowadził z Francji odznaki KSMP, począł urządzać zjazdy towarzyskie młodzieży, nie wywierając jednak większego wpływu na działalność grup miejscowych, które prowadziły pracę samodzielnie, zależnie od swych warunków i możliwości.

Od 1960. r. Instytut Polski Akcji Katolickiej podejmuje ścisłą współpracę z Sekretariatem Gen. KSMP. Dla wzbudzenia szerszego zainteresowania zagadnieniem młodzieży, wysunął je jako temat na Zjeździe Rady IPAK. w dniu 5. 3. 61 r. Wygłoszono wtedy 3 referaty: *„Rola organizacji w życiu młodzieży", „O duchowe oblicze młodzieży akademickiej na emigracji" i „Organizacja młodzieży w parafii polskiej"*. Uchwalona przez ten Zjazd rezolucja przypomina odpowiedzialność rodziców za polskie i religijne wychowanie dzieci, podkreśla znaczenie organizacji dla dzieci i młodzieży opartych na zasadach katolickich, które umacniają polskość, wyrabiają wartości moralne i przygotowują do czynnego udziału w polskim życiu społecznym. Zjazd apelował gorąco do wszystkich którym przyszłość polskiego społeczeństwa poza Krajem leży na sercu, aby troskę o organizacje młodzieży i ich rozwój umieścili na pierwszym miejscu w swych programach społecznych i aby przez celowe środki i metody starali się zachęcić młodzież do udziału w polskim życiu religijnym i kulturalnym. Za pierwszą formę niezbędnej pomocy uznano udzielenie młodzieży własnych lokali gdzie mogłaby się zbierać i spotykać.

W kwietniu 1961 r. podjęto inicjatywę zorganizowania Związku KSMP i przekazania jego zarządowi pracy nad dalszym rozwojem działalnością KSMP. Przy ścisłej współpracy referenta dla spraw młodzieżowych w Zarządzie IPAK, p. płk. W. Czocha, Sekretariat Generalny KSMP opracował niezbędne zmiany statutu, regulamin, program pracy i budżet zarządu związku, program cyklu kursów dla przygotowania kierowników pracy na terenie KSMP., oraz wytyczne pracy dla KSMP na najbliższy rok.

Zwołany na dnie 24 i 25 czerwca Zjazd delegatów już istniejących KSMP przedyskutował i uchwalił wspomniane wyżej punkty. Zarząd Związku wybrano w składzie: prezes dh Z. Majewski (Birmingham), wiceprezesi: dla spraw organizacyjnych — dh J. Prałat (Swindon), dla spraw kulturalnych — dh E. Piskozub (Bradford), sekretarz dh A. Rybka (Birmingham), skarbnik dhna Regina Kapusta, ref. sportowy dh J. Biegus (Northwick Park), ref. spraw kult.-oświat. dh W. Kaczmarski (Londyn), członkowie: dhna Helena Sawala (Londyn), dh W. Mańkowski (Wolverhampton) i dh W. Żelisko (Swindon). Do Komisji Rewizyjnej Związku weszli: dh S. Remiarz (Wolverhampton) jako przewodniczący, dh K. Auksztolis (Birmingham) i dh H. Kurnyta Swindon) — jako członkowie, oraz druch Anton (Northwick Park), i dh C. Tabor (Bradford), jako ich zastępcy. Na wniosek Ks. Asystenta Generalnego dokooptowano do Zarządu do spraw zleconych przez Zarząd: dra J. Ossolińskiego i dha Z. Kamińskiego z Birmingham. Uchwalono również budżet ramowy na 1961/62 w wysokości £200.

Tak więc *młodzież przejęła swoje własne sprawy — we własne ręce.* Delegaci brali żywy udział w obradach zjazdu okazując duży realizm w ocenie zadań czekających Związek i możliwości ich wypełnienia.

Na czoło zadań Zarządu Związku wysunęło się przygotowanie i przeprowadzenie kursów mających przygotować kierowników pracy w poszczególnych KSMP. W programie kursu ustalono 20 tematów, które mają być zreferowane i przedyskutowane w 5-ciu sobotnio-niedzielnych kursach urządzanych w odstępach 3 miesięcznych. Każdy kurs odbywa się w innym ośrodku polskim i przygotowuje go miejscowe KSMP, by dać młodzieży możność bliższego zapoznania się z sobą i rozmaitymi warunkami pracy w poszczególnych ośrodkach.

Próbą, czy młodzież podchodzi poważnie do stojących przed nią zadań, był pierwszy kurs w Swindon 9 i 10 września 1961, gdzie uczestników gościło miejscowe KSMP, gdyż przybyło tam na własny koszt 42 druhen i druhów, z odległych nieraz ośrodków. Drugi turnus odbył się 3 i 4 grudnia 1961 w Wolverhampton przy udziale już 61 uczestników, a trzeci w Londynie w świetlicy przy kościele na Devonia Rd., 24 i 25 lutego 1962, przy udziale 70 druhen i druhów. Na 12 dotychczas wygłoszonych referatów kursowych cztery opracowali i wygłosili członkowie Zarządu Związku. Czwarty turnus odbył się w Manchester 12 i 13 maja br.

Wyniki tej planowej pracy będą zależne od wytrwałości i ofiarności w pracy członków Zarządu Związku, a więc od ich poczucia odpowiedzialności za należyte wykonanie przyjętych na siebie obowiązków. Konieczna jednak jest pełna i harmonijna współpraca wszystkich ogniw KSMP w ramach Związku i zrozumienie, że jakkolwiek wyniki bezpośrednie będą osiągane pracą w poszczególnych KSMP, to jednak możliwości pełnego rozwinięcia tej pracy zapewni dopiero wspólny wysiłek wszystkich KSMP w ramach Związku, przy wykorzystaniu wszystkich doświadczeń.

Ze strony starszego pokolenia niezbędna jest szczera i serdeczna życzliwość dla KSMP, pełne poparcie wysiłków młodzieży oraz udzielenie jej jak najdalej idącej pomocy, przede wszystkim w zapewnieniu lokali na zebrania oraz nabyciu niezbędnych pomocy do prowadzenia pracy kulturalno-oświatowej i sportowej.

Należyte rozwiązanie problemu tej młodzieży umożliwi w przyszłości przejęcie przez nią dorobku starszego pokolenia oraz polskich wartości religijnych i narodowych i kontynuowaniem na obczyźnie.

W.

B.D.I.C

MIĘDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

Ogromne pomieszanie pojęć panuje wśród cudzoziemców gdy mówią o warunkach codziennego życia w Polsce. Nawet ludzie dobrze oczytani nie mogą się połapać w „subtelnościach" ustroju komunistycznego, które sprawiają, że rzeba żyć z dnia na dzień i że nikomu się nie opłaci oszczędzać — nawet gdy ma z czego. „Dla mnie Polska była krajem drogim — opowiada znajomy Anglik — lecz spotkałem w Warszawie znajomego Polaka z Londynu, który twierdził, że wszystko jest bardzo tanie. Miał mnóstwo pieniędzy, chociaż wiem, że nie jest wcale bogaczem". Oczywiście różnica między zarachowaniem funta po 68 zł i zarachowaniem paczkowym lub na zasadzie „skupu" jest wielka, o czym Anglik nie wiedział.

Sławne 68 złotych za funta doprowadzają do absurdów w innym kierunku. Ktoś zarabia 3000 zł. To znaczy ok. 50 funtów. Nie jest to majątek, ale ostatecznie żyć można... Zwłaszcza, że mieszkania są „tanie". Zależy dla kogo i na jakiej zasadzie. Wynająć w Warszawie pokój „bez przydziału" to około 1000 zł. miesięcznie. Interesuje to zwłaszcza młodych ludzi, którym jako pierwszą pensję w szpitalu, w biurze lub w fabryce ofiarowuje się zł 1300...

„Nie rozumiem stosunków budowlanych — dziwił się inny mój znajomy — w Warszawie nie można kupić gruntu i zbudować domu. Lecz na wybrzeżu tak...".

PRZESŁAWNY „ORBIS"

„Orbis" jak wiadomo jest instytucją dewizowo-„wczasową" i w mniemaniu cudzoziemców ma spełniać rolę normalnej agencji turystycznej W Warszawie chmary urzędników siedzą za biurkami i udzielają fałszywych informacji, doradzając „na boku" by sobie ich sławetną instytucją głowy nie zawracać, gdyż niczego ani nie może ani nie chce załatwić. Przykłady? Oto parę.

Na torpedę Warszawa—Gdańsk — wg informacji „Orbisu" — bilety i miejscówki są „od dawna wysprzedane". Wystarczy pójść na dworzec i w każdej kasie bilet i miejscówkę ci sprzedadzą. Lecz wracając z Gdańska do Warszawy i zaopatrzywszy się w miejscówkę w gdańskim „Orbisie" albo napotka się w pociągu trzech właścicieli tego samego miejsca albo też wagon, na który miejscówkę sprzedano w ogóle tego dnia nie bywa podstawiony. Oczywiście uczynność konduktora bardzo pomaga, lecz po co w takim razie „Orbis"?

Wreszcie, szczyt wszystkiego: W Sopocie cudzoziemiec przy pomocy dwóch tłumaczy — amatorów i życzliwych krzyków kilku przypadkowych znajomych próbuje wymienić swe bony podróżne na złote. Nie mogą mu wypłacić, bo urzędniczka „Orbisu" nie „ma go na liście".

Co to znaczy? Bardzo proste. Sprzedając turyście bony w Londynie, Nowym Jorku lub w Sztokholmie, nikt nie wie gdzie w Polsce będzie je wymieniał. Rozsyła się zatem listy posiadaczy bonów do wszystkich oddziałów „Orbisu" od Zielonej Góry po Białystok... bo a nuż, w którymś z nich się zjawi... Jeśli coś może zadusić system komunistyczny „od wewnątrz" to chyba stosy papieru!

KURA ZWYCIĘŻA WOŁU

Poczciwa kura była przez wieki ptakiem szanowanym. Znosiła jaja i przyozdabiała stół w wypadkach wyjątkowo uroczystych. Była symbolem dobrobytu. Henryk IV marzył by mogła się znaleźć co niedzielę w garnku każdej francuskiej rodziny. Inwentarze dóbr szlacheckich w Polsce wymieniały ilość kur skwapliwie i pilnie, swierdzając że włość taka to i taka ma tyle to i tyle setek owiec, tyle par wołów, tyle koni i aż trzy kury.

Dziś kura stała się ptakiem zachłannym i bezczelnym. Pcha się na stół w każdym domu i w każdej restauracji jako danie zgoła podstawowe. O co najbezpieczniej poprosić w restauracji angielskiej gdy ci się spieszy? O kurę. Co ci poradzą jako najtańszy przysmak we Francji? Kurę. Co zdobi automat jedzeniowy w Ameryce? Kura. Kura na zimno, kura pieczona, kura w sałatce kura duża, mała, pół kury, ćwierć kury. Kura w celofanie, kura na rożnie, kura gotowana. Nic tylko kura.

Kura stała się potrawą międzynarodową, z której każdy naród jest dumny w zupełnie mylnym przekonaniu, że tylko w jego kraju panuje rozpustna obfitość kurzego mięsa. Inkubatory i pakownie produkują kurze mięso w ilościach, które na wagę, dosłownie, przekraczają często wagę zjadanej wołowiny.

W dodatku kury są wszędzie tak samo przyrządzane i zupełnie, beznadziejnie, niesmaczne.

„LAJKONIK" — CZY TYLKO DLA WYBRANYCH?

„Lajkonik na wygnaniu — felietonów sto i jeden" będzie książką w luksusowym, bibliofilskim wydaniu. „Każdy egzemplarz będzie numerowany i będzie zawierał (w oryginale: będzie zawierać) fotografię autora i spis subskrybentów". Przeglądam z radością ulotkę komitetu obchodu jubileuszu Zygmunta Nowakowskiego.

Cieszę się z góry na to wydawnictwo. Z entuzjazmem witam pomysł by jubilata — pisarza uczcić w sposób właściwy, zamiast darować mu wieczne pióro i wygłosić dwa przemówienia nad czarną kawą.

Lecz zadumą napawa mnie jedno małe zdanie w ulotce. Dlatego, że z góry zapowiada, iż ja nie będę mógł się znaleźć w gronie szczęśliwych posiadaczy książki. Inni — subskrybenci — ustawią ją na honorowym miejscu a ja będę się egzemplarzom przyglądał z zazdrością.

Subskrypcję ogłoszoną 10 lipca zamyka się 30 września. Diablo krótki termin. Zwłaszcza, że wypada w okresie wakacyjnym, gdy się jest ciągle na wylocie i gdy się nie ma na nic czasu. Albo po prostu nie ma pieniędzy. A kto nie zasubskrybuje do 30 września zostanie wyrzucony poza krąg sprawiedliwych i książki nie dostanie, bo „wydanie to nie będzie w sprzedaży księgarskiej".l

Czyż ma to być zbiór „felietonów ścisłego zarachowania?" Może opatrzony nadrukiem „tylko dla wybranych i wtajemniczonych"? Załóżmy, że ktoś nie będzie miał pieniędzy przed 30 września, lecz będzie je miał w październiku. Załóżmy też, że jak większość ludzi kupujących książki — ja się do nich także zaliczam — pragnie ją zobaczyć zanim kupi.

A poza tym księgarze to ludzie, którzy żyją ze sprzedaży książek. Tyle się narzeka na ciężki los księgarzy polskich na emigracji. I ciska się gromy na publikę, że ich nie popiera. A tu książka... książka najlepszego, najszczerszego przyjaciela księgarzy nie dostanie się na ich półki.

Sądzę, że Zygmunt Nowakowski, gdy przeczyta ulotkę o własnej książce najpierwszy podniesie larum by wydawcy jego książki natychmiast unieważnili tego rodzaju nieprzemyślane klauzule.

„HRABIA PARYŻA"

Nie zgadzam się ze zdaniem, że każdy kraj ma takiego rządcę na jakiego zasłużył, lecz sądzę, że czytelnicy gazet mają zwykle takich publicystów na jakich zasłużyli.

Wacław Zbyszewski opisał „d'une manière fort incomplete" sylwetkę „Henri V", „qui regnera en France". Wytłumaczył przy tym dokładnie Polakom, którzy nie mają autentycznych hrabiów, dlaczego Francuzi, którzy mają autentyczne hrabiny nie mogą mieć autentycznych hrabianek.

W końcowym zdaniu swego felietonu o „Hrabim Paryża" w londyńskim „Dzienniku Polskim" Zbyszewski stwierdził, że de Gaulle prawdopodobnie nie wyznaczy „przyszłego króla Francji" na swego republikańskiego zastępcę tudzież następcę. Dość krótka konkluzja po tak długim wywodzie, lecz trzeba przyznać, że konkluzja trafna. Tylko po co w takim razie cały wywód?

Chyba po to by przypomnieć, że snobów nie sieją, bo sami się rodzą.

J. P. H.

SOVIETICA

Wielka czystka w okupowanym Lwowie

Prasa moskiewska doniosła ostatnio o wielkiej „reorganizacji" upaństwowionego przemysłu, mającego swoją siedzibę administracyjną w Lwowie. Kilkaset przedsiębiorstw dotychczasowych sfuzjonowano tam w 55 trustów, z których każdy ma obejmować jedną gałąź produkcji i które otrzymały nazwy „sowieckich firm". Razem reprezentują one rzekomo 90% przemysłowej wytwórczości naszych ziem płd. wschodnich, wcielonych jako „sowiecka republika zach. Ukrainy" do Rosji.

Prasa moskiewska uzasadnia tę reorganizację rzekomą potrzebą przeprowadzenia oszczędności w biurokratycznym aparacie kierowniczym i zasilenia go bardziej kwalifikowanym elementem. Zaoszczędzono w ten sposób, według oficjalnej wersji, około 300 milionów rubli i osiągnięto tak pożądane rezultaty, że lwowska czystka w tamtejszym „sownarchozie" ma się stać rzekomo wzorem dla dalszych operacji tego rodzaju. W rzeczywistości trzeba by dużej naiwności oraz zaufania do komentarzy sowieckiej prasy, aby w ten sposób rozumieć „reorganizację" przemysłowego aparatu we Lwowie i na terenie jego ziem. Biurokracja w sowieckim systemie jest wszędzie zbyt liczna i po ostatniej czystce we Lwowie — jeśli naprawdę ją zredukowano — rychło powróci bez wątpienia do dawnych, liczebnych rozmiarów. Chodziło natomiast, oczywiście, o radykalną zmianę personelu, który wzbudził podejrzenia moskiewskiej centrali. Widać, nawet blisko w dwadzieścia lat od zajęcia tych ziem przez armie sowieckie, Moskwa nie zdołała sobie wytworzyć miejscowego elementu dostatecznie powolnego, a żywioł nasyłany z głębi Rosji tracił także zaufanie centralnych władz przełożonych.

W rezultacie, ostatnia czystka oznaczać musi nowe zaostrzenie administracyjnego terroru i dalsze pogorszenie sytuacji ludności naszych ziem.

ZAOSTRZONY KURS W CAŁYM IMPERIUM

Zaostrzenie kursu obserwuje się zresztą ostatnio również na innych obszarach sowieckiego imperium. Chodzi przy tym nie tylko o procesy i wyroki śmierci za przestępstwa gospodarcze, za spekulacje walutowe i nadużycia większej skali, o których pisaliśmy nie dawno, wskazując że partia uderza przy okazji w nutę antysemicką. Mnożą się również procesy, zwłaszcza w krajach bałtyckich, na Białorusi i Ukrainie, o ...kolaborację z Niemcami, podczas minionej wojny.

Przetrwanie, na wolności i poza wiedzą władz w sowieckim systemie, prawdziwych kolaborantów przez dwadzieścia lat, jakie dzielą nas niemal od wojny, jest nie do pomyślenia. Chodzi tu w rzeczywistości o aresztowanie żywiołu politycznie niewygodnego, któremu „przypina się" kolaborację, aby nie ujawniać istnienia opozycyjnego fermentu w masach. Spóźnieni ci „kolaboranci", według informacji podawanych jedynie przez sowiecką prasę prowincjonalną, są ostatnio sądzeni całymi grupami i otrzymują kary bardzo surowe. Zdarzają się wyroki śmierci, a poza tym długoterminowego więzienia lub łagru.

ŚMIERĆ SMIRNOWA — ZNOWU KŁOPOTY Z „GRUPĄ LENINGRADZKĄ"

Założona przez Piotra Wielkiego nadmorska stolica Rosji, mająca służyć za „okno na Europę", jeszcze jako Petersburg znana była ze swojego kosmopolityzmu i liberalniejszych nastrojów. Także, jako sowiecki Leningrad — po wstępnej roli rozstrzygającej w obaleniu caratu i zdobyciu władzy przez bolszewików — miasto to ustąpiwszy pierwszeństwa Moskwie, hodowało stale jakieś odśrodkowe fermenty. Zamordowanie w 1934 r. Kirowa, leningradzkiego sekretarza partyjnego i wielkorządcy, stało się punktem wyjścia jednej z najkrwawszych czystek za rządów Stalina.

Teraz z kolei Chruszczow ma wciąż kłopoty z „leningradzką grupą". Posłużył on się nią wpierw w walce z Mołotowem, Malenkowem i Kaganowiczem jako grupą „antypartyjną", ale „leningradczycy" wykazali zbyt daleko idące ambicje i zaczęli próbować, czy nie da się „destalinizacji" wyzyskać z kolei przeciw Nikicie. Stąd, centralne organy partyjne z „Prawdą" na czele, jak ostatnio 16 lipca, wytykały leningradzkiej organizacji partyjnej *„brak czujności, zbytnią tolerancję i skłonności do złych interpretacji linii partyjnej"*. Na tym tle obserwuje się też w ostatnich miesiącach osłabienie pozycji Krola Kozłowa, wicepremiera, który wypłynął w okresie współpracy leningradczyków z Chruszczowem.

Także rozchodzą się obecnie podejrzliwe komentarze do śmiertelnego „wypadku" samochodowego, w którym zabity został w maju 1962 Smirnow. Był to główny przedstawiciel leningradzkiej organizacji partyjnej, przewodniczący tamtejszego komitetu wykonawczego partii, członek — kandydat prezydium Komitetu Centralnego i stały, czołowy reprezentant Leningradu na kongresach partyjnych. Jego śmierć wypadła bardzo w porę Kremlowi. (s.)

KRZYŻÓWKA NR 473/62

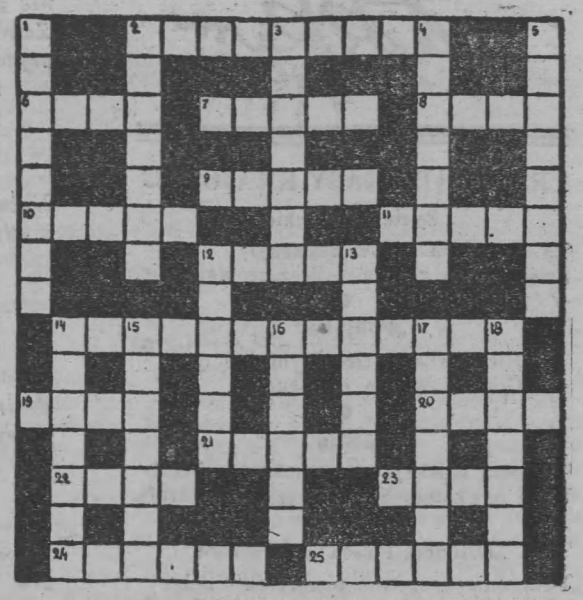

Znaczenie wyrazów

Poziome: 2) najtrudniejsza z żoną, można z kimś o coś lub przez coś; 6) i 8) adwokat powinien ją dobrze znać; 7) podobno; 9) ojczyzna Mickiewicza; 10) i 11) na przodzie szczeka, a w ogóle przyjemna; 12) nie trafisz tam, gdy idziesz na lewo; 14) pismo w Polsce (7,6); 19) i 20) prawo na własności; 21) miasto wielkopolskie w tygodniu (wspak); 22) i 23) z eskorty pana Kmicica; 24) wtedy, gdy ci wszystko jedno; 25) miasto Ogińskich.

Pionowe: 1) potargany kawałek; 2) zakłada się go, często tylko dla przekory; 3) taka może być kobieta; 4) nie dla kota, jak kiełbasa nie dla psa (wspak); 5) poniżej lat piętnastu; 12) chłopak ją kocha, choć ona...; 13) rzeka płynie poza miastem, a ma wisieć?; 14) biedna, nieszczęśliwa; 15) znów ta sama rzeka z alkoholem, spojrzysz i wszędzie naokoło; 16) i jeszcze ta sama rzeka z językiem, zniesławia; 17) siedziba papieży; 18 prymitywna broń (wspak).

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 463/62

Poziome: 2) zapustnik, 6) i 8) prostota, 7) pomór, 9) TYLON, 10) i 11) nieporadny, 12) kibuc, 14) przeniewierca, 19) i 20) psotnica, 21) rynna, 22) cyrk, 23) ufni, 24) Alicja, 25) siarka.

Pionowe: 1) zapaśnik, 2) zastępy, 3) samolub, 4) fanatyk (wspak), 5) swastyka, 12) kantor, 13) Chinka, 14) posucha, 15) zatargi, 16) Erynia, 17) renifer, 18) archiwa.

FRANCJA

WSPOMNIENIE DAWNYCH DNI

Położone tuż nad granicą szwajcarską, oddalone od większych ośrodków miejskich, jak Besancon, Montbéliard czy Belfort, miasteczko Maiche to świat cichy i spokojny, odgrodzony górami od hałasów Francji i Europy. Kolei żelaznej tu nie ma.

Inaczej tu było przed dwudziestu dwu laty. Tak się złożyło, że właśnie przez Maiche przeszedł wicher wojny, tędy się cofał w kierunku granicy szwajcarskiej jeden z korpusów francuskich. A jego straż tylną stanowiła 2-ga dywizja polskich strzelców pieszych.

Postawa naszej dywizji musiała głęboko wryć się w umysły miejscowej ludności. Toteż pamięć o niej do dnia dzisiejszego bardzo żywa, a groby polskich żołnierzy w sąsiedniej gminie są utrzymywane ze szczególną pieczołowitością. Ludzie starsi wiekiem z przejęciem opowiadają swe wówczas pierwsze zetknięcie się z polskim żołnierzem.

Przed dziewięciu laty Maiche na nowo przeżywało „polskie dni". Wspaniała ówczesna manifestacja, zorganizowana przez Związek 2 DSP — pozostawiła po sobie trwałą pamiątkę w postaci pięknej tablicy na frontowej ścianie miejscowego merostwa.

W niedzielę 24 czerwca Maichę, w którym osiadł tylko jeden nasz rodak, znowu ożywiło się polskimi wspomnieniami. Z inicjatywy XI okręgu Związku Rezerwistów i b. Wojskowych odbyła się tu piękna uroczystość. Wzięli w niej udział miejscowi Francuzi oraz polscy kombatanci z rodzinami, przybyli z Belfort, Montbéliard i Miluzy. Wzięli w niej udział także przybyli z Paryża gen. Wacław Piekarski, *sekretarz gen. Federacji Polskich Obrońców Ojczyzny we Francji* dr Stanisław Paczyński *oraz prezes 2 DSP* Władysław Gordowski.

Uroczystość rozpoczęła się od wysłuchania mszy św., którą odprawił miejscowy proboszcz francuski. Kościół wypełniony był po brzegi, dla polskich kombatantów zarezerwowane były specjalne miejsca. Kazanie wygłosił ten sam ksiądz francuski. We wzruszających słowach kaznodzieja przypomniał bohaterskie dni polskiej dywizji, późniejsze walki polskiego żołnierza na wszystkich polach walki i jego dzisiejszą tułaczkę po świecie. Położył on nacisk szczególny na dzisiejszą niewolę naszego narodu oraz w mocnych słowach potępił dzisiejszą walkę reżimu komunistycznego z Kościołem w Polsce. Wykazał przy tym doskonałą znajomość sytuacji w naszym Kraju: niewątpliwie uważnie przestudiował wszystkie artykuły, jakie się ukazały na początku b. r., w katolickim piśmie „La Croix" n.t. sytuacji Kościoła w Polsce.

Po nabożeństwie pochód ruszył przez miasto. Przed tablicą 2 DSP — przemówienia, najpierw miejscowego mera, a potem odpowiedź gen. Piekarskiego. Lampką wina w salach merostwa dla delegacji polskich kombatantów zakończyła się część oficjalna uroczystości. Wspólny żołnierski obiad, który trwał przez parę godzin, był następnie świetną okazją bliższego jeszcze poznania się polskiej braci kombatanckiej w tym zakątku Francji.

Organizatorom tej uroczystości — J. Bronowickiemu, I. Magierowi, H. Nowakowskiemu i W. Ronkowskiemu — należą się słowa szczerego uznania.

J. R.

W WEJHEROWIE NIE MA PAPIERU

„Nabycie zwykłej niebieskiej czy białej koperty do listu stało się w Wejherowie poważnym problemem" — pisze warszawska „Gazeta Handlowa". — „Wprawdzie można ty kleić koperty we własnym zakresie, ale z czego? Papieru w Wejherowie też nie ma".

Czytowana gazeta apeluje do wejherowskich PPS, MHD, PZGS, WPHS (nazwy reżymowych firm handlowych), aby „zajęły się nareszcie tą sprawą" i sprowadziły papier i koperty choćby z Zanzibaru, Kamerunu, Kongo, czy skąd chcą, byle tylko były. Mieszkańcy zaś Wejherowa przyrzekają, że za papier i koperty zapłacą „każdą cenę" byle tylko mogli je kupić. Jak dotąd muszą jeździć po koperty aż do Lęborka czy Choczewa i płacić za podróż w obie strony ponad 25 złotych. (FEC)

TRAGICZNA ŚMIERĆ JANA KOSOWICZA CZŁONKA RADY JEDNOŚCI NARODOWEJ

Wracając ze swą rodziną z wakacji z Walii do Londynu zderzył się podczas deszczu samochód, który prowadził Jan Kosowicz, członek władz naczelnych Polskiego Stronnictwa Ludowego Odłam Jedności Narodowej i członek Koła AK. Obydwa samochody stanęły w płomieniach. Kosowicz zmarł na miejscu, zaś żona jego i troje dzieci od 2 do 9 lat oraz bratanica odniosły rany i przewiezione zostały do szpitala, gdzie otrzymały pierwszą opiekę. Zmarły mieszkał w Londynie w dzielnicy Kilburn przy Plymouth Road.

Lekkim piórem

PRZEGLĄD PRASY KRAJOWEJ

„Życie Literackie"

Ta literatura cudów dokazuje;
Ściśnięta za gardło — jeszcze wegetuje.

●

„Polityka"

Niezrównana twórczym trudem
Gomułkowskim żyje cudem.

●

„Stolica"

Wzrusza kolekcją starych fotografii,
Ufna że i komunizm przetrzymać potrafi.

●

„Dziennik Polski" z Krakowa

Pouczenia, wspomnienia, czasem echo skargi;
Wczoraj i dziś chce godzić krakowskim targiem.

●

„Trybuna Ludu"

Trybuna polskiego ludu? Nie. Kamuflarz jawny
Czyli warszawskie wydanie moskiewskiej „Prawdy".

●

„Nowe Drogi"

Zapatrzone we wzory obce
Wiodą Polskę na manowce.

●

„Problemy"

To co jest problemem, o czym się skrycie marzy,
Tego nikt się w nich poruszyć nie odważy.

●

„Sztandar Młodych"

Cóż to za „sztandar" na ciągłym gadaniu?
Prawdziwy rozwinięto raz tylko w Poznaniu.

●

Komunikat z Laosu

Była inwazja z premedytacją,
Dziś mamy układ z kompromitacją.

Tygodnik Powszedny

●

Hasło Kisiela

„Niech się dzieje wola nieba,
Z nią się zawsze zgadzać trzeba".
A że niebo dziś w czerwieni,
To i Kisiel tak się mieni.

Michał Radło

NIECH ŻYJE AUTOMATYZACJA

Widziałem sam na Leicester Skwerze
niklowany
błyszczący
oszklony
stoi —
ludzi podziw bierze! —
automat do sprzedawania książek!

Na pozór cudo
a wynalazek nie duży:
klatka, szparka na monety
i guzik —
wrzucisz, naciśniesz
i thriller
wrzucisz, naciśniesz
i klasyk
nie ma usługi nieprzychylnej
i wystawania u kasy.

Ot — pomyślałem zaraz
na lśniącą nowość się patrząc
— nam by się, Emigracjo,
przydał taki aparat!
Nie jeden, a wiele!
Wszędzie tam gdzie —przyjaciele —
Polacy
napierają na lady i kasy
w ścisku.

Więc jeden dałbym w Ognisku,
jeden w Orbisie,
pod Świderskim
pod Gryfem
w Almie, w Cracovii, w Vistuli
i na wszystkich skrzyżowaniach ulic.
Ha!
A lotnikom dałbym dwa:
jeden przy drzwiach i drugi mniejszy
w barze,
a najpiękniejszy
w Oficynie Poetów i Malarzy.

Masz, Emigracjo,
nie pchaj się.
Zamiast tracić czas w ogonie,
deptać sobie po piętach,
rzucasz bracie koronę
i wyskakuje książka
prosto w rączęta.

Naturalnie nasze polskie aparaty
miałyby gust i smak i aparycję:
insygnia
herby
znaki
patriotyczne
Kolor biało-czerwony —
dostrzegalnie i narodowo
i praktycznie:
Emigracja z białej strony
po czerwonej literatura krajowa.

I jaka!
Nie żadne thrillery, nie śmieć,
ani propaganda zatruta.
Pozycja za pozycją:
historia, wspomnienia, traktaty
klasycy od Reja do Wohnouta.
nie boska obraza i płeć.
Polityka na czele i poeci
Mickiewiczowsko-Wyspiańsko!
no może w górze,
gdzie nie sięgną dzieci,
jakiś Hłasko.

Poza tym wiesz za co płacisz,
jesteś uczciwie obsłużony —
za koronę
masz książkę i cenzurę.
To
Emigracjo

aparacik!

Marzenie!
Kultura!
Brak krytyków nawet w
Konturach.

Automat.
Samograj.
Grajksiążka.
Wodospad wyników.
Medale!
... ale ...

Kto wymyśli aparat
do produkcji czytelników?
O! Emigracjo, ty jesteś jak zdrowie
byka.
Gdyby i złoto łożyli na cię,
nie naciśniesz
w automacie
do kupowania książek
guzika!

Cz. D.

LIST DO REDAKCJI

GŁOS ROZPACZY!

Szanowny Panie Redaktorze!

Zazwyczaj bez słowa skargi znoszę figle t.zw. „chochlika drukarskiego" — niech sobie biedaczyna używa! Ale w ostatnim numerze „Lekkim Piórem" facet pozwolił sobie już za wiele i to w sposób bardzo brutalny, pozbawiając zupełnie sensu dwie z moich „Uwag na czasie". We fraszce o filmie z „Lolity" zręcznie zastąpił wyraz „perwersja" wyrazem „perswazja", a we fraszce „Wyjaśnienie" umiejętnie wtrącił słowo „nie" przed wyrazem „gniewa". Tu już nie chodzi o moje dobre imię, Panie Redaktorze, ale o moich zacnych czytelników, których tenże chochlik zmusza podstępnie do czytania bzdur. Zróbcie coś ze zbrodniarzem, błagam —

I pozostaję z szacunkiem

Rawicz

PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI
Przedstawicielstwo banku transferowego
HASKOBA LTD
121, EARLS COURT ROAD,
LONDON, S.W.5. FRE 7888.
PACZKI WOLNE OD CŁA

WOJCIECH STEFAŃSKI

ŻYCZLIWA PRZYSŁUGA

ROK temu Aplegierscy, wyjeżdżając na stałe do Stanów, zostawili nam w darze kilka sztuk mocno już zębem czasu, tudzież ich własnymi siedzeniami nadszarpniętych mebli. Była to duża, skórą kryta kanapa, oraz dwa podobne fotele. Ponieważ w tym okresie właśnie zaczynaliśmy się meblować z dużym nakładem finansowego wysiłku, więc dar Aplegierskich przyjęty został życzliwie i z wdzięcznością, chociaż także ze zdziwieniem.

— No, no — mówiła żona, kiwając głową — śmierci bym się bardziej spodziewała, niż tego, żeby Aplegierscy coś komuś darmo zostawiali. No, no!

Przewiezienie trzech kolosów kosztowało nas kilka funtów, ale — tak się pocieszaliśmy — tanim kosztem nabyliśmy wygodne, chociaż niezbyt wytworne umeblowanie do „salonu". Ustawiliśmy je w przepisowe półkole pod ścianą i zaczeliśmy na nich siadać. Z przykrością stwierdziliśmy, że kanapa ma paskudnie połamane sprężyny i z całego, jakże na oko obszernego siedzenia, tylko jedno skromne miejsce nadaje się do umieszczenia na to przeznaczonej części ciała. Z fotela numer jeden już przy przewożeniu zaczęły wypadać wnętrzności, fotel numer dwa miał złamaną ramę i groził rozpadnięciem się przy lada energiczniejszym poruszeniu.

Zacisnęliśmy zęby, niedbale porozrzucaliśmy po sterczących sprężynach poduszki, zaszyliśmy rozpruty brzuch fotela numer jeden, chytrze obwiązaliśmy fotel numer dwa drutem i rozpoczęła się wojna na przetrzymanie. Meble robiły, co mogły, aby nas zmusić do kapitulacji: z przeraźliwym szczękiem wbijały w nas nieoczekiwanie wyskakujące sprężyny, obicia rozłaziły się na szwach, nogi kanapy wyginały się w nieprzewidzianych kierunkach, kółka, na których fotele miały przesuwać się po posadzce, odpadały jedne po drugich, zmuszając nas do podkładania pod skrócone nogi książek — słowem, narażeni byliśmy w każdej chwili na złośliwe ataki i zasadzki.

— Ja już nie wytrzymam — mówiła zdesperowana żona po każdym nowym psikusie podstępnych sprzętów — Ty musisz coś z nimi zrobić.

Ba, ale co? Po kupnie domu i dokompletowaniu sprzętów z gotówką było u nas przeraźliwie krucho. Uspokajałem moją lepszą połowę, przemawiając jej łagodnie i życzliwie do rozsądku:

— Cierpliwości, najlubsza. Ze zwierzętami tylko łagodnością. Z meblami także. Jak tylko odzipniemy finansowo, pozbędziemy się tych gratów i kupimy nowe mebelki, prosto z igły. Mimo wszystko, wygodniej siedzieć na tych potworach, niż na podłodze, prawda?

— Nie wiem — wzdychała zdesperowana małżonka — Już chyba lepiej by było na podłodze.

Nic dziwnego, że gdy tylko zorientowaliśmy się, że stać nas na kupno skromnego kompletu do „salonu", padliśmy sobie w objęcia, wykonując coś w rodzaju charlestona połączonego z kankanem.

— Nareszcie — triumfowałem— nareszcie! Pozbędziemy się tych mastodontów! Nadejdzie wreszcie dzień zapłaty!

Z niezmierną godnością i pewnością siebie zatrzymałem przejeżdżającego ulicą jednokonnym wózkiem nabywcę starych gratów.

— Mam komplecik mebli na zbyciu — zacząłem, pomny na słowa żony („Pamiętaj się targować, żeby dał chociaż kilka groszy za te nasze męki. I po namyśle) — Chce pan zobaczyć?

Po krótkim naleganiu zgodził się zobaczyć. Pokazałem mu całą trójkę, którą z żoną przez całą niedzielę doprowadzaliśmy do jakiego takiego wyglądu. Spojrzał na meble, potem na mnie i tylko wzruszył ramionami kierując się ku wyjściu.

— Żeby mi pan dopłacał, też tego świństwa nie ruszę — powiedział stanowczo i wyszedł, bardzo nieuprzejmie trzaskając drzwiami.

— Panie! Zabierz pan je za darmo! — krzyknąłem rozpaczliwie.

— Gbur! — powiedziała żona, obrażona — Zatrzymamy następnego.

Po czterech tygodniach daremnych wysiłków zrezygnowaliśmy.

— Może który ze znajomych weźmie? — zaproponowałem z nieśmiałą nadzieją w głosie — Może mu się przydadzą dla lokatorów?

Żona puknęła się znacząco w czoło.

— Takich wariatów, jak my, którzy by się dali na coś podobnego nabrać, możesz szukać przez całe życie. Ale jak chcesz, to próbuj.

Próbowałem przez następne cztery tygodnie. Owszem, było sporo chętnych, ale wszyscy chcieli najpierw obejrzeć. Oglądali i dziękowali: jedni uprzejmie, drudzy nie bardzo. Po miesiącu takich wysiłków powiedziałem do żony:

— Wygląda na to, że jesteśmy na te graty skazani na całe życie.

Spojrzała na mnie z pogardą:

— Inni mężczyźni nie z takimi trudnościami potrafią sobie dać radę!

I wyszła z godnością. Byłem już bliski popełnienia samobójstwa, kiedy kolega, w biurze, słysząc o moich kłopotach, poradził:

— Zwróć się do zarządu miejskiego. Oni to ci załatwią.

Zarząd miejski przysłał dwóch urzędników. Przyszli, obejrzeli, napili się herbaty i oświadczyli:

— Zabierzemy w przyszłym tygodniu.

— Zbawcy! — krzyknąłem w zachwycie.

— Będzie to pana kosztować trzy funty pięć szylingów — dodał jeden z nich.

Oboje z żoną pobledliśmy.

— Nigdy! — zawołała — Po moim trupie!

Nawet się nie obrazili. Wstali i wyszli. Przed wyjściem wyższy z nich powiedział:

— Gdyby się państwo namyślili, proszę zadzwonić.

Po wyjściu przedstawicieli magistratu, żona spojrzała na mnie obłąkanym spojrzeniem:

— Wiem, co zrobimy — spalimy je!

Natychmiast rozpoczęliśmy przygotowania. Oczywiście, mowy nie było o użyciu maleńkiego paleniska w kominku stołowego pokoju. Zdecydowaliśmy się zrobić całopalenie na trawniku w ogródku. Wspólnymi siłami wywlekliśmy fotel numer dwa przed dom i zaczęliśmy rozkładać ogień. Następne dwie godziny pamiętać będę do końca życia. Zaledwie zdołaliśmy rozpalić ogień pod fotelem, z wnętrza złowróżbnego mebla zaczęły lecieć masy włosia, tłumiąc zupełnie wątły płomień. Podrzuciłem specjalnie nabytej w tym celu rozpałki, ale zamiast rześkiego ognia buchnęły w górę kłęby cuchnącego dymu. Po dwugodzinnych zmaganiach, przerywanych wypadami po nowe zapasy rozpałki, oraz wymianą nieuprzejmości z sąsiadami, protestującymi gwałtownie przeciw zadymianiu, ręce nam opadły, a niezwyciężony sprzęt, zlekka tylko osmolony, triumfująco sterczał na środku trawnika. Poszliśmy się napić herbaty. Przy herbacie żona dostałał ataku nerwowego.

— Musisz się tych gratów pozbyć! Natychmiast, bo inaczej zwariuję!

Uciekłem do pubu, gdzie spotkałem się oko w oko z Barcelońskim.

— Gdzieżeś się tak usmalił? — zapytał przyjaźnie (Istotnie, w popłochu zapomniałem się umyć po niefortunnym całopaleniu).

Opowiedziałem mu o naszej tragedii. Zaśmiał się:

— Ależ z ciebie fujara! Nie wiesz, co tu się z takimi gratami robi?

Zawozisz je na najbliższą niezabudowaną posesję, przerzucasz przez ogrodzenie i w nogi! Widziałeś, ile tam zawsze śmiecia leży?

— No, ale ja nie mam samochodu — powiedziałem niepewnie.

— Zrobi się! Wpadnę do was we środę wieczorem z otwartą ciężarówką i pozbędziecie się kłopotu na zawsze.

Z wdzięcznością zaprosiłem go na kolację. Moja żona omal że nie zemdlała, kiedy go przyprowadziłem do domu, bo ciągle jeszcze była usmolona i niezbyt „do gości" ubrana. Ale po wyjaśnieniu sprawy ucieszyła się.

— Dobrze jest mieć do czynienia z ludźmi praktycznymi — powiedziała, spoglądając na mnie znacząco. — Bo jak już kto jest fujara ...

Barceloński dotrzymał obietnicy, ale sprawa nie była prosta. Przeprowadziwszy dokładne rozpoznanie, stwierdziłem, że o trzy ulice od nas jest idealnie do naszych celów nadająca się niezabudowana posesja o niskim ogrodzeniu, za którym spoczywają już szkielety żelaznych łóżek, stare materace i tym podobne przedmioty nieużyteczności publicznej. Niestety, otwarta ciężarówka Barcelońskiego okazała się być małym Volkswagenem, na którym nawet dwóch naszych foteli nie można było pomieścić.

— Obrócimy trzy razy — pocieszał moją żonę Barceloński.

Rozpoczęliśmy ekspedycję o wpół do dwunastej w nocy. Fotel numer jeden wylądował po za ogrodzeniem posesji bez większych trudności. Zacząłem nabierać otuchy. Fotel numer dwa poszedł w ślady swego poprzednika. Gdy przyszła kolej na kanapę, już przy ładowaniu na platformę Volkswagena okazało się, że trzeba ją specjalnie przywiązywać, bo wystaje zbyt daleko. Gorzej było przy rozładowaniu. Dźwignięcie mebla ponad ogrodzenie kosztowało nas niezmiernie dużo pracy. Na koniec z donośnym trzaskiem przewaliliśmy kanapę na drugą stronę. I wtedy usłyszeliśmy nagle z drugiej strony samochodu niewinne pytanie:

— A panowie co tu robią?

Pytającym był policjant na nocnym obchodzie, który, jak się to później okazało, cicho obserwował nasze zmagania z kanapą niemal że od początku.

Sędzia był bardzo przyjazny i życzliwy, ale skazał mnie na trzy funty kary, oraz kazał zapłacić koszta odwiezienia mebli z powrotem do naszego domu. W sumie nie stać nas nawet na zapłacenie trzech funtów pięciu szylingów magistratowi za zabranie koszmarnych gratów, które znowu — w bardzo już uszkodzonym stanie — stoją w naszym mieszkaniu.

A ten kryminalista Aplegierski ośmielił się do mnie napisać z prośbą o załatwienie mu w Londynie pewnej sprawy, powołując się na wyrządzoną mi przysługę przez zostawienie mi „kompletu mebli". Odpisałem mu, że może je sobie sprowadzić do Ameryki, jeżeli chce, a wtedy porozmawiamy.

Jakoś dotychczas nie odpowiedział. A meble ciągle u nas stoją.

GORLIWY TATUŚ

— Czy prosiłeś tatusia o moją rękę?

— Tak. Nie zastałem go w domu i uczyniłem to telefonicznie.

— No i co?

— Powiedział, że nie wie wprawdzie kto mówi, ale zgadza się.

POZNAŁ

Do autobusu wsiada babsztyl ubrany jak czupiradło. Mały Antoś woła:

— Mamusiu, to jest kobieta.

— Cicho, wszyscy o tym wiemy.

— To czemu tatuś pytał się: a cóż to za typek wchodzi?

B.D.I.C.

CZESŁAW DOBEK

SZKOŁA LOKATORÓW

— Jak tylko wygram na pulu, pierwsza rzecz przegnam wszystkich lokatorów.

To powiedzenie czy też westchnienie wszystkich polskich kamieniczników nie było obce panu Mondraszkowi. Marzył o tym tak często, że wzbudzał sprzeciw swej żony.

— Przestań Mondziu — prosiła go — przecież oni płacą.

Więc pan Mondraszek zaciskał wargi i w milczeniu spełniał misję, jaką nałożył na niego los emigranta.

Misja pana Mondraszka polegała na wychowywaniu lokatorów.

— Bo, panie — tłumaczył kolegom-kamienicznikom — lokatora trzeba wychowywać od małego.

Od małego? Trudno sobie wyobrazić panią Petraszewską z pierwszego piętra jako małą dziewczynkę. Albo pana Dzwońca w szkolnym mundurku. Niestety lokatorzy, którzy zjawiali się w domu pana Mondraszka to byli dojrzali, przejrzali można powiedzieć przedstawiciele rodu ludzkiego. Jakże trudno w wieku po pięćdziesiątce wdrożyć człowieka do skrupulatnego mycia łazienki po każdej kąpieli. Wywieszanie ostrzeżeń w obu językach, groźby i prośby nie pomogą.

— Pani Pietraszewska, czy pani miała łazienkę przed wojną?

— Panie Mondraszek. W moim własnym domu w Kielcach były dwie łazienki. Dwie łazienki panie Mondraszek.

— W obu pani trzymała węgiel.

— Miałam komórkę. Miałam komórkę, panie Mondraszek, to więcej niż pan daje swoim lokatorom.

Nad wejściem do domu pana Mondraszka wisiał napis po angielsku: „Clean your feet please". I drugi mniej uprzejmy po polsku: „Wycierać nogi".

Pod kontaktem dwujęzyczne przypomnienie o poszanowaniu światła. W ubikacji sentencja, też w dwu językach, o tym, że należy pozostawić to miejsce w stanie, w jakim się je zastało.

— Zastałam brudne i zostawiam brudne — wołała pani Windzik słusznie oburzona na gospodarza, który nawet tutaj nie dawał spokoju lokatorom i czaił się tuż pod progiem.

Pan Mondraszek polował na profesora Dryńdzię. Zacny profesor był zaciętym wrogiem wszelkich mikrobów. Uważał, że to bakterie są przyczyną starzenia się i robił co mógł, aby trzymać je z daleka. Klamkę ode drzwi naciskał przez podszewkę marynarki trzymając rękę w kieszeni. Łyżkę, nóż i widelec przechowywał w szczelnym pudełku. Talerze dezynfekował. Gdy rozmawiał z bliźnim, to skręcał głowę w ten sposób, aby żaden mikrob nie mógł skoczyć na niego z ust zacietrzewionego rodaka.

Naturalnie taki człowiek jak profesor nie wyobrażał sobie możliwości siedzenia tam gdzie siada tylu obcych. Przeto stawał nogami na desce.

— Jak w łagrze — jątrzył się Mondraszek — jak na Sybirze.

Przykra i nie bardzo chwalebna postawa. I naturalnie takiego konserwatystę jak profesor Dryńdzia żadne siły pedagogiczne nie nauczą nowej metody życia.

Ale pan Mondraszek uważał, że kapitulacja byłaby poniżej jego godności. Walczył zacięcie zaglądając nawet przez dziurkę od klucza.

Drugim przeciwnikiem w walce podjazdowej był Walczyk. Dlaczego Walczyk zamieszkał w tym domu? Przecież tu nie pasował, był o dwadzieścia lat młodszy od panny Wisienko, najmłodszej z dręczonych przez Mondraszka lokatorów.

Walczyk mógł mieszkać w hotelu. Stać go na to, bo był inżynierem. Mógł wynająć pokój albo cały flat w dzielnicy elegantszej, z nowymi meblami i z dywanem na całą podłogę.

— Wiesz Docia — powiedział mądry pan Mondraszek po dwu tygodniach — on mieszka tu wedle tych dziewczynek.

— Naszych dziewczynek? — myśląc o pannie Wisienko i pannie Golońskiej pani Mondraszkowa otworzyła oczy ze zdziwieniem.

— Mówię o tych kobietach, co stale i punktualnie maszerują na drugie piętro.

— Zakaż w naszym domu rozpusty — wyciągnęła ręce błagalnie pani Docia.

— W naszym domu, tu gdzie mieszka prezes partii politycznej, gdzie przebywają dwie członkinie komitetu parafialnego, gdzie żyje jeden z filarów nauki. ... Mondziu nie dopuść do rozpusty.

Pan Mondraszek zrobił więcej. Zastosował sankcje. Nauczył się tego zresztą od pana Sumalskiego, też kamienicznika.

— Panie dzieju tego ten, ja za nocowanie gościa, panie dzieju po pół korony. Od łebka, tego ten. Mam panie dzieju trzech Murzynów, tego ten, z temperamentem iście afrykańskim, tego ten. Trzydzieści szylingów panie dzieju bez podawania do incomtaksa na tydzień, tego ten ...

— U mnie Murzynów nie ma — wypiął się pan Mondraszek — a białym liczę po pięć szylingów.

Inżynier Walczył pracował iście jak biały Murzyn i wpłacał regularnie dziesięć szylingów tygodniowo. Widać mu się kalkulowało, bo mieszkał już dwa lata.

Ale ani Walczyk, ani Pietraszewska, ani profesor, ani dwie stare panny brudzące gaskuker nie dręczyły pana Mondraszka tak jak lokator z bejzymentu.

— Ten analfabeta — mówił o nim Mondraszek.

Ale jakżeż Trefkoń miał czytać sentencje i nakazy, jeżeli nigdy się na górze nie pojawiał. Miał własne wejście po schodkach z ulicy, własną kuchenkę w kącie i własną ubikację. O łazience nigdy nie było mowy i pan Mondraszek dbając o czystość wanny nie uważał za swój obowiązek dbać o skórę lokatora.

Pan Trefkoń urzędował w bejzymencie sam jak król. Co tam robił i jak się prowadził to była jego rzecz.

— Ten włóczęga.

— Żebrak, który wstyd przynosi.

— Tramp.

Wszystko można było o nim powiedzieć. Naturalnie poza oczami. Trefkoń nigdy nie zbliżał się do lokatorów. A że żył z ulicy wyzyskując możliwości wielkiego miasta, to była jego rzecz. Komorne płacił i zajmował lokal, którego nikt by się nie zgodził odnająć.

Niestety, o ile Trefkoń na górę nie szedł, to jego zapachy posłuszne prawom fizyki buchały pod sam topflat.

Kuchenne zapachy. Trefkoń kupował starą głowę baranią i przez tydzień warzył ją w garnku. Głowa dzień po dniu wydawała co raz przykrzejszy zapach. Następnego tygodnia przechodził na „bigos", potem zatruwał dom „flakami" i znów wracał do głowy baraniej.

Skąd brał te głowy? Nikogo to nie powinno obchodzić, ale kiedyś stało się to publiczną tajemnicą. Trefkonia złapano i stanął przed sądem oskarżony o kradzież baraniej głowy z rynku mięsnego na Smithefield. Pisały o tym gazety angielskie.

Sędzia wypowiedział mnóstwo moralów i zapytał dlaczego człowiek w ogóle zniża się do kradzieży czegoś podobnego.

— Z głodu — odpowiedział Trefkoń i prosił, aby sędzia wziął pod uwagę kradzież jeszcze pięciu głów, trzech wątrób i pięciu zestawów flaków baranich.

Sędzia wysłał Trefkonia na dwa tygodnie na medytacje.

W tym czasie dom pana Mondraszka odetchnął. A po powrocie przez dwa tygodnie nie było czuć żadnych niezwykłości.

Aż pewnego dnia zaświdrowało w nosach wszystkich lokatorów a panią Mondraszkową przyprawiło o zemdlenie.

Zapach był przerażający. Wznosił się z głębi piwnicy i morzył każdego kto nos na korytarz wytknął. Amoniak, witriol, kapusta kiszona i zlew zatkany tłuszczem.

Ponieważ pana Mondraszka nie było w domu, pani Docia ruszyła dzielnie do walki.

Zbiegła do bejzymentu i zastukała do wewnętrznych drzwi.

Nikt nie odpowiedział. Pchnęła odrzwia przezwyciężając falę zatrutego powietrza i weszła. W pokoju przy stole siedział Trefkoń. Oparł siwą brodę o blat i wpatrzony w coś przed sobą powtarzał w kółko:

— Allez up. Allez up. Allez up.

Na stole leżał wielki rozkładający się ser.

Ale nie ser przeraził panią Docię. Nie ser. Na serze siedziała maleńka szara myszka.

Pani Docia z krzykiem zemdlała.

— Mondziu — płakała gdy mąż wrócił z pracy — Mondziu.

— Co się stało? — pan Mondraszek był przerażony widokiem żony w łóżku.

— Mondziu, w naszym domu myszy.

Pan Mondraszek groźny i zacięty pomaszerował do piwnicy. Nie dopuści mysz do zacnego domu. Myszy. Po myszach karaluchy. Po karaluchach pluskwy a może pchły. W ten sposób najwytrzymalszych lokatorów się wystraszy. Myszy. Szczury. Pomyśleć tylko co na to powiedzą sodaliski? A profesor? Ostatecznie lokator też ma prawa.

Pan Mondraszek szedł z zamiarem wyrzucenia na bruk myszy, sera i Trefkonia. I żadna policja by nie pomogła.

Ale ...

— No i co — pytała pani Docia odkładając na bok kompres z głowy — wyrzuciłeś?

— Wyrzuciłem — powiedział Mondraszek jakoś miękko.

— Trefkonia i mysz i ser?

— Wyrzuciłem ser.

— Ach.

— Co miałem robić — tłumaczył Mondraszek — on tę mysz tresuje do katarynki. Pamiętasz w Polsce? Katarynka i myszka biała wyciągająca kartki z wróżbą. To wcale nie taki zły interes. Nauczy się mysz i publika będzie płaciła jak za gorące obwarzanki.

— Ależ to nie biała myszka, tylko szara mysz albo szczur.

— Szara, biała, jakaż ci różnica? Nauczy się, będzie udawała białą.

— Kto ją nauczy? Ten analfabeta?

— No widzisz Docia — pan Mondraszek zlekka się zarumienił — ja mu obiecałem pomóc.

I do tego doszło. Pan Mondraszek nie robił „owertajmów", ale przesiadywał wieczorami u Trefkonia biorąc udział w tresurze myszy.

— Allez up. Allez up. Maus hyc. Za papier, za papier ... — rozlegało się z bejzymentu.

Pachniało serem, ale tylko trochę. Gospodarz sam kupował chedar i to prawie świeży. Tamten zdobyty przez Trefkonia „Port Salut", przejrzały na śmietniku, wyrzucono do dastbinu.

Dwa tygodnie trwała pracowita i cierpliwa szkoła wieczorowa. Aż się skończyła.

— Weź pan swoją mysz — krzyczał Mondraszek do Trefkonia — zrób pan wiesz co z tą głupią myszą. Sam idiota i mysz ma za półgłówka.

Kiedy pan Mondraszek wyszedł na górę do hallu, zaczepił go profesor.

— No i co kochany panie gospodarzu? Coś nie wychodzi ta tresura.

Pan Mondraszek popatrzył ze złością na trzymającego rękę w kieszeni marynarki profesora Dryńdzię.

— Lokatorów nie sposób nauczyć czegoś — powiedział — to pan chciałbyś, żeby mysz była mądrzejsza?

Co się stało z myszą? Nie wiadomo. Ta nieświadomość zatruwała życie pani Doci, pannie Wisienko i pannie Golońskiej. Dlatego pan Mondraszek pozwolił na sprowadzenie do domu kota.

Ale to już całkiem inna historia.

Z WĘDRÓWEK PO ANGLII

HEXHAM — NA ZAPLECZU MURU HADRIANA

Miasto położone jest „strategicznie": na wzgórku, w bliskości rzeki, na zapleczu Muru Hadriana, a co najważniejsze zdala od szlaków turystycznych.

Mój towarzysz, który był tu już kiedyś, od razu pokochał to miejsce i od dawna kładł mi w głowę, że „to skandal — nie być w Hexham". Teraz prowadzi do Opactwa jak do własnego domu — z ledwie ukrywaną dumą prawego dziedzica. Już czuję: przyjął św. Wilfrida, założyciela tutejszego kościoła i jego protektorkę, królową Northumberlandu Etheldredę do naszego prywatnego panteonu.

Święty Wilfrid wzniósł tu swoją świątynię (z której zachowała się tylko jedna krypta) w drugiej połowie siódmego wieku, z kamieni sprowadzonych z ruin rzymskiego obozu w Corbridge. Wokół tego początku, uzupełniając go i przeinaczając powstawała w ciągu wieków budowla, której wiele wątków piękna splata się nieoczekiwanie w całość harmonijną, choć przeplataną niespodziankami.

Kościół ten był katedrą, a Hexham stolicą diecezji przez półtora stulecia, ale po najazdach duńskich, dwa wieki ruiny i zapomnienia poprzedziły jego zmartwychwstanie jako opactwa augustiańskiego. Oczywiście od czasu kasaty zakonów kościół znowu „zeświedczał".

Różnorodne dzieje wycisnęły piętno na samej budowli. Wiele w niej szczegółów nieoczekiwanych. Jak choćby prosty i piękny dukt schodów, biegnący wzwyż wewnętrznej strony wschodniej ściany południowego transeptu na chór. Schody te to wyraźna, piękna pozostałość po dawnym klasztorze: tak zwane „schody nocne" prowadzące z dormitorium, ku wnętrzu kościoła, na jutrznię.

Obok wylotu schodów, w niszy pod ostrołukiem stoi nagrobek Flawiusza, chorążego oddziału rzymskiej kawalerii. Płaskorzeźba ponad napisem przedstawia zapewne przyczynę śmierci Rzymianina: pod jego koniem widać skuloną postać tubylczego wojownika, który krótkim mieczem zamierza się na końskie nogi.

W stallach zachowały się ruchome siedzenia-mizerykordie z pierwszej ćwierci piętnastego wieku. Ich rzeźby są skromne, przedstawiające przeważnie stylizowane kwiaty oraz stwory ze średniowiecznej baśni: wampiry czy bazyliszki. Parę kroków dalej ku wielkiemu ołtarzowi zatrzymuje mnie widok znany, zawsze odnajdowany z radosnym wzruszeniem: Taniec Śmierci. — Widzisz! — powiada z tryumfem w głosie mój przyjaciel. Oczywiście, że widzę. Więc i tu, daleko na północ dotarł ten na poły drwiący, na poły makabryczny koncept tak powszechny u schyłku średniowiecza, a potem w epoce baroku, we Francji czy Niemczech! Poszczególne części — zachowało się ich cztery — przedstawiają pary taneczne, w których zawsze jednym z partnerów jest śmierć-kościotrup, a drugim przedstawiciele różnych stanów i godności. W „Tańcu" z Hexham ocalały tylko te, które poświęcono szczytom hierarchii kościelnej i świeckiej: Papieżowi, Kardynałowi, Cesarzowi i Królowi.

Powyżej widnieją portrety siedmiu (z pośród dwunastu) biskupów tutejszej diecezji; święci (bo wszyscy oni zostali świętymi): Alchmund, Eata, Wilfrid, Jan z Beverly, Acca, drugi Eata i Cuthbert. Po Acce, który wsławił się rozbudowaniem i upiększeniem swej świątyni oraz szczególną opieką nad chórem zachowała się współczesna mu pamiątka: kamienny krzyż saksoński, zaopatrzony jego imieniem, pochodzący z pierwszej połowy ósmego wieku, pokryty tradycyjną płaskorzeźbą o motywie rogularnie splecionej, winnej latorośli przetykanej gronami.

Obok ołtarza, nieco wyżej odeń, wznosi się nagrobna kaplica przeora Leschmana, z końca wieku piętnastego. Po jej południowej, zewnętrznej stronie seria rzeźb zdumiewających mocą prymitywnej ekspresji. Obok symbolów cnót i wad (z których wyróżnia się trafnością wyrazu i ruchu „próżność"), tradycyjny, a zawsze jednako ucieszny motyw lisa mówiącego kazanie do gęsi — ponoć miała to być satyra na część kleru nadmiernie zainteresowanego dobrami ziemskimi swych parafian. Większa część rzeźb przedstawia jednak dzień powszedni późnego średniowiecza w Northumberland: muzykańci (kobzista i harfiarz), kuglarz, wreszcie rabuś pograniczny.

Idąc ku wyjściu zatrzymujemy się przy tzw. tronie św. Wilfrida. Zapewne był to rzeczywiście tron biskupi z drugiej połowy siódmego wieku — ów, w kamieniu wykuty fotel.

Był on środkiem okręgu (o promieniu jednej mili) w którym obowiązywało prawo azylu. Naruszenie tego azylu mogło być okupione grzywną na rzecz kościoła. Wysokość grzywny rosła w miarę zbliżania się do samego tronu — aż do wielkiej (jak na owe czasy) sumy 144 funtów.

Poza opactwem dwie jeszcze średniowieczne budowle zwracają na siebie w Hexham uwagę. Moot Hall z przełomu XIV i XV wieku — warowny dwór arcybiskupa Yorku — oraz więzienie z lat trzydziestych XIV wieku. Budynek ten w swej geometrycznej prostocie i elegancji ma coś ze śródziemnomorskiego wdzięku — przypomina żywo pałac Florencji i Sienny.

Droga nasza jednak nie ku południowi zmierza, nie ku sercu dawnego Imperium, lecz przeciwnie: ku jego północnym krańcom. W siąpiącym deszczu, wśród zieleni łąk, jedziemy powoli, rozglądając się czujnie, by nie przeoczyć granicy. Po chwili zsiadamy z motoru by ruszyć piechotą wzdłuż pasma starannie gładzonych, układanych i spajanych kamieni. Mur Hadriana. Niegdyś — kres cywilizowanego świata. Dziś nie rozgradza nawet skutecznie dwóch spłachci łąki. Beztroskie owce przeskakują linię, miejscami już tylko symboliczną.

A przecież Mur — acz w szczątkach — trwa. Pomnik świata, w którym nielitościwe prawo i kapryśne piękno były tylko dwoma aspektami powszechnego ładu, rozsądnej i świadomej siebie potęgi. To był nasz świat. Dziś przychodzimy tu by dotknąć jego szarych kości, których nie pochłonął jeszcze chaos.

Mieczysław Paszkiewicz

BRIDŻ

Licytacja przeciwników jest pożyteczną wskazówką dla rozgrywki. S wygrał cztery piki dzięki temu, że W rozpoczął licytację karami.

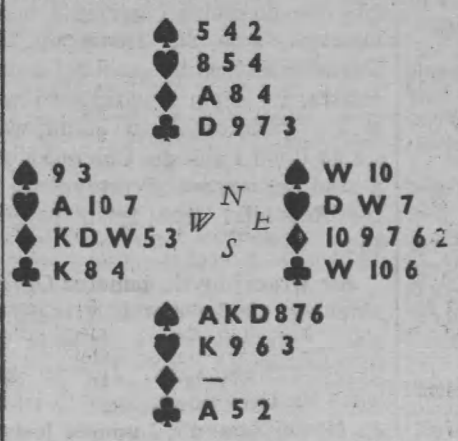

W zaatakował królem karo. Już pierwsza lewa zadecyduje o powodzeniu gry. Zabicie asem na stole doprowadzi do przegranej. S na podstawie licytacji przyjmuje, że W posiada króla treflowego oraz groźnego w tym rozkładzie asa kier. Trafnie przeczytawszy karty rozgrywa grę. Karo atutuje w ręku i po wyatutowaniu zagrywa młódką trefl. Jeśli W zabije królem S zainkasuje 6 lew w atutach, 3 w treflach i asa karowego. Jeśli nie zabije królem trefl, wtedy na asa karo poleci z ręki ostatnia młódka trefl i pozostaną do oddania tylko ti kiery.

Manewr ten nie uda się jeżeli pierwszą lewę weźmiemy asem karowym. Dlaczego? W powstrzyma się od położenia króla treflowego i zabije w odpowiednim momencie tak, że odetnie od dojścia do stołu, nie będzie można zgrać forty treflowej i trzeba będzie z ręki oddać trzy kiery przegrywając grę.

Kazimierz Schleyen

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmożoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języ' polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID
FRANCJA
66, Bld. Exelmans, Paris 16-e.

MATERIAŁY, LEKARSTWA, ŻYWNOŚĆ
najszybciej, najkorzystniej, najlepiej
wyślesz przez
P. C. STORES
S. BREWKA
18, Queens Gate Terrace, London, S. W. 7.
Tel.: KNI 0747

CZYTELNICY PISZĄ:

POLONICA NA WYSPACH BRYTYJSKICH

Szanowny Panie Redaktorze,

Proszę uprzejmie o użyczenie mi miejsca na łamach Pana poczytnego pisma w interesie idei o znaczeniu ogólnopolskim. Chciałbym tą drogą zaznajomić jak najszersze koła polskiego społeczeństwa na wyspach brytyjskich, z akcją prowadzoną dla zebrania, zinwentaryzowania i opublikowania w specjalnym wydawnictwie, znajdujących się tu polskic' zabytków i pamiątek.

Akcja ta zmierza m.in. do wydobycia z ukrycia poloników, które pozo tają dotychczas zapomniane, a których ujawnienie przyczynić się może do skompletowania szczegółów doniosłych dla całości obrazu naszej kultury narodowej. Akcja ta podjęta jest ku upamiętnieniu Millennium Polski. Wychodzimy z założenia, że nawet najbardziej pomysłowe i artystyczne, ale o charakterze dorywczym, imprezy okolicznościowe, nie pozostawiają dla potomności trwałego śladu naszej woli godnego uczczenia doniosłej rocznicy. Jesteśmy przekonani, że tylko dzieło o nieprzemijającej wartości, stać się może tej naszej woli najgodniejszym świadectwem.

Nie raz się zdarzyło, że obiekty o dużej wartości artystycznej i historycznej pochodzące z terenu Polski docierały tu za pośrednictwem obcych w długiej wędrówce przez różne kraje i na koniec znalazły pomieszczenie w brytyjskich zbiorach publicznych lub prywatnych. W okresie powstań narodowych wielu naszych emigrantów znalazło schronienie na wyspach brytyjskich. Przebywali tu i działali nasi wybitni pisarze, artyści i wojskowi. Po niejednym z nich musiały pozostać także i takie pamiątki, których nie znamy, bo są dotąd ukryte i nieujawnione. Opisanie tych przedmiotów i kliszowe utrwalenie ich jest obowiązkiem naszej generacji. Jeśli my tego obecnie nie uczynimy, sprawa może być raz na zawsze pogrzebana. Następne bowiem pokolenie, już z obcym otoczeniem zasymilowane może nie znaleźć dla tej sprawy zrozumienia. My tym dzisiejszym wysiłkiem — najbardziej moim zdaniem racjonalnym — dać możemy następnemu pokoleniu młodych Brytyjczyków polskiego pochodzenia, pewne podstawy ich łączności z kulturą polską.

Opracowywane wydawnictwo obejmie z dzieł sztuki: kompozycje malarskie, portrety, miniatury, szkice, rysunki i rzeźby polskich artystów lub o polskiej tematyce, także tkaniny, szkło i ceramikę, militaria (broń i oporządzenie), manuskrypty iluminowane, dokumenty historyczne, w końcu sztychy i stare wydawnictwa, ale te tylko w wypadku, jeśli są „białymi krukami". Wyliczone tu obiekty nie mogą pochodzić z okresu późniejszego niż do roku 1864. Z pamiątek wejdą: portrety, fotografie, dokumenty, dawne odznaczenia polskie i inne przedmioty pamiątkowe związane z pobytem tu poprzednich emigracji, także pozostawione przez emigrantów prace, ich groby i tablice pamiątkowe — wszystkie te obiekty z okresu do końca XIX wieku.

Wydawnictwo POLONICA NA WYSPACH BRYTYJSKICH zdołało już uzyskać bogaty materiał informacyjny, a także ilustracyjny odnoszący się do wielu znajdujących się na wyspach brytyjskich zabytków i pamiątek polskich. Na pewno jednak znajdzie się jeszcze niejeden obiekt zasługujący na ujawnienie i opisanie.

Chodzi więc teraz o współdziałanie w tej akcji osób dobrej woli, którym idea zebrania szczegółów o polskich zabytkach i pamiątkach jest bliska i które swym udziałem, choć w skromnym zakresie, przyczynić się mogą do skompletowania dzieła. Apel mój o nadsyłanie wiadomości, ewent. także fotografii obiektów wedle zamieszczonych wyżej wytycznych, kieruję tak do starszego pokolenia, jak i do naszej młodzieży, która już niejednokrotnie dawała dowody przywiązania do spraw ojczystych. Kto zwiedza muzea czy ogląda zbiory prywatne i natrafi tam na przedmiot pochodzenia polskiego lub z polskością związany, niechaj nie zwleka z jego opisem i nadesłaniem odnośnej notatki. Właśnie wśród młodzieży posiadającej najwięcej kontaktów ze społeczeństwem angielskim mogą znaleźć się jednostki, którym nie będzie trudno odkryć niejedną znajdującą się w obcym posiadaniu zapomnianą polską pamiątkę.

Otrzymywane dane zostaną przez kierownika naukowego wydawnictwa, historyka sztuki — dra Andrzeja Ciechanowieckiego sklasyfikowane i powierzone specjalistom do opracowania.

Na koniec chciałbym podkreślić korzyści ogólno-narodowe płynące z tej pracy. Odnalezienie zabytków może poszerzyć historyczny horyzont Polski, umożliwi sprostowanie ewentualnych błędnych ocen, wzbudzi niewątpliwie zainteresowanie muzeów i kolekcjonerów, a w sumie stworzy najbardziej wartościowe elementy dla propagandy polskiej kultury na obczyźnie.

Każde zgłoszenie obiektu zostanie przez wydawnictwo pisemnie potwierdzone, zaś nazwiska zgłaszających będą uwidocznione w ostatnim zeszycie wydawnictwa. Zostaną przyznane wyróżnienia wedle ilości zgłoszonych obiektów przez jedną osobę. Notatki i fotografie prosimy nadsyłać pod adresem: POLONICA IN THE BRITISH ISLES — 95, Black Lion Lane, London W.6, skąd też każdy może otrzymać na żądanie ilustrowany prospekt zawierający wszystkie szczegóły o wydawnictwie.

Oddając losy pełnego powodzenia akcji w ręce Rodaków i raz jeszcze apelując o współdziałanie, łączę, Panie Redaktorze, wyrazy szacunku

Bohdan O. Jeżewski

O CENTRALNĄ POLSKĄ SZKOŁĘ NA EMIGRACJI

Szanowny Panie Redaktorze,

W polskiej prasie emigracyjnej są dwa ulubione tematy, które powtarzają się od przeszło dziesięciu lat: 1. krytyka komunizmu, oraz 2. zachowanie polskości.

Co do pierwszego zagadnienia, to się nie dziwię.

Natomiast dziwię się, że w drugiej sprawie tj. zachowania polskości, większość wykazuje tyle obojętności. Nie ma dziś na Emigracji ani jednej polskiej szkoły średniej, któraby miała **powszechne** poparcie. Dużo się pisze, ale mało się robi.

Kilka dni temu otrzymałem numer „Orła Białego — Syreny", w którym Wiktor Junosza-Dąbrowski wzywa mnie imiennie do zabrania głosu w sprawie projektu założenia centralnej polskiej szkoły średniej na Emigracji.

Popieram gorąco ten projekt. Życzę by nie pozostał on jedynie ciekawostką prasową, a nareszcie znalazł praktyczne zastosowanie. Jest to bowiem projekt realny.

Jeżeli nam tak zależy na polskości to nie ma lepszego sposobu by ją przechować i rozwijać. Wydaje mi się, że jedynym sposobem przechowania walorów kulturalnych, do których czujemy przywiązanie, może odbyć się przez **wychowanie**, w szerszym zakresie tego pojęcia. Polska emigracja polityczna przestanie istnieć, jeżeli obecne pokolenie jej kierowników nie zostawi po sobie następców, odpowiednich zaś następców nie będzie, jeżeli nie będzie szkoły, z której przekazać młodzieży ducha naszej kultury i ideałów, jeżeli takie mamy. Natomiast, poważne i głębokie poznanie tych walorów kulturalnych, które trzeba znać by móc ocenić, może dać tylko i wyłącznie polska szkoła.

Wiktor Junosza w swym świetnym artykule pt. „O Przyszłości Emigracji Niepodległościowej", słusznie i żywo wskazuje na potrzebę takiej szkoły. Zagadnienie jest jasne i proste. Kiedy się mówi o „nieprzemijającej" kulturze polskiej, to nie trzeba się łudzić: wszystko przemija o przetrwanie czego nie zatroszczą się ludzie. Polskość nie przebywa gdzieś w świecie „idei" Platona lub w nadziemskich sferach, lecz w głowach i sercach żywych ludzi.

Autor artykułu tylko nawiasem wspomina o liceum w Les Ageux jako o ewentualnej bazie dla przyszłej szkoły. Uważam, że lepszej bazy nie posiadamy. Zwiedzałem niedawno w Indiach szkołę wzorową prowadzoną według założeń wychowawczych słynnego myśliciela J. Krishnamurti. Ma on nad Les Ageux tę przewagę, że rozporządza wielkimi środkami materialnymi, lecz jeżeli chodzi o metody a zwłaszcza o atmosferę — podobieństwo jest uderzające.

Świadomość wspólnych więzów kulturalnych i wspólnych celów, wytworzyła w Les Ageux nastrój rodzinny, serdeczny stosunek i wzajemną tolerancję pomiędzy profesorami i uczniami; nie można tego znaleźć w żadnej szkole „urzędowej" zajętej jedynie odrabianiem programu i sztywnym regulaminem.

Liceum w Les Ageux ma również uczniów zagranicznych, którzy mają możność zapoznania się z naszą kulturą. Zeszłego roku Dalej Lama wysłał młodego studenta w tymże celu. Po kilku latach rząd tybetański będzie miał „naszego" przedstawiciela, który będzie znał nas i władał naszym językiem.

Co do mnie, będę zawsze wspominał lata spędzone w Les Ageux z uczuciem szczerego uznania.

Żadna organizacja lub stronnictwo polityczne, nie zdoła utrzymać się przy życiu, jeżeli pominięta zostanie kwestia szkolnictwa. Pod tym względem, uważam, że taka szkoła jak Les Ageux — a tym bardziej, jeżeli możliwości finansowe pozwolą na jej rozbudowę wzwyż i wszerz — jest i będzie najważniejszą instytucją na Emigracji.

Będę wdzięczny Panu Redaktorowi za łaskawe wydrukowanie tego listu, proszę Go zarazem o przyjęcie wyrazów mego szacunku.

Jarosław Giercarz

Madras (Indie), dnia 28 lipca 1962.

(Od Redakcji) Drukujemy z zadowoleniem głos w dyskusji nad zagadnieniem poruszonym przez Wiktora Junoszę. Nie znaczy to byśmy wszystkie oceny przyjmowali jako absolutnie trafne i wyczerpujące. Trudno naszym zdaniem — gdy chodzi o szkolnictwo średnie nie uwzględniać dorobku gimnazjum polskiego ojców marianów w Fawley Court lub sióstr nazaretanek w Pittsford, a także i przede wszystkim szczerego i ogromnego poparcia jakie szkołom tym udziela społeczeństwo polskie w W. Brytanii.

WSZELKIE DRUKI
wykonuje
DRUKARNIA GRYF PRINTERS
171 Battersea Church Rd. S. W. 11

NAOKOŁO ŚWIATA

Wyspa nie chce wolności — Karibowie — Przedhistoryczne „mieszkalnictwo"

Napisał Czesław Jeśman

Choć raz w przykrej dziedzinie komentarzy międzynarodowych można napisać o czymś co odbiega od reguły i dzięki temu jest zabawne. „I żuk i żaba i kobyła raba", jak mawiano w moich stronach, chcą dziś mieć ambasadorów, prezydentów, wizyty w stolicach europejskich przy dźwiękach „ad hoc" skomponowanych hymnów narodowych i rachunki „cyfrowe" dla dostojników świeżo narodzonych nacji w bankach szwajcarskich. W Paryżu, jak o tym pisał niedawno Art Buchwald, doskonały felietonista „New York Herald Tribune", wizyty afrykańskich głów państwa w Pałacu Elizejskim stały się poważnym obciążeniem technicznym komunikacji miejskiej. Buchwald zaproponował żeby dla uniknięcia zatorów na ulicach i stacjach kolejowych przy okazji urzędowych wizyt międzynarodowych zorganizować je „na płaszczyźnie Métro". Po prostu wszystkie dyplomatyczne szyki ze sztandarami, kompaniami honorowymi i orkiestrami odbywałyby się na peronach specjalnie wydzielonej linii paryskiej podziemki. Gościa pakowałoby się do czeluści gdzieś dobrze za miastem, koło St. Denis np., a de Gaulle oczekiwał by go bliżej centrum miasta. Po czym towarzystwo w nastroju podniosłym wyładowywałoby sie na Rond Point des Champs Elysees a stąd do rezydencji prezydenta Piątej Republiki jest tylko parę kroków.

Ale wracajmy do tematu. Otóż Archipelag Cooka oświadczył uroczyście iż nie pragnie posiadania atrybutów suwerenności. Jest to grupa wysp na Oceanie Spokojnym i należy do Nowej Zelandii. Ludność jest mieszana, przeważnie polinezyjskiego pochodzenia. Ostatnio w tych stronach Zachodnie Samoa do niedawna również dependencja nowozelandzka stała się państwem suwerennym. Ustrój jego jest szczęśliwym kompromisem tradycyjnej monarchii miejscowej z mniej szkodliwymi instytucjami parlamentarnymi. Sztandar łudząco przypomina sztandary Burmy i Chin nacjonalistycznych: czerwone pole z granatowym wcięciem przyozdobionym konstelacją Krzyża Południa. Białym wjazd do suwerennego Samoa został wzbroniony.

Ale mieszkańcom Archipelagu Cooka nie zależy nawet na tym przywileju: są zbyt pewni siebie. Zgromadzenie Prawodawcze tych wysp oświadczyło przed paru tygodniami iż bynajmniej nie pragnie suwerenności i nie życzy sobie przyjazdu Komisji Narodów Zjednoczonych. Pełny samorząd: owszem, subsydia międzynarodowe owszem, własny rząd owszem — ma on się składać z siedmiu miejscowych Maorysów, dwóch specjalistów od finansów przysłanych z Nowej Zelandii oraz Komisarza Rezydenta, głowy administracji, mianowanego również z Wellingtonu. Poza tym Maorysi Wysp Cooka życzą sobie zachowania obywatelstwa nowozelandzkiego i uznają suwerenność Korony Brytyjskiej. Decyzja została przyjęta przez rząd nowozelandzki z wyraźnym niezadowoleniem, ale bez szemrania. T.zw. kolonialiści, w gruncie rzeczy o niczym nie marzą mocniej niż o pozbyciu się kolonii. Od tej chwili dopiero można coś tam zarobić. To tylko sowieckie i chińskie murgi oddają się infantylnej żądzy gromadzenia pod „Czapką Monomacha" coraz różniejszych i coraz bardziej wrogich sobie terenów.

* * *

Jamajka jest od tygodnia także państwem niepodległym. Jest to drugi z kolei, po Haiti, suwerenny kraj „afrykański" w Ameryce. Przy tej okazji warto przypomnieć iż na Morzu Karaibskim zachowało się jeszcze nieco Karaibów, autochtonów „drugiego stopnia" którzy witali Krzysztofa Kolumba. Autochtoni „pierwszego stopnia", Arawak, zostali dosłownie zjedzeni przez Karaibów czy Karaibów. To znaczy że zjadali oni Arawaków mężczyzn. Kobiety brali w niewolę do swoich haremów. Skutek był taki iż kiedy Kolumb wylądował na Dominice kobiety miejscowe posiadały swój własny „tajny" język. Było to narzecze Arawaków. I Arawak i Karaibowie pochodzili z dorzeczy Orinoco i rasowo należeli do mongoloidalnej „rasy czerwonej" kontynentu amerykańskiego. Od „odkrycia" europejskiego rozpłynęli się oni prawie że bez reszty w

(Dokończenie na str. 12)

DRUGI POMNIK 15 PUŁKU

(Dokończenie ze strony 1)

bojowa to nie były żadne poetyckie koszałki opałki i tak samo jej historia to nie żadna poezja, panegiryk czy album familijny.

O ileż piękniej wygląda taki solidny obraz dziejów od patetycznych wspomnień „żołnierzy-samochwałów", od oleodrukowych panoram, od zestawień z Żółkiewskim, Chodkiewiczem i Skrzyneckim!

Nie łatwo opracować monografię pułku o tak bogatej historii bojowej, obejmującej czterdzieści cztery lata, dwie wielkie wojny i cztery historyczne kampanie, pułku bijącego się w ciągłych marszach, od Poznania do Szubina, od Poznania po Mińsk, Ihumeń i Bobrujsk, od Berezyny po Dniepr, od Bobrujska po Żłobin, na Polesie, od Bobrujska do Bugu, do Wisły pod Dęblin, znów spod Dęblina przez Maciejowice do Mińska Mazowieckiego, dalej do granicy Prus Wschodnich, przez Łomżę po Szczuczyn, za Niemen, pod Wysokie Litewskie i Międzyrzecz, po Snów, Nieśwież i Mińsk; w roku 1939 od Śremu po Uniejów i Łęczyce, przez Głowno, Puszczę Kampinoską do Warszawy; w roku 1942 z Jangi Jul do Persji, po czym przez kraje Środkowego Wschodu do Włoch; tutaj od rzeki Sangro, przez wzgórza Castellone, Pizzo Corno i Cairo pod Monte Cassino, przez rzeki Chienti, Musone, Metauro i Foglia, przez bitwy pod San Biaggio i o Palazzo del Cannone i o Case Nuove pod Ankoną, o przeprawy na rzece Esino, na linii Gotów i w Apeninach Toskańskich; po śmierć dowódcy pod Civitella di Romagna i po Meldolę; znowu do Egiptu, by się przekształcić w jednostkę pancerną: z powrotem do Włoch; wreszcie do Anglii.

Jakież w ciągu tych wojen i kampanij mnóstwo wspaniałych bitew, szarż, zagonów, pościgów, odwrotów, przepraw, wypadów, patroli, wreszcie osobistych czynów męstwa i odwagi! Jaki ogrom pracy wyszkoleniowej, na broniach całego świata! Dość powiedzieć, że w ciągu kampanii włoskiej pułk walczył i jako jednostka piechoty wysokogórskiej, i w składzie kompanii komandosów, i jako pułk rozpoznawczy i jako pancerny. Jaka piękna i żywa działalność pokojowa — w garnizonach w Poznaniu, w małej stolicy nadberezyńskiej Polaków w Bobrujsku, we Włoszech i w Anglii! Ile pomocy wyświadczonej kolegom, ich rodzinom, społeczeństwu i narodowi! Jakie piękne, o światowym rozgłosie laury w sporcie jeździeckim! I jakie nadążanie za czasem w przemianach uzbrojenia i metodach walki!

Księga 15 pułku nie jest jednakże suchą kroniką. By więc uprzystępnić swoje dzieje nie tylko historykom i nie tylko uczestnikom bojów, trzeba było przedstawić krótko tło dziejowe i szersze związki pragmatyczne poszczególnych kampanii i działań. Trzeba było rzeczowe raporty taktyczne ożywić opisami sylwetek dowódców, podoficerów i szarych ułanów, odmalować koloryt czasów i środowisk, przypomnieć żarty, anegdoty i swawole, pośmiać się z niektórych rozkazów i zakazów, z apelu do bitwy z muchami i z meldunku o sprzedaży krowy na pobojowisku pod Monte Cassino, przytoczyć słowa piosenek i wierszyków ułańskich, wlać życie w ten piękny pomnik.

Monografia piętnastki nie jest dziełem całkiem wzorowym, ma swoje ułomności i skazy, ale zbliża się do wzoru monografii oddziału wojskowego. Poszczególne fazy dziejów

ARMIA POLSKA WE

(za zezwoleniem

Istnieją już rozmaite opracowania, omawiające sprawy i czyny dotyczące Armii Polskiej poza granicami Kraju. Ale żadna z tych prac nie obejmuje całości tego zagadnienia. Książka moja zawiera próbę przedstawienia tych wydarzeń na terenie Francji w okresie 1931-1960 w sposób obiektywny.

Książka ta składa się z dwóch części: W pierwszej części historycznej omówiona jest obecność Polaków począwszy od 1831 roku, daty utworzenia Legii Cudzoziemskiej we Francji, potem w 1870 r. i w Pierwszej Wojnie Światowej 1914-1918, to znaczy w armii gen. Hallera, której żołnierze byli ojcami armii gen. Sikorskiego.

Epopea tej armii w drugiej wojnie światowej 1939-45, przedstawiona jest czytelnikowi bardziej szczegółowo. Historia Armii Polskiej z tego okresu zaczyna się od Hotelu Regina w Paryżu, siedziby Sztabu Armii Polskiej we Francji w roku 1940, przechodzi dalej przez Coëtquidan, Partenay, gdzie tworzyły się wielkie jednostki polskie, potem przez Lotaryngię, Szampanię, Belfort, granicę szwajcarską, gdzie toczyły się ciężkie i bohaterskie walki, Norwegię z dramatycznym powrotem do Paryża po klęsce, okupację, niewolę, udział w Ruchu Oporu i zwycięstwo ostateczne z udziałem Polaków w 1944 roku w bitwie normandzkiej.

Druga część jest szczególnie i świę-

B.D.I.C

ŁKU UŁANÓW POZNAŃSKICH

pułku opracowali obdarzeni doskonałą pamięcią i przywiązaniem do swego oddziału uczestnicy wydarzeń. Obrali słuszną zasadę nieupiększania rzeczowych sprawozdań. Wzorowi oficerowie złożyli jeszcze raz, przed potomnością, prawidłowe meldunki. Przeto nigdy przy tej lekturze nie budzi się w czytelniku sprzeciw i nawet wątpliwość co do opisywanych faktów.

Przeciwnie, niektóre epizody dziejów pułku a zarazem i historii Polski aż wołają o bardziej malownicze, literackie potraktowanie. Odnosi się to zwłaszcza do patetycznej chwili powstania w Poznaniu i Wielkopolsce, gdy po blisko półtorawiekowej niewoli wierne miasto w jednym wielkim odruchu zrzuciło jarzmo. Jakaż to musiała być serdeczna chwila, kiedy ułani poznańscy, okryci chwałą w boju pod Szubinem, wjeżdżali na rynek w Poznaniu!

Ale i to co we właściwej dawce w księdze 15 pułku jest literaturą, czyni z niej pociągającą lekturę. To niewątpliwa zasługa redaktora tomu, pisarza o niezmiernie czujnej wyobraźni historycznej, Pawła Zaremby. Umiał on szale nieuniknionego patosu i uczuć zrównoważyć żartem, dowcipem i ironią, a nawet tak doskonałym sposobem jak odważne i śmiałe przytaczanie sprzecznych meldunków z akcji, jakże ludzkich, jakże na wojnie normalnych.

Oczywiście, odtworzenie kilkudziesięcioletnich dziejów pułku na obczyźnie, bez dostępu do źródeł, bez bibliotek, bez wielu świadków żywych, bez ponownego zwiedzenia pól bitew i marszów, to sztuka nielada. 15 pułk miał to szczęście, że wielu jego oficerów pamiętających i powstanie wielkopolskie i kampanię lat 1919/20 znalazło się na Zachodzie, i że mogli oni odtworzyć tamte dzieje. Mniej, co prawda, szczegółowo niż kampanię włoską, której drobiazgowa dokumentacja znalazła się w ręku autorów, jednak odtworzyli te dzieje zadziwiająco dokładnie i plastycznie. Może nawet wyszło to na korzyść książce, gdyż niewątpliwie zbyt drobiazgowe opisy działań włoskich zamazują obraz tej pięknej kampanii. Szkoda, że każdego okresu dziejów nie opatrzyli autorzy zwięzłą syntezą. Szkoda też, że tak poważne dzieło historyczne nie ma swego indeksu.

15 pułk ułanów poznańskich był bodaj najlepszą jednostką odrodzonej armii polskiej w dobiegającym półwieczu. Jako jeden z pięciu pułków kawalerii otrzymał Virtuti Militari dla swego sztandaru za lata 1919/20, kontynuował świetne tradycje ochotnicze wielkopolskie, był gotów w roku 1926 do spełnienia rozkazu Prezydenta R.P., bił się wspaniale z bolszewikami i w działaniach zaczepnych, i w odwrocie, i w pościgu, wykonał świetny manewr nad Wisłą i Wieprzem przechodząc w paru dniach z pełnego odwrotu do żywiołowego natarcia, nie pozostawił żadnego poległego ani rannego w rękach nieprzyjaciela, nie dał się nigdy i nikomu rozbić, co wszystko tyczy się także kampanii wrześniowej i włoskiej. Naczelny Wódz marszałek Piłsudski rzekł dekorując sztandar pułku: „Tam gdzieście byli, byliście doskonali i historia lwią część zwycięstw wam przypisać musi. W tej dziedzinie jesteście najlepszym pułkiem, jaki znam". Po latach, po drugiej wojnie światowej, to samo zdanie o pułku powtórzył Naczelny Wódz gen. Anders.

Wszystko to zawdzięcza pułk nie tylko swojej bitności, ale także — i tu to słowo wcale nie jest frazesem — swojej tradycji. Na tę tradycję złożyło się szereg czynników w pierwszej fazie dziejów — charakter i przymioty Wielkopolan, a od początku do końca — znakomita kadra, dowódcy i twarda, lecz dająca serdeczne koleżeństwo i solidarność pułkową dyscyplina. 15 pułk stanowił zawsze mocną rodzinę i bił się prawie tak jak za czasów piastowskich, rodami, skrzykując się w czas bitwy i nigdy nie zostawiając na łasce losu żadnego swego żołnierza, także w czasie pokoju.

Miał pułk dowódców, których nazwiska przeszły do historii narodu, a co najmniej ziemi wielkopolskiej: porucznika Józefa Lossowa, który nawiązywał do najlepszych tradycji ochotniczych, napoleońskich i powstańczych, płk. A. Pajewskiego, ppłk. Władysława Andersa, zżytego na zawsze z pułkiem i uważanego za jego ojca („pułk Andersa" — mówiono w Poznaniu i na froncie w latach chwały bojowej), płk. Gwidona Potena, zamordowanego w więzieniu lwowskim, płk. Stanisława Grzmot-Skotnickiego, płk. Rudolfa Dreszera, ppłk. Konrada Zembrzuskiego, który zginął w Rosji, ppłk. Tadeusza Mikke, który jako dowódca pułku poległ na polu chwały w kampanii wrześniowej, mjra Kazimierza Chłapowskiego, który doprowadził pułk do Warszawy, legendarnego ppłk. Zbigniewa Kiedacza, który poległ jako dowódca pułku na polu chwały w Apeninach i wreszcie ppłk. Adama Bielińskiego, który trzyma obecnie w mocnym ręku niewygasłą pochodnię tradycji pułkowej, tworzonej także przez niego jako zastępcę dowódcy w twardych bojach na ziemi włoskiej.

Sylwetki dowódców i wielu innych żołnierzy z „Dziejów 15 pułku" składają się na Plutarcha żołnierstwa polskiego Drugiej Rzeczpospolitej.

Jak w boju, tak też w pracy nad swą historią ułani poznańscy wykazali dokładność, pilność i czystość roboty. Księga ich odznacza się elegancką formą, doskonałym doborem zdjęć, przejrzystymi mapami (brak tylko modeli wozów pancernych z okresu włoskiego), dobrą korektą. Na końcu tomu umieszczono spiś poległych w walkach 1919/20 oraz w kampanii włoskiej, spis żołnierzy pułku odznaczonych krzyżem i orderem Virtuti Militari, wykaz oficerów od 1919—39, członków T-wa Żołnierzy 15 pułku, wreszcie pełny wykaz nazwisk ułanów z lat 1942-45. Książkę otwiera przedmowa gen. Andersa, wiernego wieloletniej miłości dla „swoich dzieci".

„Dzieje 15 pułku ułanów poznańskich" to duże osiągnięcie polskiej historiografii wojskowej i pomnik miłości oraz przywiązania do barw, które chwałą okryły Poznań i całą Rzeczpospolitą.

Jan Bielatowicz

„TAK" I „NIE" CZYLI NIEPODLEGŁOŚĆ I DEMOKRACJA

Z całą powagą i zrozumieniem wyborcy polscy w Londynie składali swe głosy w wyborach na Zjazd Polaków w Wielkiej Brytanii. Na zdjęciu górnym — lokal wyborczej komisji obwodowej w Wimbledon: członek Komisji, p. Święszkowski (za nim p. J. Bobrowski) przyjmuje kartę wyborczą, w głębi po środku (mało widoczne) — p. W. Sabbatowa, członkini Komisji, która w odruchu samarytańskim napoiła herbatą prezesa NID-u p. Rowmunda Piłsudskiego, „pikietującego" w swej pięknej limuzynie (zdjęcie dolne) lokal wyborczy. P. Piłsudski nie chciał głosować, nie chciał również spełnić prośby naszego sprawozdawcy (red. J. Kowalewski), by mu pozował do pamiątkowego zdjęcia i zasłonił się (regulaminami NiD-u?).

Po Londynie krążą plotki, że w Ruchu Wolnościowym Niepodległość i Demokracja, którego prezesem jest p. R. Piłsudski, narasta duży ferment na tle stosunku władz Ruchu do wyborów; zarysowuje się jakoby opozycja, która uważa, że bojkot wyborów był błędem politycznym, a akcja „pikietowa" pod lokalami — kompromitacją dla organizacji i nie miała nic wspólnego ani z walką o niepodległość, ani z demokracją. Być może, że i sam prezes przystąpi do opozycji, bo — jak widać ze zdjęcia — już w dniu wyborów twarz zakrył. Czyżby na wszelki wypadek?

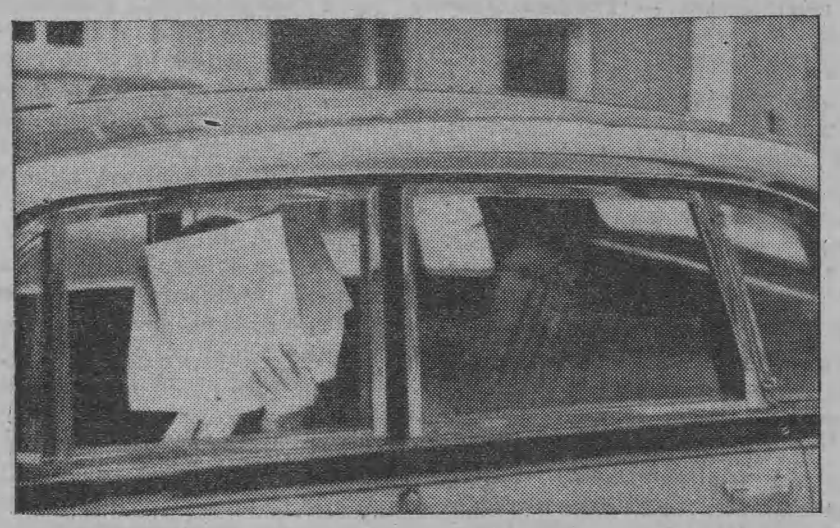

WE FRANCJI 1831—1960

leniem ministerialnym)

cona byłym kombatantom, ich rodzinom, aby znani byli ci, którzy odeszli i odznaczyli się w bohaterskich bojach, odtąd legendarnych zarówno w latach 1914-1918 jak i 1939-1945, oraz tym, którzy padli na polach bitew obu wojen, lub zmarli w szpitalach z odniesionych ran, im wszystkim jak i ich wdowom, uczniom i sierotom należy się wdzięczność Francji i świata.

Książka ta jest jakby pochodnią, którą pokolenia muszą zachować i sobie przekazywać. Powinna ona znaleźć swoje miejsce we wszystkich rodzinach polskich i być świadkiem wspomnień niezniszczalnych przez czas, wielkich epok chwały oręża polskiego, które leżą u podstaw Polski nieśmiertelnej. Jest to książka wszystkich i dla wszystkich.

Cena **6 NF.**, przesyłka i opakowanie **1,20 NF.**, razem **7,20 NF.** Format 21 x 27 cm., papier glansowany. 130 stron, 24 zdjęć i map, 4.000 nazwisk. Zamawiajcie natychmiast dla Was, Waszych krewnych kolegów egzemplarze podpisane przez autora. Ilość ograniczona. Załączajcie zwykłe mandaty pocztowe francuskie lub międzynarodowe. Nie przysyłać znaczków, ani kuponów pocztowych. Adres: **Section des Volontaires Etrangers, 87, Avenue de Suffren, PARIS 7e.**

Płk L' Hopitalier

ILE KOSZTUJE MIESZKANIE W POLSCE?

Według informacji warszawskiego „Słowa Powszechnego" „średni koszt" budowy mieszkania w Polsce (o powierzchni 44 metry kwadratowe) kosztuje obecnie 115,000 złotych, cena zaś 1 metra kwadratowego „powierzchni użytkowej mieszkania wynosi aktualnie 2,278 złotych".

Cytowany dziennik przypomina, że „przeciętny koszt analogicznego mieszkania w roku 1959 wynosił około 110,000 zł, a w roku 1960 — 120,000 złotych".

(FEC)

PEŁNY SPIS DELEGATÓW Z LONDYNU

NA OGÓLNY ZJAZD POLAKÓW W W. BRYTANII

W jednym z poprzednich numerów „O. B." podaliśmy jedynie część wyników wyborów delegatów z Londynu na Ogólny Zjazd Polaków w W. Brytanii. Poniżej podajemy pełny spis nazwisk delegatów z wszystkich obwodów Londynu. Nazwiska delegatów spoza Londynu podamy w następnym wydaniu „O. B.".

OBWÓD (1) EALING (10 delegatów. Głosowało: 271 osób): 1. Jan Bielatowicz, 2. Halina Czarnocka, 3. Wanda Pełczyńska, 4. Stefan Soboniewski, 5. Antoni Baliński, 6. Józef Narożański, 7. Piotr Kuśnierz, 8. Kazimierz Stankiewicz, 9. Jerzy Głowacki, 10 Michał Goławski.

OBWÓD (2) WEST EALING (8 delegatów. Głosowało: 114 osób): 1. Adam Treszka, 2. Mieczysław Chmielewski, 3. Halina Głowacka, 4. Maria Dżawachiszwili, 5. Stefan Gruca, 6. Zofia Turowska, 7. Tadeusz Klimowski, 8. Witold Łęgowski.

OBWÓD (3) ACTON (10 delegatów. Głosowało: 289 osób): 1. Kazimierz Glabisz, 2. Maksymilian Lorenc, 3. Stanisław Biegański, 4. Kazimierz Harasimowicz, 5. Helena Witkowska, 6. Witold Święcicki, 7. Andrzej Różański, 8. Karol Jan Drzewicki, 9. Aleksander Milker, 10. Leon Strzelecki.

OBWÓD (4) CHISWICK (8 delegatów. Głosowało: 120 osób): 1. Andrzej Stypułkowski, 2. Eugeniusz Grzesik, 3. J. Kruk-Strzelecki, 4. Dominik Maciejko, 5. L. J. Rybicki, 6. J. Kaźmierczak, 7. Władysław Tunikowski, 8. Adam Kozłowski.

OBWÓD (5) CRICKLEWOOD (14 delegatów. Głosowało: 390 osób): 1. Jadwiga Dunin-Borkowska, 2. Zdzisław Kołodziejski, 3. Stanisław Pelc, 4. Ryszard Kaczorowski, 5. Jerzy Konieczko, 6. Helena Chełmińska, 7. Stefan Sajdak, 8. Z. Czarnota-Bojarski, 9. Henryk Niedziałkowski, 10. Tadeusz Kowalewski, 11. Kazimierz Stafiej, 12. Jan Wawrzkiewicz, 13. Irena Borkowska, 14. Kowalski.

OBWÓD (6) HOLLOWAY (8 delegatów. Głosowało: 201 osób): 1. Bronisław Hełczyński, 2. Teodozya Lisiewiczowa, 3. A. Ciemierski, 4. M. Sotowicz, 5. S. Przybylski, 6. K. P. Morawski, 7. I. Kowalczewski, 8. M. Działoszyński.

OBWÓD (7) DEVONIA (8 delegatów. Głosowało: 222 osób): 1. Mieczysław Radoń, 2. Roman Miłoszewski, 3. Jan Gołaszewski, 4. T. B. Karpiński, 5. Paweł Szlosarek, 6. Feliks Golnik, 7. Ferdynand Bissinger, 8. Leon Wichliński.

OBWÓD (8) KENSINGTON (20 delegatów. Głosowało: 305 osób): 1. Zbigniew Stypułkowski, 2. Roman Odzierzyński, 3. Zdzisław Stahl, 4. Tadeusz Bielecki, 5. Tadeusz Kiersnowski, 6. Eugeniusz Lubomirski, 7. Bogdan Podoski, 8. Antoni Dargas, 9. Stefan Lubomirski, 10. Maciej Cybulski, 11. Magdalena Dubanowiczowa, 12. Stefan Benedykt, 13. Władysław Wielhorski, 14. Jan Bąk, 15. Józef Wiatr, 16. Konstanty Dłużniewski, 17. Michał Mycielski, 18. Izabela Zajączkowska, 19. Mieczysław Piekarczyk, 20. Jan Prokop.

OBWÓD (9) FULHAM (10 delegatów. Głosowało: 137 osób): 1. Zygmunt Nadratowski, 2. Zofia Arciszewska, 3. Józef Płoski, 4. Ignacy Wieniewski, 5. Kazimierz Górski, 6. Antoni Rawicz-Szczerbo, 7. Alfons Jasieniecki, 8. Stefan Kolańczyk, 9. Józef Hołowacz, 10. Ignacy Żabnieński.

OBWÓD (10) PADDINGTON (10 delegatów. Głosowało: 171 osób): 1. Jerzy Januszajtis, 2. Zygmunt Berezowski, 3. Janina Kossakowska, 4. Stanisław Krause, 5. Franciszek Bajorek, 6. Czesław Górski, 7. Stanisław Dukszta, 8. Jerzy Skirgajłło-Jacewicz, 9. Bohdan Gawroński, 10. Tadeusz Zawisza-Grzeszczyński.

OBWÓD (11) FOREST GATE (8 delegatów. Głosowało: 102 osoby): 1. Jan Kukulak, 2. Robert Kowalewski, 3. Apolinary Tęcza, 4. Wiktor Wojtecki, 5. Feliks Redlarski, 6. Jerzy Gradosielski, 7. Jan Pawłowski, 8. Stanisław Wnęk.

OBWÓD (12) PUTNEY (15 delegatów. Głosowało 324 osób). 1. Michał Grażyński, 2. Tytus Komarnicki, 3. Jerzy Iranek-Osmecki, 4. Adam Ciołkosz, 5. Aniela Sulikowa, 6. Kazimierz Sabbat, 7. Wiktor Martin, 8. Zygmunt Szadkowski, 9. Bohdan Wroński, 10. Irma Paluchowa, 11. Lidia Ciołkoszowa, 12. Janusz Kowalewski, 13. Stanisław Lis, 14. Edward Kudrewicz, 15. Anna Zabłocka.

OBWÓD (13) CLAPHAM (14 delegatów. Głosowało: 369 osób): 1. Zygmunt Bieńkowski, 2. Halina Bieńkowska, 3. Paweł Hęciak, 4. Jerzy Kondziela, 5. Waleria Wiśniowiecka, 6. Walery Choroszewski, 7. Jerzy Kowalski, 8. Mieczysław Bryl, 9. Irena Horbaczewska, 10. Ryszard Sierakowski, 11. Zbigniew Bokiewicz, 12. Stanisław Wysocki, 13. Wacław Urbański, 14. Kazimierz Kościa-Zbirohowski.

OBWÓD (14) CROYDON (8 delegatów. Głosowało 114 osób): 1. Czesław Gierałtowski, 2. Kazimierz Różycki, 3. Antoni Markowski, 4. Stanisław Gudowski, 5. Tadeusz Hobler, 6. Wilhelm Orlik-Ruckeman, 7. Tadeusz Wasilewski, 8. Helena Wasilewska.

OBWÓD (15) LEWISHAM (8 delegatów. Głosowało: 112 osób): 1. Olgierd Stepan, 2. Józef Makulski, 3. Józef Poniatowski, 4. Herbert Wodarz, 5. Mieczysław Piwakowski, 6. Józef Kulikowski, 7. Wacław Netter, 8. Krystyn Ostrowski.

OBWÓD (16) ENFIELD (11 delegatów. Głosowało: 96 osób): 1. Wacław Krassowski, 2. Hanka Swieżawska, 3. Irena Bączkowska, 4. Stefan Brewka, 5. Tadeusz Lang, 6. Edward Sojka, 7. Florian Laskowski, 8. Aleksander Jakliński, 9. Marian Włodarczyk, 10. Stanisław Załęski, 11. St. Jerzy Romaniec.

OBWÓD (17) BRIGHTON (4 delegatów. Głosowało: 110 osób): 1. Józef Czopik, 2. Henryk Osiński, 3. W. Tadeusz Łada-Zabłocki, 4. Witold Tomczak.

OBWÓD (18) GODALMING (4 delegatów. Głosowało: 84 osoby): 1. Marian Hemar, 2. Bolesław Piasecki, 3. Jan Władysław Brodniewicz, 4. Stanisław Czerwonka.

OBWÓD (19) HORSHAM (2 delegatów. Głosowało: 196 osób): 1. Józef Kisza, 2. Edward Michałowicz.

PODZIĘKOWANIE PREZYDIUM OBYWATELSKIEGO KOMITETU WYBORCZEGO

W związku z zakończeniem akcji wyborczej, Prezydium Obywatelskiego Komitetu Wyborczego powzięło następującą uchwałę:

„Prezydium Obywatelskiego Komitetu Wyborczego stwierdza z żywym zadowoleniem, że apel Komitetu do społeczności polskiej w Wielkiej Brytanii wywołał silny oddźwięk w szerokich kołach emigracyjnych;

— wyraża podziękowanie wszystkim, którzy czynnie współdziałali w akcji wyborczej za pełną poświęcenia, ofiarną i bezinteresowną pracę uwieńczoną powodzeniem;

— wita serdecznie wszystkich wybranych delegatów na Ogólny Zjazd Polaków i wyraża przekonanie, że spełnią godnie zadania, które włożyła na nich społeczność polska w W. Brytanii".

TEODOZYA LISIEWICZ

NOWELA

CORAL

— Coral?... Niemożliwe! Coral O'Neil?... Wróciła?... Co się z tobą działo?... Byłaś w Stanach?... W Argentynie?... Dlaczego nie dałaś znaku życia o sobie?... Kobiety nie pytaj dla kogo znika, przepraszam, dla czego, chciałem powiedzieć... ślicznie wyglądasz... Tyle lat cię nie widziałem! — rozlegało się ze wszystkich stron.

Coral stała pośrodku salonu radosna, jakby tych pięć lat, od czasu kiedy zeszła ze sceny, nie istniało.

— Gdzie mieszkasz?... Adres Coral jest tajemnicą, prawda? — dodał amant, który 23 lat temu z nią debiutował i wciąż nie mógł przekroczyć trzydziestki — Ale ten czy inny powód, wyglądasz...! — przechylił głowę, przymknął oczy, jakby się czymś delektował. Gierka była tak wypróbowana, że weszła mu w krew.

Zarumieniona od różu i wzruszenia, skinęła głową dziękując za komplement i równocześnie nieznacznym ruchem ręki poprawiła rzęsy. Rzuciła okiem w lustro. Dobrze wyglądała. Nie straciła linii, mimo że opięta suknia zbyt może uwydatniała pewne zaokrąglenia.

— Coral!... Tyle lat! Powiedz prawdę, gdzie byłaś?... — padały pytania i zaraz potem bardziej już intymne, ale powiedziane tak, by każdy mógł słyszeć — Podobno fenomenalnie wyszłaś zamąż. Jesteś szczęśliwa?

Coral, witając się z wszystkimi i widząc ich radość, teraz wdzięczna była Suzan, że namówiła ją na dzisiejszy wieczór; lecz w miarę jak pytania stawały się coraz bardziej fantastyczne ogarniał ją niepokój. Co by się stało, gdyby wiedzieli? Ale znów ktoś ściskał jej ręce, ktoś brał w ramiona, całował i zaraz usuwał się, by złapawszy jednego z trzech gospodarzy, dyrektorów Coloseum, zapytać szeptem, czy prawda, co mówią o Coral? Dlaczego Argentyńczyk jest taką tajemnicą?

— Nie wiem, nie wiem — odpowiadał gruby, mały monsieur Delorme, zawsze spocony i zawsze w czarnych okularach — Prywatne życie aktorki interesuje mnie tak długo, jak długo ma ze mną kontrakt. Hallo, Collins! — już witał kogoś — Jak miło, że przyszedłeś. Widzisz kto tam stoi? No? Sama Coral O'Neil! Niespodzianka, co? Idź do niej, ciekawym czy cię pozna, boś mocno przytył. Wszyscy zanadto tyjecie. Gaże chyba poobcinam.

Tak witał Collinsów, Fernandów, McDonaldów, wszystkich którzy 10 czy 15 lat temu występowali z Coral, a wciąż jeszcze wchodzili do salonu jak gladiatorzy pewni zwycięstwa. Młode znów, a już gwiazdy, chociaż dopiero tu i tam zamigotały w letnich teatrzykach, Lizy June i Anabele, witał niemal rozkazem.

— Dobrze że jesteś, June... Liz... Anabel... Widzisz tę panią w czarnej sukni, w lisach? Przypatrz się jej dobrze. To Coral O'Neil. Kiedy była w twoim wieku już była gwiazdą... już Londyn za nią szalał... — albo — ... już robiła największe kasy w Coloseum... Ale nato trzeba talentu i inteligencji. Ślicznie dziś wyglądasz. René, przedstaw ją Coral! Przygarbiony René, prawa ręka dyrekcji, ni aktor, ni muzyk, ani nawet autor, a szara eminencja music-hallów, brał poufale pod ramię Lizę, June czy Anabelę. Pod pozorem strzepnięcia pyłku z ich sukien, przesuwał ręką po deseczkach, jakimi były. Białowłosej, srebrnopowiekiej Kay, wygładził nawet dół sukni. Piękne miała nogi. Trudno. Każdy wiek ma swoje rozrywki i każdy zawód daje ku temu inną sposobność.

Jakaś wyleniała piękność, lecz doskonale ubrana, nazywając Coral „moje kochanie", z rozczuleniem wspominała wspólne występy.

— To Judy, jedna z dawnych chórzystek. Trudno żebyś pamiętała. Dziś żoną sir Waltera — René szeptem objaśniał Coral.

Ruch zrobił się przy dzwiach wejściowych. Jak na zakończenie zabawy dla dzieci wpływa na stół olbrzymi tort hiszpański z owocami, tak do salonu, przybrana reżyserami, wpłynęła Nancy Way, w minkach, kwiatach, brylantach i perłach jak rajskie jabłka. „Ależ ona utyła!" przemknęło Coral.

— Tylko minki prawdziwe. Reszta imitacja. Pieniądze lokuje w domach, nie w biżuterii — szepnął amant, nie mogący przekroczyć trzydziestki. Odrzucił głowę w tył, zmrużył oczy, jakby się czymś delektował.

Nancy rozsuwając gości biustem, jak łamacz lodów zapory na morzu, wyciągnęła ramiona. Coral owionął zapach perfum, talku, pudru i podkładu pod puder. Dwie gwiazdy, padły sobie w ramiona. O ile Nancy nienawidziła Coral przez długie lata, o tyle, gdy ta nie odnowiła kontraktu z Coloseum i wyjechała, wspominała ją z wdzięcznością. Piosenkom Nancy, wulgarnym jak ruchy, głos i mimika, nic już nie stało na przeszkodzie, by zawładnąć weekendową publicznością. Poczciwa Coral. Zostawiła jej pełnych, może już ostatnich pięć lat, na zdobycie minków i domów. Teraz Nancy porywała te tłumy, które Coral dawniej czarowała. Trafiała im do serc ich dialektem, rechoczącym śmiechem, podkasaniem i coraz to obfitszymi biodrami. Więc jak nie witać Coral, nie wybadać przy tym czy prawda, co mówią o jej milionach?

Starzy koledzy skupili się teraz wokół rywalek. Szmirusy i autentyczne gwiazdy, przeciętni, zdolni i wieczni malkontenci. Młode jak Lizy, June, Anabele, same wyłuskały się z tego kręgu. Ani ich to nie interesowało, ani do kariery nie było potrzebne.

A oni wspominali. Latami szli przecież razem na ciągi aktorskie, wyłapywali sezony, piosenki, gierki, trzymali się na złe i dobre, na befsztyk z polędwicy, jak na rybę z kartoflami; na sezon który zawiódł i sezon udany. Razem pięli się po drabinie, której szczeble dla jednych by'y środkiem, dla drugich oparciem, a dla wielu gałęzią łamiącą się za byle potknięciem. Jednak szczęśliwych czy zawiedzionych, wszystkich łączyło aktorstwo. Dola i niedola, sukces i porażka — bo nawet nieodłączna zawiść potrafiła związać ich koleżeństwem, zrośniętym z aktorstwem, jak scena z pojęciem teatru.

Coral była w swoim żywiole. Po pięciu latach znów znalazła się między swoimi. Zapomniała już nawet o rzęsach. Co tam! Niech odpadną. Śmiała się, odgrzebywała zapomniane incydenty i nawet nie spostrzegła, kiedy już zaczynała brać górę nad Nancy. Już porzucone berło samo wciskało się jej do ręki. Królowała. W tym spotkała spojrzenie Suzan. Przypomnienie wróciło. Przygasła.

Nancy, korzystając z przerwy, paznokciem ociekającym purpurą, dotknęła jej etoli.

— Lisy? — zapytała — Któż dzisiaj nosi lisy! Myślałam, że stać cię na minki, lepsze nawet od moich.

Coral od razu ożyła.

— Wolę być oryginalna, aniżeli modna — zawołała — Obecnie byle kto nosi minki, a lisy jak były wczoraj, tak będą jutro.

— Patrzcie! — Nancy zachrypiała — Jaka ona zrobiła się praktyczna!

Koledzy wybuchnęli śmiechem, mimo że wielu, dzięki rozrzutności Coral, doznali pomocy, gdy kontrakty zawiodły. Lecz złośliwość, wobec najlepszego nawet kolegi, zawsze budzi wesołość, tak jak zazdrość jednego wobec drugiego. Nancy zawsze zazdrościła Coral, a teraz mówią o jakimś argentyńskim milionerze. Nikt go, co prawda, nie widział, ale już cuda opowiadano o jego yachcie, o jego chorobliwej zazdrości i o tym, że zamknął Coral w jakimś fantastycznym domu. Kazał zerwać z teatrem i Coral — zerwała. Miłość?

— Miliony, moja droga — szepnął Nancy do ucha amant, który zatrzymał się na trzydziestce — Miliony wzniecają najbardziej bezinteresowne uczucia.

I wtenczas właśnie stanął przed nią Douglas. Nic się nie zmienił. Jedynie skronie mu posrebrzały i twarz była jakby jeszcze szczuplejsza.

— Hallo, Coral — powiedział tylko. Na sam dźwięk jego głosu nogi się pod nią ugięły. Oparła się o poręcz fotela. Nie patrzył już na nią. Witał się z René. Nancy rzuciła się ku niemu jak w deszczowy dzień tłum rzuca się do autobusu. I jak konduktor zatrzymuje tłum ruchem ręki, tak Douglas zatrzymał ją obojętnym spojrzeniem. Zaśmiała się hałaśliwie i zapytała:

— Chłopcze, a napisałeś już dla mnie piosenkę?

— Hallo Doug — dopiero po chwili odpowiedziała Coral.

Znów miała go przed sobą. Widziała jego orzechowe oczy i usta z lekko wysuniętą dolną wargą. Dlaczego Suzan nie uprzedziła jej że przyjdzie? Każdego mogła spotkać, tylko nie jego.

— Przyszedłem — mówił podchodząc do niej — Bo kwandrans temu Bob telefonował, że wróciłaś.

Nie odpowiedziała. Więc Suzan nie zdradziła. Po chwili odszedł z jakimś blondynem o twarzy pekińczyka. Na Coral już nie spojrzał. Tak lepiej.

Przyjęcie dobiegało końca. Jeszcze rozmawiano, jeszcze gospodarze szerokim gestem wskazywali kieliszki, jakby po inauguracyjnym przemówieniu dawali znak na podniesienie kurtyny, lecz ten i ów wychodził. Coral zamierzała już wycofać się dyskretnie, kiedy Delorme prowadząc ją ku oknu zapytał, czy nie chciałaby wystąpić. Pytanie tak ją zaskoczyło, że nie wiedziała co odpowiedzieć. Jeszcze ktoś liczy się z nią jako aktorką? Widząc jej wahanie dodał, że gdyby kilka wieczorów jej nie odpowiadało, to może podpisze kontrakt?

— Tylko na sezon wiosenny, ma się rozumieć — zastrzegł się z nawyku.

— Więc sądzisz, że... — nie dokończyła. Przypomniała sobie rozmowę z Susan, gdy ta namawiając ją na dzisiejsze przyjęcie, powiedziała: „O sobie możesz myśleć co chcesz, tylko nie staraj się przekonywać o tym drugich". Delorme tymczasem mówił:

— Co sądzę, to moja rzecz. Wiem tylko, że twój występ wywołałby olbrzymią sensację. Ludzie wciąż jeszcze śpiewają „Dziewczyna w zimie, jeżeli bzy" — zanucił fałszywie i przekręcił słowa — Nie ma nic głupszego nad publiczność. Po roku już zapomina. A ciebie wciąż pamiętają. Ostatecznie znikłaś w pełni powodzenia. Żadna z nich — powiódł oczami po Lizach, Anabelach i June, które już wyszły. — Nie dadzą publiczności tego, co każdego bierze, żony, czy mężów. Na co je stać? Na nogi. To wszystko. Dużo, ale okazuje się że mało. A tu trzeba das ewig Weibliche, jakie ty masz i miałaś! — aż cmoknął. Chociaż podawał się za Francuza, w chwilach emocji niemieckie słowa same nasuwały mu się na usta.

— Daj mi czas do namysłu, dobrze? — odparła wpatrując się w kwadraty na dywanie.

— Jak długo?

— Już chciała powiedzieć: „nigdy", — gdy w oczach stojącej opodal Nancy dostrzegła ten sam ogieniek, jaki zawsze błyskał, ilekroć ktoś z dyrekcji rozmawiał z Coral na uboczu. Odezwało się dawne współzawodnictwo.

— Tydzień — rzekła, patrząc w jego czarne okulary.

— Wykluczone. Najwyżej dwanaście godzin — nagle zastanowił się — Chyba że ten twój Argentyńczyk... — i jako człowiek przezorny, cofnął się o pół kroku. Z kobietą nigdy nic nie wiadomo, a cóż dopiero z aktorką. Ale Coral milczała. Patrzyła na jego okulary. Kwadraty dywanu odbijały się w nich jak miniaturowe repliki i na jednym, wielkości główki od szpilki, widać było kwiaty na kapeluszu Nancy.

— Czy ja coś powiedziałem? — zaniepokoił się. — Wiem, to są twoje sprawy osobiste, ale dyrektor jak lekarz, wszystko musi wiedzieć.

— A co ty wiesz? — zapytała.

— Nic nie wiem — cofnął się o dalsze pół kroku — To inni wiedzą, nie ja. Podobno jest szalenie zazdrosny i trzyma cię jak w więzieniu. Ale domek masz ładny, co? — przymrużył oko i znów cmoknął. Tym razem przez szacunek dla bogactwa.

— Widziałeś?

— Gdzie ja mam czas. Ale inni widzieli. Otóż, gdybyś przez występy poniosła jakąś stratę moralną, gotów jestem wyrównać. Jutro zabieram cię na lunch i wszystko omówimy. Gdzie mam przyjechać po ciebie?

— Za żadne skarby! — zawołała odruchowo.

— Tak się boisz? — aż zdjął okulary, aby lepiej się jej przypatrzeć. Ujrzała małe, zmęczone oczka i czerwone powieki. Wiadomo było, że szereg pomniejszych tekstów rewiowych Delorme sam pisze po nocach — Tak się boisz? Co się z tobą stało, Nancy... pardon... Coral. Taki bezwzględny?

— Dobrze. Przyjadę — pominęła pytanie — Dokąd i o której? Tylko pamiętaj nie powiedziałam jeszcze: tak.

— Do „Petit Trianon" o 12.30 — przypieczętował tonem człowieka który wie, że jutrzejsze spotkanie będzie tylko formalnością Zwycięstwo już dziś zostało odniesione — Przyjechałaś sama, czy z szoferem? — pytał idąc z nią do hallu. Odprowadzę cię.

— Nie, dziękuję ci. Sama dam sobie radę. Zresztą...

— Ja Coral odprowadzę — padło nagle. Między nimi stanął Douglas.

— Jeszcze lepiej — ucieszył się Delorme — To porozmawiacie o tekstach. Wiesz chyba, że Douglas nie pisze już piosenek. Przerzucił się na komedie. Ale dla ciebie zrobi chyba wyjątek. Dziękuję ci żeś przyszła. Susan osobno podziękuję. Zatem jutro o 12.30. Pozdrów ode mnie tego twojego — jak mu?

Zamiast odpowiedzieć, pocałowała go w tłusty policzek.

Owionął ją lepki chłód styczniowego wieczoru. Douglas mocno ujął ją pod ramię.

— Gdzie postawiłaś swojego Rolce Royce'a, Bentleya, a może to Dodge? — zapytał. W jego głosie uchwyciła nutkę ironii. Już chciała odpowiedzieć, ale — zatrzymała się.

— Nie wzięłam wozu. Przyjechałam taksówką i wrócę.

— Więc pozwolisz, że cię odwiozę? Mój mały Austin stoi tutaj — trzymając ją przy sobie, skręcił w boczną uliczkę.

— Nie, Doug, bardzo ci dziękuję. Pojadę sama.

— Przecież nie ma go w Londynie. Mówiła mi Suzan że wróci za dwa miesiące — teraz cedził słowa jak ktoś, kto wie co mówi i dlaczego. — Więc czego się boisz? Służby?

— Wysłałam wszystkich na urlop. Została ze mną tylko stara Kitty. Pamiętasz ją chyba?

— Zawsze jest u ciebie? — ucieszył się — Więc dokąd mam cię odwieźć? Podobno gdzieś w Kent.

Ogarnął ją nie lęk, lecz panika. Douglas wyczuł to widocznie, bo powiedział:

— Nigdy do ciebie nie przyjadę, nie zadzwonię, ani nie napiszę. Więc czego się boisz? Coral... — tak miękko wymówił jej imię, że poddała się zupełnie.

— Jedź do Beckenham; tam powiem którędy.

I znów; po tylu latach, siedzieli obok siebie. Na tle mijanych świateł znów widziała jego ciemny profil, nieregularny, z dolną wargą lekko wysuniętą. Nic się nie zmieniło. To samo uczucie szczęścia i to samo nieszczęście. Nic się nie zmieniło. Jak dawniej zaczęli rozmawiać o tekstach. Czy to prawda że nie pisze piosenek?

— Nie czytujesz recenzji — zdziwił się — Nie wiesz, że wystawiłem już trzy komedie?

— Dużo podróżowałam — odparła. Nie powie mu przecież, że od pięciu lat omijała rubryki teatralne, że o niczym nie chciała wiedzieć.

Światła stawały się coraz rzadsze i profil Douglasa zanikał chwilami w mroku.

Tak, nie pisze piosenek, bo dla kogo? Żadna z tych nowych nie umie banalnych słów zmienić w wdzięk i wzruszenie. Nic, tylko sex. Tylko sexem każda chce się ugruntować na scenie. Przeżycie aktorskie? To dla nich bez znaczenia. A piosenka polega przecież na interpretacji, nie na obniżonym głosie, żeby „działać". Na kogo? Chyba na starszych bywalców Soho. A gdzie reszta publiczności? Dlatego coraz mniej ludzi chodzi do teatru.

A Nancy? Wzruszył ramionami. Ma głos jak stary gramofon, ale śpiewa o bekonie, o pogubionych pończochach i o tym, co wakacyjni goście znajdują na plaży. Więc ma powodzenie. Ale też dlatego przestał pisać piosenki.

Wjechali do miasteczka. Teraz dokąd? Coral zebrała całą przytomność umysłu, żeby nie pomylić. Teraz w prawo... potem w lewo... i znów w prawo... nie, nie! W lewo!

Wreszcie ujrzała mur z wielką żelazną bramą, za murem willę. Powiedziała, by zatrzymał się nieco dalej. Niespokojnie spojrzała w okna. Były ciemne. Dobrze. A psy? Bo jeżeli psów nie wziął z sobą, to zaczną szczekać. Nie — dom milczał. Wielki, najeżony wieżyczkami, jak jakiś feudalny zamek.

— Duży dom — w głosie jego znów uchwyciła ironię.

— Tak, duży — mówiła szeptem i jak ktoś, komu zależy na pośpiechu.

— Dziękuję ci, Doug. Tylko proszę, nie czekaj. Odjedź zaraz, bo... — urwała. Trzymał ją za rękę.

— Muszę już iść. Jutro mam spotkanie z Delormem, ale nie wiem czy...

— Przyjdziesz. I ja przyjdę, bo prosił mnie o teksty i nową orkiestrację „Bzów".

Mogła mu tyle powiedzieć. Teraz właśnie. Gdyby nie ten dom.

— Przyjdę, tylko jedź już, jedź — prosiła.

— Nie. Najpierw wejdź do środka. Samej na drodze cię nie zostawię.

O Boże, pomyślała, a jeżeli boczna furtka zamknięta? Kitty tak się wszystkiego boi! Lecz furtka była otwarta. Weszła, furtkę cicho zamknęła za sobą i idąc na palcach w stronę domu, pozdrowiła Douglasa ręką. Odjechał. Zatrzymała się na ścieżce. Co za szczęście, że psy wziął na wieś! Ale co teraz? Czekała chwilę, poczym zawróciła. Otworzyła furtkę, zamknęła za sobą jak najciszej i wyszła na drogę.

Potykała się w ciemności, myliła kierunek, wreszcie doszła do miasteczka. Od głównej ulicy do stacji kolejowej nie było daleko. W pół godziny później wysiadła w Londynie.

Weszła do starego, jednopiętrowego domu. W sionce uderzył w nią duszący zapach pasty do linoleum. Z głębi wyjrzała gospodyni. Była stara i ciekawość wypełniała jej resztę dni życia.

— Dobry wieczór, Mrs Watson. Co tak późno? — zapytała i widząc etolę Coral i woalkę, wykrzyknęła — Jaka pani dziś szykowna! A podobna do Coral O'Neil; Oh, jak ja ją lubiłam. Gdzie pani była?

— Na ślubie. Znajomi wydawali zamąż córkę.

— Jakie to wzruszające — westchnęła — Panna młoda była w welone?

— Tak, w welonie. Dobranoc pani.

— A za kogo wyszła?

— Za urzędnika bankowego. Dobran...

— Z którego banku?

— Dobrze nie wiem. Dobranoc, miss Edwards.

— Dobranoc. Proszę się jutro dowiedzieć z którego, bo to ciekawe. Dobranoc.

Wszedłszy do siebie na pięterko, Coral ciężko opadła na fotel. Szklanym wzrokiem patrzyła na rozrzucone rzeczy. Leżały tak, jak je zostacywiła idąc na przyjęcie. Wciąż słyszała drwiący głos Douglasa: Rollce Royce, Bentley, a może Dodge?

Wulgarna Nancy, ulubienica nadmorskich music-hallów, była mądrzejsza od niej. Przez pięć lat zebrała to, co Coral przez dwadzieścia. Kiedy zejdzie ze sceny, nie sprzeda rzeczy, żeby żyć z małego kapitału. Nie zmieni nazwiska, nie przeniesie się do robotniczej dzielnicy. Ale do Nancy nigdy nie przyszła żona żadnego Douglasa i nie powiedziała: „Niszczysz go. Przez piosenki, które pisze dla ciebie, niszczysz jego talent. Przez ciebie nigdy nie będzie pisarzem. Musisz odejść". Czy Nancy by odeszła?

Westchnęła ciężko, wstała, podniosła z ziemi zniszczony szlafrok. Zaczęła zbierać rozrzucone rzeczy, ale usiadła z powrotem. Była zmęczona. Co teraz? Trzeba będzie odejść po raz drugi. Od ciekawej miss Edwards, od Delorma. Przecież nie może już śpiewać, nie umie. W jej wieku pięć lat przerwy na scenie? Trzeba odejść. Nawet od tych wszystkich, których dziś spotkała chyba po to, żeby zrozumieć jak ciężko jej żyć bez nich. Trzeba odejść od Susan, która w poszukiwaniu sensacji dziennikarskiej przypomniała sobie Coral O'Neil i znalazłszy ją tutaj, ze starego Argentyńczyka u którego służy Kitty i pilnuie domu z wieżyczkami, gdy stary wyjeżdża, stworzyć legendę o jego zazdrości i milionach rzuconych do stóp Coral.

Następnego dnia padał deszcz i dął nieprzyjemny wiatr północny. Coral pobiegła do budki telefonicznej. Zastała jeszcze Susan w domu. Gdy powiedziała, Susan zaczęła spokojnie:

— Myślałam, że jesteś bardziej życiowo wyrobiona. Kto po pięciu latach żąda od ciebie głosu? Atuty jakie ci dałam, to Argentyńczyk, zazdrość i miliony. Rozumiesz? Delorme aż zdjął okulary. gdy dowiedział się o nim. Taka reklama nie zdarza się codzień. Dlatego teraz zamiast rozpaczać, powinnaś się śmiać razem ze mną, podpisać kontrakt i przestać się poświęcać.

— Tak Susan. ale zrozum.. Douglas... Ja nie chcę. Nie mogę...

— To nie mówił ci, że owdowiał? Nie mówił? Ach, jacy ci mężczyźni są bezmyślni! Dlaczego nie odpowiadasz?

W strugach deszczu spływających po szybach budki, domy zachybotały się jakby szarpane wichrem, a z nimi budka i telefon.

— Dlaczego nie odpowiadasz? Coral! — zaniepokoiła się.

— Czy nie rozumiesz, że przez bajkę o Argentyńczyku...

Susan wybuchnęła śmiechem.

— Nigdy nie sądziłam, że aktorka w twoim wieku może być tak sentymentalna i naiwna. Rozwiedziesz się z nim zaraz po podpisaniu kontraktu. Od czego jestem dziennikarką? Co za tytuł! „Dla sceny, Coral O'Neil rzuciła męża i miliony"!

— Susan, nie znasz Douglasa... On nigdy nie...

— Bedzie tylko dumny. Mężczyźni są przecież tacy próżni! Muszę już iść do redakcji. Spotkamy się w „Trianon". Przyjdę z fotografem, zanim cała prasa dowie się o sensacji. Dowidzenia!

Coral położyła słuchawkę. Wczoraj Douglas zdobył się tylko na uwagę: Rollce Royce, Bentley, a może Dodge? Znając go wiedziała, że to było więcej, aniżeli jedno słowo wyrzutu.

Numer miała tak w pamięć wrośnięty, że mimo pięciu lat przerwy, nakręciła go bez namysłu i po kilku dzwonkach usłyszała powtórzony przez Douglasa.

— Doug — zaczęła — To ja, Coral. Zanim spotkamy się w „Małym Trianon", musze się z tobą widzieć. Proszę.

— Gdzie?

Podała swój adres i prędko wróciła do domu, żeby pozbierać rzeczy od wczoraj rozrzucone po całym pokoju.

Teodozya Lisiewicz

POKRZYWY

Okropne rzeczy się stały
W zakładach im. Nowotki!
(Najgorsze, że — jak twierdzą —
To wcale nie są plotki).

Premier ludowej ojczyzny
Honorowy i dożywotni
Został tam wygwizdany
Najzwyklej i najsromotniej;

Opiekun proletariatu,
Co to o wszystkich się troska,
Którego roboczą Polskę
Osłania dobroć ojcowska;

Ten, co od lat się poświęca,
Aby nasz naród nie zginął,
Dzień w dzień w tym celu pracuje,
A nawet w nocy też (z Niną);

Można powiedzieć, słoneczko
Tej naszej roboczej masy,
Co świeci wciąż, nieznużone,
Na polskie pola i lasy.

Zmieniają się ministrowie,
Zmiany dziejowe w ustroju,
A zawsze on, Cyrankiewicz,
Na czele wiedzie do boju.

Takiego to dobroczyńcę,
Ojczyzny spraw męczennika,
Wygwizdać się ośmieliła
Czarnej reakcji klika.

I za co? Za słowa prawdy,
Wypowiedziane z zapałem,
A które w dziełach Lenina
Widnieją czarno na białem.

BALLADA O POMYŁKACH

Powiedział (któż mu zaprzeczy?):
„W naszej ojczyźnie ludowej
Nie może miejsca być wcale
Na jakieś ruchy strajkowe!

Robotnik — tak rzekł — Jest panem,
Życie ma pełne atrakcji;
Dlatego strajk, to jest próba
Dywersji, tudzież reakcji!"

(W tym miejscu — tak głoszą plotki,
Oraz donosi wieść głucha —
Słuchacze ryknęli śmiechem,
Takim od ucha do ucha).

Jasne, że premier nie ścierpiał
Prowokacyjnych okrzyków
I smagnął biczem satyry
Podstępnych swych przeciwników:

„Socjalno-demokratyczne
Gdy komu mrzonki są w głowie,
Wytępić je potrafimy,
Niech o tym każdy się dowie.

Sto kwiatów Mao-Tse-Tunga
Niech mi na dłoni wyrośnie,
Jeśli ich nie zniszczymy
Drastycznie i bezlitośnie!"

Po tej ojcowskiej naganie
Życzliwie-wyrozumiałej,
Powinien przecież być koniec
Niesmacznej afery całej.

A gdzież tam! Nic nie pomogło,
Podła jest ludzka natura.
Bo chociaż już nie krzyczeli,
Zaczęli krzesłami szurać.

Całkiem Sodoma — Gomora,
Z nikim się motłoch nie liczy,
Jeśli się szurać ośmiela
Na samych Cyrankiewiczy!

Wdzięczności nie ma to w sercach?
Dobrodziejstw rządu nie widzi?
Dobrze, że nas tam nie było,
Żeby się za nich zawstydzić!

A może — choć to brzmi śmiesznie
I pachnie tanim sloganem —
Na serio wzięli te słowa,
Że robotnik w Polsce jest Panem?

RAWICZ

„FIOŁKI" JASIEŃCZYKA

Jasieńczyk w „Dzienniku"
W swej nowej powieści
Ośmieszył „Pokrzywy",
Co tylko się zmieści.
Tak dowcipnie pisze
O „Ostach" i „Fiołkach",
Że aż mnie ze śmiechu
W boku sparła kolka.
Taka pamięć o nas
Strasznie wszystkich wzrusza:
Miła i krytyka
Z pod pióra geniusza.

RAWICZ

JEDNYM ZDANIEM

Głód to pierwiastek komuno-twórczy,
Bo któżby myślał jak w brzuchu burczy.

Górnictwo krajowe to trud i mordęga,
Wszak mu ministruje towarzysz Mitręga!

Michał Radło

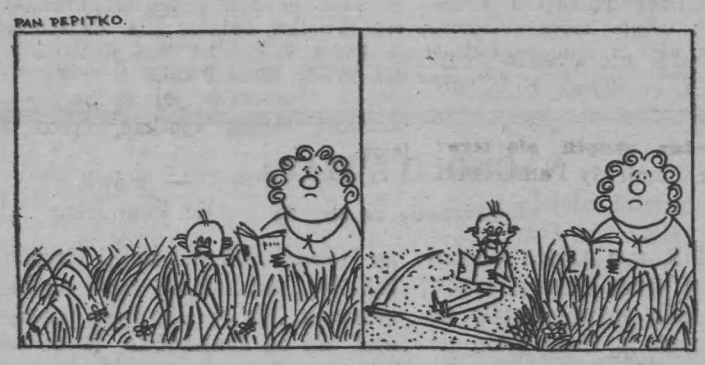

●

Sędzia patrzył długo na stojącego przed nim zbrodniarza i wreszcie rzekł:

— Ponieważ sprawa jest bardzo poważna, przydzielę panu trzech obrońców z urzędu.

— Na cholerę mi trzech obrońców? — zawołał przestępca. — Lepiej niech mi pan sędzia przydzieli jednego dobrego świadka!

●

Znany z ekscentryczności surrealistyczny malarz Salvatore Dali podczas pobytu w Nowym Jorku zwrócił się do pokojówki w hotelu z następującym poleceniem:

— Proszę mi przygotować kąpiel, ale bez wody, bo bardzo się spieszę nie starczy mi już czasu, aby się wytrzeć.

DROBNE OGŁOSZENIA

Polka z kraju, bez wymagań i nałogów, posiada wyższe wyrobienie, tleniona blondynka, wiek odpowiedni dla smakoszów, pozna pana w obojętnym wieku byle z własnym domem, samochodem i odpowiednim kontem bankowym. Małżeństwo niewykluczone.

Datki i ofiary na sowiecki mózg elektronowy dla osobistego użytku ob. Władysława Gadułki, zbiera wśród postępowej Emigracji Niezależny Komitet Pomocy dla Kraju.

Talent dziennikarski, znany z giętkiego podejścia do najsubtelniejszych problemów, za skromnym wynagrodzeniem (może być nawet w rublach) podnajmę dla wzniosłych celów.

Pleców w telewizji poszukuje utalentowana atrakcyjna śpiewaczka międzynarodowa, która w zamian chętnie udostępni inne — nie mniej atrakcyjne — części swego naturalnego wyposażenia.

„Komekon", uniwersalny mechanizm do dojenia na odległość, instaluje bezinteresownie Instytut Pomocy Radzieckiej dla krajów niedorozwiniętych i ekskolonialnych. Zgłoszenia chętnych kierować bezpośrednio do Moskwy.

SIEJBA NIKITY NA „DZIEWICZYCH ZIEMIACH" ZSRR

NOWOŚĆ! *NOWOŚĆ!*

JÓZEF GARLIŃSKI

„MATKI I ŻONY"

już jest w sprzedaży dawno zapowiadana książka, która stanowi kontynuację porywających wyobraźnię opowiadań, zebranych w pierwszej książce tego samego autora pt. „Dramat i Opatrzność".

Cena 18/6

Skład Główny: GRYF PUBLICATIONS LTD.
171, BATTERSEA CHURCH ROAD, LONDON, S.W.11
i we wszystkich księgarniach polskich.

Uwagi mimochodem

Gdy „wiosna w październiku"
— Ach co tu mówić dużo —
Zaniosła się nad Polską
Niebywałą burzą,
W emigracyjnym maju
— Fikając koziołki —
Zakwitły na ugorze
Spóźnione fijołki...

Lecz w tym cała tragedia
— Wina nie wiem czyja —
Że tam wiosna minęła,
Tu „fijoł" nie mija.

M. R.

Reżyser filmowy, z pochodzenia Polak — kupi lub wynajmie dom z dużym ogrodem lub fermą — NIE DALEJ JAK 50 KM OD PARYŻA.

Zgłoszenia do „Syreny/O.B." — 20, Rue Legendre, Paris 17 pod No. 36.

Z ZAWODÓW LEKKOATLETYCZNYCH NA WHITE CITY

„Nie mam żadnej pretensji" — powiedział Anglik po biegu

tę oczekiwaną w największym napięciu konkurencję nie zapomną jej chyba nigdy. Zimny, o którym prasa krajowa pisała, że stracił formę, że uzyskuje kiepskie czasy, że coś z nim nie jest w porządku, na londyńskim stadionie White City raz jeszcze udowodnił, że nadal jest, poza Krzyszkowiakiem (ale ten nie startował, więc trudno o nim pisać), najlepszym biegaczem długodystansowym Polski i że nadal należy do czołówki światowej. A były chwile, że wydawało się niejednemu kibicowi polskiemu, że Zimny biegnąc przez 6 okrążeń na czwartym a więc na ostatnim miejscu, raz po raz zostaje za bardzo w tyle, i że tego biegu chyba nie wygra.

Polacy mieli świetną taktykę. Tulloh prowadził do 800 m przed finałem, gubiąc po drodze swego współrodaka, znakomitego ongiś Ibbotsona, który przez wiele lat był prawdziwą dumą Anglii i który na tych zawodach przeżył podobną tragedię jak przed dwoma laty niemniej sławny jego rodak, Gordon Pirie. Widocznie tempo było za ostre i Ibbotson odstawał coraz bardziej, nie odgrywając w ostatniej fazie biegu żadnej roli. Natomiast wspaniale „biła się" między sobą czołowa trójka: Zimny, Boguszewicz i Tulloh. Na 5-tym okrążeniu Boguszewicz wyskoczył na drugie miejsce między Tulloh i Ibbotson, rozrywając biegnącą do tej pory razem parę angielską. Po chwili „wyskakuje" na czoło i obejmuje po raz pierwszy prowadzenie. Polska widownia szaleje. Na 300 m przed metą dorównuje do Boguszewicza Zimny i od tej chwili para polska biegnie ramię w ramię, blokując biegnącego tuż za nimi Anglika. I tu właśnie następuje scena, która wywołała burzę protestów wśród widzów angielskich.

Gdy Zimny z trzeciego miejsca chciał zrównać się z prowadzącym bieg Boguszewiczem była taka chwila, że przez sekundę biegł razem z Tulloh. Jeszcze sekunda i Zimny wysuwa się powoli przed Tulloh, który spostrzegłszy się co się dzieje, chciał — choć ze znacznym jak na taki bieg spóźnieniem — wybiec razem z Zimnym na czoło. Było jednak za późno, bo Zimny już zdołał dobiec do Boguszewicza. Tulloh nie zdążył przecisnąć się między Boguszewiczem a biegnącym na prawo od Tulloha Zimnym, bo wolna przestrzeń między polskimi zawodnikami już się zamknęła. Publiczność — najzupełniej mylnie w świecie — podniosła wrzask sądząc, że Polacy złośliwie i wbrew przepisom zamknęli Anglikowi drogę. Wrzask ten towarzyszył do finału i skierowany był oczywiście pod adresem Polaków.

Na ostatnim zakręcie Tulloh usiłował wspaniałym sprintem minąć Zimnego z prawej strony i nawet przez chwilę miał nieznaczną nad Zimnym przewagę. Lecz Zimny nie poddał się i w niezwykle zaciętej walce i wśród krzyków 20.000 widzów zdołał o jard wyprzedzić Anglika i bieg wygrać. Dwa czy trzy jardy za nimi dobiegał do mety Boguszewicz, który po tym występie — a biegł jako rezerwowy biegacz w miejsce Krzyszkowiaka — znalazł się w polskiej czołówce. Czas, który uzyskał, jest podobno o 25 sekund lepszy od jego najlepszego do tej pory wyniku na tym dystansie.

Po biegu powstała niezwykle gorąca sytuacja: po trybunach dziennikarskich rozeszła się wieść, iż Anglicy założyli protest. Po upływie jednak kilkunastu minut wszystko się wyjaśniło: główny sędzia orzekł, iż nie widzi podstaw dla złożenia protestu i wobec tego Anglicy z protestu zrezygnowali. Tym samym rozładowana została dość napięta sytuacja. W pamięci Anglików na pewno był incydent jaki w ub. roku powstał w Warszawie, gdy jeden z sędziów polskich orzekł, jakoby jeden z biegaczy angielskich w sztafecie 4x100 przekroczył linię. Sztafeta angielska została zdyskwalifikowana i mecz wygrali Polacy różnicą jednego punktu.

Tak jak niesprawiedliwa była publicznoć angielska, co zupełnie wyraźnie podkreśla w swym sprawozdaniu b. olimpijczyka Christopher Brasher (złoty medal w Melbourne za 3.000 m z przeszkodami) na łamach „Observera", tak obiektywne były chyba wszystkie sprawozdania w całej prasie angielskiej. Podkreślam to celowo, bo w obliczu tylu porażek poniesionych pierwszego dnia zawodów (na 10 męskich konkurencji Polacy wygrali aż 8 a Anglicy zaledwie 2, nie mówiąc już o wielu innych zawodach, jakie sprawiali biegacze i miotacze angielscy), nie łatwo było zdobyć się na spokojną i sprawiedliwą ocenę. Brasher pisze: „Zebrana na White City publiczność winna się wstydzić za siebie. Rzadko bowiem kiedy pokazano taką złą postawę sportową wśród publiczności przychodzącej na zawody lekkoatletyczne. Bo oto publiczność ta, ciesząca się sławą najbardziej fair publiczności w świecie, popisała się ignorancją i stronniczością. Wygwizdano bowiem Kazimierza Zimnego i zastępcę Krzyszkowiaka Boguszewicza za rzekome przeszkadzanie w czasie biegu Tulloh'emu...Gdyby nawet tak było, to wina spoczywa po jednej stronie a mianowicie po stronie Tulloh. A w gruncie rzeczy incydent nie był niczym więcej ani mniej jak to się zdarza w wielu biegach na średnich dystansach na całym świecie. Na ostatnim okrążeniu prowadził Boguszewicz, za nim był Tulloh a na trzecim miejscu Zimny... Zimny doszedł do ramion Tulloh prawdopodobnie z zamiarem objęcia prowadzenia, na co Tulloh za późno zareagował. Gdy Zimny wysunął się już o kilka cali, Tulloh czując że będzie zablokowany, ruszył także do przodu próbując się przecisnąć między Polakami. Oczywiście, że miał z tego powodu nieco kłopotu.

Lecz żaden foul nie został popełniony przez jakiegokolwiek zawodnika... Natomiast stronnicza publiczność widząc, że drobny (w budowie) Tulloh ma pewne trudności, podniosła istne wariackie wycie. Gorzej, bo krzyczała (przeciwko Polakom — przyp. p.h.) do końca biegu... Na ostatnim okrążeniu Polacy biegli ramię przy ramieniu — jest to prawidłowa taktyka w każdych zawodach, w których liczy się każdy punkt. Ale i wtedy nawet publiczność krzyczała".

Najważniejsze chyba będą słowa samego Tulloh, który mimo porażki zdobył się na oświadczenie, które przynosi mu jako sportowcowi zaszczyt. Oto jego słowa: *„Taktyka Polaków była absolutnie fair. Nie mam żadnych pretensji. Nie robiono mi żadnych przeszkód"*. Już po biegu, gdy wyczerpany i z trudem trzymający się na nogach mały Tulloh popijał wodę, by dojść do równowagi, zapytywali się go liczni dziennikarze, jak to tam właśnie było. Stałem wtedy obok Tulloha i słyszałem te słowa: *„Było małe zderzenie, lecz nie sądzę, aby to zrobiono celowo. Polacy biegli ramię przy ramieniu, lecz nie robili obstrukcji. Po prostu — nie byłem dość silny"*.

Słowem — wszystko było w porządku, wbrew opinii tłumu: potwierdziła to prasa, potwierdzili to sędziowie, potwierdził to wreszcie najbardziej zainteresowany. Cieszymy się, że Zimny i Boguszewicz złożyli raz jeszcze — i to na obcym boisku — egzamin, iż potrafią walczyć fair, uczciwie, po sportowemu!

Przed rozpoczęciem zawodów w kołach polskich istniały pewne obawy, czy aby nasi zwyciężą. Specom wychodziło z obliczeń, że powinniśmy lekko przegrać. Tymczasem już pierwszego dnia polscy zawodnicy odnieśli wielki sukces w konkurencjach męskich, prowadząc 63:43, wobec czego lekką porażkę w konkurencjach kobiecych 27:28 przyjęto bez zmartwienia.

Z innych sukcesów polskich trzeba wspomnieć W. Barana, który w imponującym stylu wygrał bieg na 1.500 metrów w czasie 3.40,8 min. Jego własny rekord Polski wynosi 3.40,0 min. i uzyskany został w sierpniu ub.r. w Wałczu. Wspomnieć może należy, iż minimum do zakwalifikowania się na mistrzostwa Europy w Belgradzie wynosi 3.44,0 min. Świetnie usposobiony był weteran Foik, wygrywając 100 m w czasie raczej słabym 10,6 sek., lecz bijąc obydwóch asów angielskich: T. B. Jonesa i P. F. Radforda. Imponujący był również wspaniały bieg Foika na ostatniej zmianie w sztafecie 4x100 czas 40,1 sek. (Rekord Polski wynosi 40,0 sek.). Foik pokonał swego młodszego, świetnie zapowiadającego się konkurenta na 100 m A. Zielińskiego, który wprawdzie wygrał większość swoich spotkań z Foikiem, w Londynie jednakże przegrał zajmując zaledwie trzecie miejsce. Stary Sidło, po słabych ostatnio występach w Polsce, tu, w Londynie, pierwszym rzutem objął prowadzenie, którego nie oddał do końca. W konkurencjach kobiecych Polki wygrały skok w dal, gdzie triumfowała b. rekordzistka świata, Ela Krzesińska i w dysku, w którym dwa pierwsze miejsca zajęły także Polki.

Wyniki pierwszego dnia: 100 m: 1. Foik (P) 10,6 sek. 2. Jones (A) 10,6 sek. 3. Zieliński (P) 10,7 sek. 4. Radford (A) 10,8 sek. *400 m:* 1. Brightwell (A) 46,6 sek. 2. J. Kowalski (P) 47,5 sek. 3. Metcalfe (A) 48 sek. 4. S. Swatowski (P) 48,9 sek. *1.500 m:* 1. W. Baran (P) 3.40,8 min. 2. Taylor (A) 3:45,0 min. 3. Hall (A), 4. Z. Kowalczyk (P). *5.000 m:* 1. K. Zimny 13:52,8 min. 2. Tulloh (A) 13:52,8 min. 3. L. Boguszewicz 13:53,6 min. 4. Ibbotson (A) 14:51,8 min. *110 m pł.:* 1. Taitt (A) 14,4 sek. 2. E. Gubała (P) 14,8 sek. 3. Birrell (A), 4. E. Mużyk (P) 15,8 sek. *3.000 m z przeszkodami:* 1. J. Chromik (P) 8:45,6 min. 2. Herriott (A), 3. E. Motyl (P) 8:53,2 min. 4. Chapman (A). *Sztafeta 4x100 m:* 1. Polska (A. J. Juskowiak, A. Zieliński, A. Karcz, M. Foik) 40,1 sek. 2. Anglia. 40,5 sek. *Oszczep:* 1. Sidło (P) 78,03 m. 2. W. Nikiciuk (P) 74,37 m. 3. Loveland (A) 71,36 m. 4. McSorley (A) 70,42 m. *Trójskok:* 1. Malcherczyk (P) 15.62 m. 2. Schmidt (P) 15.55 m. *Kula:* 1. Sosgórnik (P) 18.17 m. 2. Lucking (A), 3. Kwiatkowski (P) 17.08 m.

Kobiety: 200 m — 1. Hyman (A) 23,5 sek. 2. B. Sobotta (P) 24,1 sek. 3. Arden (A), 4. H. Górecka (P) 24,6 sek. *400 m:* 1. Grieveson (A) 54,7 sek. 2. Sorrell (A), 3. J. Jordan (A), 6. H. Cybulko 58,1 sek. *80 m pł.:* 1. Moore (P) 10,7 sek. 2. T. Ciepła (P) 10,7 sek. 3. M. Piątkowska (P) 11 sek. 4. P. Nutting (P) 11,4 sek. *Skok w dal:* 1. E. Krzesińska 6,20 m 2. Parkin (A) 6,18 m. 3. M. Bibro (P) 5,76 m. 4. A. Jamieson (A) 5,71 m.

●

Jeśli pierwszy dzień zawodów lekkoatletycznych Polska—Anglia był dniem triumfu zawodników polskich, którzy potrafili uzyskać aż 20 punktów przewagi nad swoimi przeciwnikami, to drugi dzień (6.8.) był dla odmiany dniem sukcesów zawodników angielskich. Gdyby nie wielki margines punktowy z soboty, to kto wie jaki był by ostateczny wynik, bo zwycięstwo polskie wisiało właściwie na włosku. Gdyby bowiem niektórzy zawodnicy angielscy uzyskali w sobotę nieco lepsze wyniki a zwłaszcza gdyby nie zawiódł całkowicie Ibbotson na 5.000 m., Peter Radford w setce, Adrian Metcalfe na 400 m, czy wreszcie John McSorley w oszczepie i różnica punktów była mniejsza, to kto wie czy w poniedziałek: reprezentacja polska nie schodziłaby z boiska pokonana. Na niepowodzenia polskie w poniedziałek wpłynęła przede wszystkim pogoda: lało bez przerwy od samego południa do końca zawodów. Boisko zamieniło się w wielką kałużę błota, na bieżni łatwiej było pływać aniżeli biegać, żal było organizatorów, sędziów i fotografów pełniących swoje funkcje w ulewie, żal było zziębniętych zawodników, zwłaszcza biegaczy, którzy poza deszczem walczyć musieli z dość silnym wiatrem przeciwnym (3,5 metrów sek.) oraz chłodem usztywniającym nogi i ręce.

Nieprzychylne dla biegaczy polskich nastroje publiczności z soboty trwały i w poniedziałek. Okazało się to szczególnie jaskrawo w czasie sztafety 4x400 metrów na ostatniej zmianie, gdzie publiczność znowu zawyła, gdy Polak walczył o prowadzenie lub gdy chciał go minąć Anglik. Obawiam się, że może to wprowadzić raz na zawsze nieprzyjemną atmosferę na zawodach polsko-angielskich i że nastroje te mogą się przenieść na teren polski, do czego jednak nie należałoby dopuścić. Fatalna pogoda przyczyniła się — rzecz jasna — do poważnego obniżenia wszystkich wyników, o co nie można mieć pretensji do zawodników.

Piękny był bieg na 10.000 m, gdzie znakomita para angielska Bullivent i Hyman co okrążenie zmieniała między sobą prowadzenie. Ożóg tylko raz na małym odcinku próbował bieg poprowadzić, lecz z miejsca musiał przejść na swoje trzecie miejsce. Niemniej podkreślić należy, iż Ożóg biegł doskonale trzymając się cały czas pary angielskiej, która mimo wysiłków nie mogła go po drodze „zgubić". Odpowiednio do pogody były także wyniki w skoku wzwyż panów. I tu niespodzianką było zajęcie obydwóch pierwszych miejsc przez Anglików. Tak samo w skoku w dal. Wydawało się, że bieg na 800 m winien był wygrać Polak a nawet, że zajmiemy dwa pierwsze miejsca. Anglicy jednak potrafili się przebić przez prowadzących Polaków i ku zdumieniu widzów polskich a radości kibiców angielskich potrafili wywalczyć cenne punty. Po tym biegu raz jeszcze okazało się, jakim błogosławieństwem było uzyskanie przewagi punktowej w sobotę. Jeszcze jedną niespodzianką była przegrana Foika na 200 m. Anglik Jones odbił się za przegraną setkę w sobotę, zaś drugi Anglik, Bradford, zajął i tu ostatnie miejsce. Niezmiernie ciekawa była ostatnia konkurencja kobiet: sztafeta 4x100 m. Polki prowadziły w tym momencie różnicą 1 punktu, w razie przegrania sztafety przegrywały cały mecz, w razie zwycięstwa mogły dołączyć się do sukcesu ekipy męskiej. Niestety — sztafeta została przegrana. Spotkanie wygrały Angielki 54:52 p. W konkurencjach męskich wygrali Polacy. 108:104 p.

Wyniki poniedziałkowe mężczyzn: tyczka — 1. W. Osiński (P) 4.00 m. 2. Stevenson (A) 3.90 m. 3. Burton 3.90 m. 4. Gronowski 3.90 m. *Młot:* 1. Rut (P) 62.17 m. 2. O. Ciepły (P) 60.91 m. 3. Payne (A) 60.10 m. 4. Allday (A) 55.06 m. *400 m pł.:* 1. Surety (A) 52,1 sek. 2. Z. Kumiszcze (P) 53,2 sek. 3. Goudge (A) 53,3 sek. 4. A. Makowski (P) 53,4 sek. *Bieg 10.000 m:* pierwsze miejsca zajęli w tym samym czasie Anglicy Bullivent i M. Hyman 29:31,6 min., powtarzając swój sukces w spotkaniu z Polską z 1959 r. 3. S. Ożóg (P) 29:33,8 min. 4. J. Mathias (P) 30:00,8 min. *Skok wzwyż:* 1. Fairbrother (A) 2.01 m. 2. Miller (A) 1.90 m. 3. E. Czernik (P) 1.90 m. 4. P. Sobotta (P) 1.85 m. *Skok w dal:* 1. Howell (A) 7.26 m. 2. Morbey (A) 7.16 m. 3. W. Gawron (P) 7.16 m. 4. A. Stelmach (P) 7.05 m. *Bieg 800 m:* 1. Purkis (A) 1:52 min. 2. Hartis (A) 1:52 min. 3. Z. Lipkowski (P) 1:52,6 min. 4. J. Bruszkowski (P) 1:52,6 min. *Bieg 200 m:* 1. Jones (A) 21,6 sek. 2. Foik (P) 21,8 sek. 3. A. Zieliński (P) 21,9 sek. 4. Radford (A) 22,5 sek. *Dysk:* 1. E. Piątkowski (P) 55.12 m. 2. Z. Begier (P) 53.74 m. 3. Cleaver (A) 49.65 m. 4. Hollingsworth (A) 49.30 m. *Sztafeta 4x400 m:* 1. Anglia 3:15,7 m. 2. Polska (Kluczek, Kowalski, Swatowski, Gierajewski).

Kobiety: oszczep — 1. T. Truskawińska (P) 46.85 m. 2. Platt (A) 45.50 m. 3. K. Grochal (P) 45,32 m. 4. Nichols (A) 40.83 m. *Kula:* 1. J. Kowalczuk (P) 14.55 m. 2. S. Kiewleń (P) 14.16 m. 3. Allday (A) 14.02 m. 4. Peters (A) 12.72 m. *100 m:* 1. Hyman (A) 11,8 sek. 2. T. Ciepła (P) 12,1 sek. 3. H. Górecka (P) 12,2 sek. 4. Moore (A) 12,3 sek. *Bieg 800 m:* 1. Jordan (A) 2:09,8 min. 2. Perkins (A) 2:10,1 min. 3. K. Nowakowska (P) 2:10,3 min. 4. B. Żbikowska (P) 2:17,6 min. *Sztafeta 4x100 m:* 1. Anglia 46,2 sek. 2. Polska 46,3 sek.

●

Tytuł mistrza Polski w koszykówce zdobyła Wisła (Kraków), a wice-mistrza AZS AWF Warszawa, dalsze miejsca zajęli: Legia Warszawa, Śląsk Wrocław, Lech Poznań. Jest rzeczą charakterystyczną, iż pierwsze cztery drużyny miały równą ilość punktów po 39 a o kolejności miejsc zadecydował lepszy stosunek koszy.

NAOKOŁO ŚWIATA

(Dokończenie ze str. 8)

morzu niewolników z Afryki albo zostali wytępieni przez Europejczyków, przede wszystkim przez piratów zanieczyszczających te wody przez dobrych dwiescie lat. Dziś mikroskopijne ilości Karaibów zachowały się na St. Vincent, Trinidad, Wyspach Zatoki — the Bay Islands — w brytyjskim Hondurasie a przede wszystkim na wyspie Dominica — tej od Kolumba. Jest to wulkaniczna i bardzo górzysta wyspa i bardzo trudno dostępna. Dzięki temu też do dziś mieszka na niej około 2 tysiące Karaibów, w tym około 200 czystej krwi. Na St. Vincent przeżenili się oni z murzynami i potomstwo ich jest znane jako „Czarni Karaibowie". Na Trinidad doliczono się około 100 Karaibów rozsianych w okręgu Arima i Blanchisseuse Ward. Natomiast liczne plemiona Arawaków istnieją do dziś dnia w stanie pierwotnej niewinności w dżunglach brytyjskiego Hondurasu i Brytyjskiej Gujany. W tym ostatnim kraju „poputczik" — dentysta — mąż stanu — Hindus — premier dr Cheddi Jagan zapowiedział że zajmie się „podniesieniem poziomu życia Arawaków". Żeby mu w piersiach grało. Karibowie łapią ryby, posyłają dzieci do szkół i nie wadzą nikomu. Nikt też nie chce ich uszczęśliwiać. Głowę bym dał iż na stacji Victoria widziałem niedawno Karaiba. Był w tłumie czekoladowych imigrantów z Indii Zachodnich którzy właśnie wyładowywali się z t.zw. „Ace of Spades Express" — pociągu pośpiesznego Asa Pikowego. Karaib miał twarz jak Winnetou, czerwonoskóry gentleman, i długie czarne i jedwabiste włosy, całkiem proste.

* * *

„Michałki sezonu ogórkowego" (skąd się wzięły te dwa określenia?) na temat „już starożytni Rzymianie itd., itd., itd., należy tępić ogniem i mieczem. Ale oto nie mogę powstrzymać się od doniesienia, iż w Casas Grandes w Meksyku archeolodzy odkryli budynki pochodzące z około r. 1200 po Chrystusie. Są to po prostu czynszowe domy pięciopiętrowe z bieżącą wodą, kanalizacją wewnętrzną, placami zabaw, kortami tenisowymi (w każdym razie do gry w piłkę). Nie wiadomo kto je zbudował, jaki był czynsz i w jakiej monecie. Były one częścią miasta które leżało u podnóża masywu Sierra Madre. Mieszkańcy jego wyznawali religię „Uskrzydlonego Węża" jeden z bardziej zagadkowych kultów przedkolumbowej Ameryki. Obecnie miasto w Casas Grandes jest odkopywane wspólnie przez Narodowy Instytut Antropologii i Historii Meksyku i t.zw. Amerind Foundation z Dragon, Arizona.

Właściwie jest to ciekawostka dla specjalistów raczej. Ale piszę o niej po przeczytaniu, pobieżnym, specjalnie irytującej broszurki sowpolskiej o „mieszkalnictwie". Że to niby dopiero zdobycze Wielkiej, Socjalistycznej,.... Broszurka została wydana co prawda w okresie „błędów i wypaczeń", w r. 1956. A tu okazuje się, że to nie „sowiecki człowiek" wynalazł klozet w którym zresztą pierze bieliznę.

Czesław Jeśman

Od redakcji: W poprzednim numerze „O.B." z dn. 2.8.br. umieściliśmy „Naokoło świata" pióra Czesława Jeśmana p.t. „Łże — Mackensen i inne sprawy". Niestety — chochlik drukarski „czuwał", aby pod artykułem nie umieścić nazwiska autora. Wprawdzie Czytelnicy nasi wiedzą, że artykuły te pisze red. Czesław Jeśman, niemniej przepraszamy go za to przeoczenie.

ORKAN (LEICESTER) PIŁKARSKIM MISTRZEM EMIGRACYJNYM

Ub. niedzieli odbyły się w Cannock tradycyjne finały emigracyjnych mistrzostw piłkarskich o Puchar gen. W. Andersa. W finale spotkali się: Orkan (Leicester) — PKS (Manchester). Ponieważ mecz zakończył się wynikiem remisowym 0:0 o zdobyciu mistrzowskiego tytułu decydować miały 3 kolejno strzelone jedenastki do każdej bramki. Z pierwszej serii strzelonych jedenastek obydwaj bramkarze przepuścili po dwie, wobec czego trzeba było zarządzić jeszcze jedną serię, w której padł wynik 3:1 dla Orkanu. W finale pocieszenia Unitas (Manchester) — Młodzi (Londyn) 2:2 (1:1). I tu o zdobyciu pierwszego miejsca decydowały trzy kolejno strzelone jedenastki. Wygrał Unitas 3:1. W walce o 3-cie i 4-te miejsce Varsovia (Londyn) — Lot Derby) 3:1 (2:0). Był to najładniejszy mecz, przy czym Varsovia zagrała wręcz doskonale. Na finałach byli obecni: gen. W. Anders, gen. K. Glabisz — prezes Związku Polskich Klubów Sportowych, S. Soboniewski — prezes Oddziału W. Brytanii SPK. Wzorowa organizacja spoczywała w rękach Pogoni z Birmingham, kierownikiem zawodów był p. Reda. Widzów ponad 1.300. Cała impreza trwała ok. 5 godzin, co było niewątpliwie za wiele nawet dla najtwardszych kibiców.

Paweł Hęciak

B.D.I.C

PANI W DOMU I W ŚWIECIE

CO WARTO ZJEŚĆ?

Stilton -- Porto -- „Steak á la portugaise" -- Oberżyny

Porto, podstawa przyjaźni Portugalii i Anglii, klasyczny trunek angielskich polityków i kupców w „City", rozpowszechniło się ostatnio także we Francji. Należy mieć nadzieję, że Francuzi, naród doświadczony gdy chodzi o właściwy dobór potraw i trunków, wyperswadują swej młodzieży pomysł picia porta jako „apéritif'u". Porto należy pić po dobrym obiedzie, a nie przed nim.

Specjalnością typowo angielską jest ser stilton rozrobiony z portem. Stiltonowi należy się — moim zdaniem — bardzo honorowe miejsce na liście wszystkich serów. Druga lokata po rokforze z ogromnym wyprzedzeniem rozmaitych fałszywych gatunków gorgonzoli, sprzedawanych jako „bleu" lub „blue": duńskie, holenderskie i inne.

Stilton należy rozrobić sposobem rokforowym z masłem, dodając do powstającej masy lojną dawkę czerwonego porta. Oczywiście im porto lepsze tym lepszy będzie rezultat mieszaniny. Dla czuwających nad swym cholesterolem margaryna będzie równie dobra jak masło, gdyż masło służy tylko jako lepiszcze a smak preparatu zapewniają stilton i porto.

„Preparat" należy jeść z minimalną ilością chleba lub innych biszkoptów, zagryzając rzodkiewką lub surowym selerem i dopijając z namaszczeniem reszty porta. Czy reszty z kieliszka czy z butelki pozostawiam roztropności konsumenta...

Lecz żeby z pożytkiem dojść do stiltonu z portem, należy dobrać starannie potrawy obiadu czy kolacji. Stilton z portem to jak aria operowa odśpiewana na „bis". Jedna piękna aria nie ocali całej opery jeśli reszta partytury będzie kiepska...

Proponuję zatem na przystawkę oberżyny, przyrządzone na zmodyfikowany sposób portugalski. A zatem: 1/2 kilo oberżyn pokrajane wzdłuż na plastry. Posolić, podsmażyć na oliwie aż nie nabędą koloru złocistego. Przełożyć do „pyrexu" zlać resztę oliwy, oblać dobrą pastą pomidorową lub obłożyć świeżymi pomidorami (w cieńkich plasterkach). Obsypać drobno posiekanym jajkiem i tartym parmezanem. Zapiekać przez 20 minut na średnim ogniu.

To była „uwertura". Co dalej? Oczywiście „steak à la portugaise"! Kilo filetów wołowych + pół kila pomidorów + ćwierć kila oliwek zielonych (wydrylowanych!), jeden pokaźny seler lub cebula. Natrzeć steak oliwą i podsmażyć na patelni lub podgrylować. Przełożyć do „pyrexu", ułożyć na wierzchu cieńko pokrajany bekon, na nim pomidory, na nich oliwki i wreszcie seler lub cebulę, lekko podduszoną. Zapiekać przez 15 minut na średnim ogniu, poczem obsypać parezanem i zapiekać przez dalsze 5 minut. Podać na gorących talerzach z kartofelkami smażonymi lub z fritkami.

Całość obiadu bardzo „portugalska", a ponieważ porto ma być jego ukoronowaniem, więc konsekwentnie podajemy do oberżyn lekkie „Dâo" a do steaku „Matteus", najlepiej różowy. Dobre wina i tanie. W Anglii można je teraz dostać wszędzie. We Francji zastąpi je doskonale każde „rosé", lecz najlepiej Côte de Provence lub zwykły Cabernet.

Jeszcze czarna kawa i już koniec. Aha! Na ile osób te portugalskie przepisy? Cztery będą bardzo zadowolone. Na troje byłoby za dużo. Lecz jedzenie we troje to wypadek rzadki...

Bardzo to wszystko było oliwiaste i serowe — powiecie. Owszem, ale bardzo smaczne.

Joanna S.

BILETY,
SPROWADZANIE RODZIN
Z POLSKI
ANGLOPOL TRAVEL
Tel. FRE 1155
121, Earls Court Rd., London, S.W.5.

Jesień pod znakiem swetra

Pullover odsłaniający szyję, długie rękawy, całość broderowana, zawsze w dwóch kontrastowych kolorach. Kreacja LAINE F.M.F. — Sweaters Jean Desses — (Copyright)

Jak zwykle Paryż zadygotał z podniecenia przed pokazami kreacji jesiennych. Większość odbyła się w końcu lipca. Trochę to nieprzyjemne, przy tegorocznej pogodzie, że już „ubieramy się" na jesień, gdy się na dobrą sprawę jeszcze lato nie zaczęło...

Po pokazach wybucha zwykle bunt przeciwko nowemu dyktatowi wielkich domów „haute couture". W tym roku było inaczej. Bunt wybuchł przed pokazami na podstawie pogłosek o tendencji wydłużania sukienek. Wydłużenie tegoroczne jest wstrzemięźliwe — po prostu stawia tamę dalszemu skracaniu. Kolano będzie granicą, powyżej której nie należy się posuwać.

Rozszerzyły się ramiona choć niezbyt radykalnie. W każdym razie będziemy bardziej „kanciaté" niż „opływowe" co było cechą kroju i sylwetki przez kilka ostatnich lat. Dalszą cechą charakterystyczną będzie zwężenie spódniczek i nieznaczne podniesienie stanu. Niezbyt to wielkie zmiany i dość monotonnie jednolite we wszystkich modelach.

Jerseye w kostiumach i swetry raczej spokojne w pomysłach i wzorach wybiły się zdecydowanie na czołowe miejsca w pokazach. I tu należy sądzić, że nie będzie oporu z niczyjej strony.

Głównie dlatego, że modele tegoroczne są łatwe w masowej produkcji i nie będzie dużej różnicy między bajońsko opłacanymi sukniami „oryginalnymi" a strojem, na który może sobie pozwolić każda kobieta w Europie zachodniej.

Szczęśliwie rozwiązano sprawę dominujących kolorów na tegoroczną jesień i przyszłą zimę. Czarny utrzymuje swe stare pierwszeństwo. Obok niego zdecydowane kolory jak najdalsze od pastelu: czerwony i szmaragdowy. A także jasno niebieski — mnóstwo możliwości w tym kolorze — oraz różowy, dość ostry. W akcesoriach swoboda ogromna a pogłoski o fantastycznych kształtach obuwia do „haremowych" pantofli z podwijanymi noskami włącznie, okażą się w praktyce tylko pogróżką.

Oboje stali sprawozdawcy, Jean Claude i Josette, są na urlopach. Dostarczyli za to fotografii, które produkujemy w tym numerze. Mam nadzieję, że nie pomdleją z oburzenia przeczytawszy moją krótką opinię o modzie jesiennej.

Eva d'Ervart

„Eclat" — Sweterek polo z kołnierzykiem broderowanym, zawiązywanym na sznur. Kreacja COURTELINE (Copyright)

Jadzia o tremie i komplementach

Czuję się zaszczycona, awansowana i ogromnie uhonorowana. A przy tym bardzo się boję, czyli mam tremę.

(MÓWI JADZIA)

Przez dziesięć, a może więcej lat, pisywałam swoje kawałki do „Pokrzyw". Zaczęło się z przypadku. chciałam napisać poważny, ba, nawet wzniosły artykuł. Właściwie nowelę. „Jadzia, tego ci nikt nie wydrukuje" — powiedzieli chórem wszyscy krewni, znajomi i przyjaciele. Wysłałam. Wydrukowali. I otrzymałam list bardzo długi z czekiem bardzo małym. W liście zawiadamiał mnie redaktor „Pokrzyw", że wypadło to tak cholernie śmiesznie, iż zaprasza mnie do stałego pisania; właśnie „śmiesznych kawałków". Zaczęłam pisać, właściwie opisywać swe różne przygody, prawdziwe i zmyślone. Mówili o mnie i pisali do mnie, że mam w swym stylu „coś" co pozwala mi bezkarnie lawirować na samym brzeżku „cenzuralności". Anglicy to nazywają żeglowaniem tuż pod wiatr — Francuzi jakoś inaczej, ale równie pięknie. Dowiedziałam się także, że czytają mnie w pierwszym rzędzie mężczyźni. Miałam na to dowody. Raczej mam: listy w grubej teczce. Większości drukować by się nie dało, bo piszący nie zwracali żadnej uwagi na granice cenzuralności. Oświadczyny pół-poważne i półżartobliwe trzymam osobno, bo się zawsze mogą przydać. Prezenty — było tego trochę — trzymam w szufladzie.

Ach, ci mężczyźni!

Dowiedziałam się również przez lata pod czyim wpływem literackim pozostaję. Wywnioskowano jakie mam wykształcenie i wyjaśniono wszystkie psychologiczne zakamarki mojego jestestwa. Zdumiewałam się zawsze, lecz uwierzcie mi: nigdy żadnych komplementów nie brałam na serio.

Mam swój ustalony pogląd w sprawie komplementów i choć nie jestem zarozumiała sądzę, że moja recepta każdej kobiecie bez względu na wiek i na urodę może się przydać. Zaraz powiem o co chodzi.

Lecz zanim to zrobię, jeszcze kilka słów o tremie. Tym razem powiedziano mi, że mój felieton ma się znaleźć nie w dodatku „pokrzywim" lecz w dodatku „Pani". A więc znowu jestem na „pograniczu"... Zapożyczając dowcipu ze starej fraszki Kotwicza, występuję jako „Lekka Pani w Pokrzywach...". Stąd trema. Zrozumiała, bo zawsze to co się mężczyznom w kobiecie podoba jest kamieniem obrazy dla innych kobiet a to co się kobietom w kobiecie podoba skazywało by ją na wieczne panieństwo. Na szczęście kobietom bardzo się rzadko coś w innej kobiecie podoba.

Trema uległa zresztą w naszych czasach daleko idącym modyfikacjom w sensie kulturalnym, społecznym i obyczajowym. Moim zdaniem głównym czynnikiem zmiany była t.zw. „couchette" kolejowa. Dla czytelniczek za Oceanem wyjaśniam, że u nich to się nazywa „roomette". Instytucja ta pozwalała spać w pociągu. W ścisku co prawda, lecz tanio. Otóż podróż w „couchette" niszczy tremę. Tak się zwykle zdarza, że w jednym przedziale rozbiera się i układa do snu albo pięciu panów i jedna ja, albo nas, pań, jest pięć a mężczyzna jeden. Ciekawa rzecz, że pięciu mężczyzn w obecności jednej kobiety zachowuje się z niebywałą brawurą i pewnością siebie. Mężczyzna samotny wśród stada obnażających się beztrosko kobiet zamienia się w słup soli z zażenowania.

Na tremę i fochy pozwolić sobie można było w czasach, gdy każdy miał więcej miejsca przeznaczonego na swój prywatny użytek. Dziś każda plaża jest zatłoczona jak magazyn mód w dniach wyprzedaży. Sprawy dawniej intymne stają się zgoła publicznymi i nikt się tym specjalnie nie przejmuje. Czy to źle, czy dobrze? Nie wiem na pewno, lecz wiele przemawia za tym, że raczej dobrze. W moralności główne niebezpieczeństwo polega na robieniu z igieł wideł. Im lepiej się nawzajem znamy, tym mniej mamy w głowie niezdrowych myśli i trudniej powstają pokusy.

A teraz komplementy. Usłyszeć coś przyjemnego o sobie — rzecz przyjemna. Nawet gdy wiemy, że dużo w tym przesady. Lecz „owoc wiadomości dobrego i złego" polega na tym w jakim celu ktoś komplementy prawi. Komplement przemyślany i obmyślony: dziewczyno miej się na baczności. Komplement od niechcenia, lekki i wesoły: przyjmij go i odpłać się komplementem. Nikt tak komplementów nie potrzebuje jak mężczyźni. Mężczyźni bez pochwał i komplementów smutnieją, załamują się i zaczynają się zwierzać. Bo mniej o sobie wiedzą niż kobiety, które mogą się z komplementów cieszyć, ale nigdy w nie nie wierzą...

My wiemy swoje. O sobie i o innych. Nawet gdy się do tego nie przyznajemy.

Jadzia

SZYBKO I TANIO!
Biuletyny, ulotki reklamowe, druki jedno- i wielobarwne
wykonują
ZAKŁADY GRAFICZNE
GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.
171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W.11.
Telefon: BAT 0879

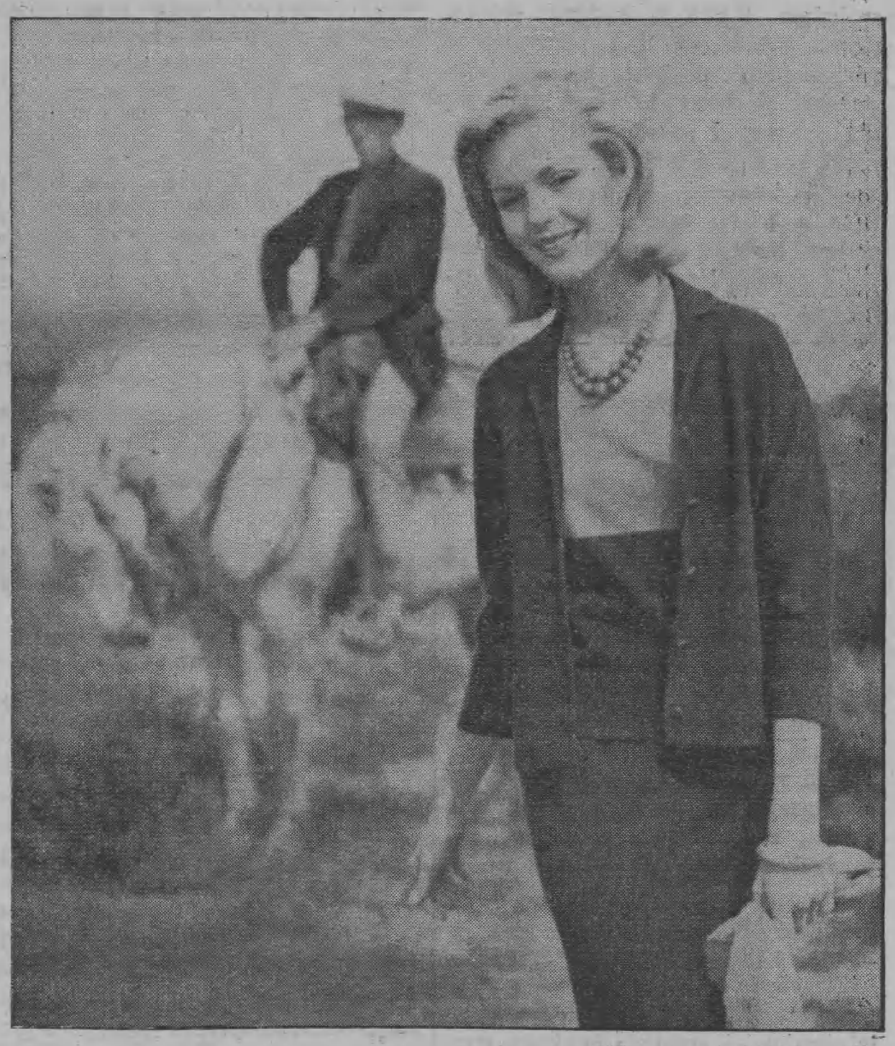

Ensemble z jersey z czystej wełny, brązowy, na pulloverze bez rękawów w trzech kolorach: brązowym, orzechowym i beżowym.
Kreacja — BESSART, Paris. (Copyright)

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE do POLSKI
Tel. FRE 3175
TAZAB
22, Roland Gdns.
London S.W.7

LEKARSTWA! LEKARSTWA!
We Francji ELKA S.A.R.L. 20 rue Legendre Paris 17
W NOWYM YORKU: TAZAB, 36 Third Avenue N.Y.3. N.Y.

SPK

Z życia Kombatantów

DODATEK ZARZĄDU GŁÓWNEGO S.P.K.

NA ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA

ŚWIĘTO Żołnierza Polskiego — dzień 15 sierpnia przypada w dniu uroczystego święta Wniebowzięcia N. Marii Panny. Ustanowione zostało wolą i uchwałą suwerennego Sejmu Ustawodawczego dla upamiętnienia po wieczne czasy wielkiego i samodzielnego zwycięstwa odrodzonej armii polskiej, obrony przed inwazją wojsk czerwonych Rosji sowieckiej, by użyć określenia brytyjskiego historyka wojskowego — „hord bolszewickich, które przez obalenie Polski, zaledwie organizującego się państwa — szły na podbój Europy". Europy rozbrojonej i wycieńczonej co dopiero zakończoną wojną, Europy zmęczonej i ustalającej swe nowe urządzenia społeczne i polityczne, Europy niezdolnej w tym czasie do stawienia oporu, gdy szumne hasła Kremla — wydawały się dla niejednych jeszcze bardzo atrakcyjne.

Przez obcych uznana jako 18-ta decydująca bitwa w historii świata, przez naród poczytana początkowo niemal jako cud — bitwa sierpniowa pamiętnego roku 1920-go stała się dla państwa i narodu podstawą dalszego rozwoju i rozbudowy. Do trudnej i żmudnej — niepozbawionej zresztą nieraz tarć i zgrzytów — pracy budowy własnych urządzeń państwowych i społecznych stanął cały naród, wszystkie jego warstwy.

Jak zły, koszmarny sen mijały wszystkie dzielnicowe odrębności, wszystkie nawyki przeszłości, niewoli i przymusu trzech zaborczych państw. Naród, zjednoczony w wysiłku sierpniowej wielkiej bitwy nad Wisłą — u wrót swej stolicy, rozegranej z wiarą i ufnością we własną niezależną przyszłość stanął przy warsztacie pracy, dla której piękne zwycięstwo było nie tylko słuszną dumą, lecz przede wszystkim fundamentem niezależnego niepodległego bytu.

W oparciu o to zwycięstwo, którego wielkość i znaczenie wzrastały niemal z roku na rok — wobec nadchodzącej nowej burzy dziejowej, tym razem zarówno od zachodu jak i wschodu — szła mozolna i wielka praca organizacji własnych sił zbrojnych, lądowych, morskich i powietrznych.

Zwycięstwo — bez którego nie da się pomyśleć żadna wartościowa siła zbrojna — stało się punktem wyjścia dla tej pracy, stało się wspólną własnością i najpiękniejszą mocną tradycją odrodzonego wojska naszego.

Z perspektywy przeszło 40-letniego dystansu pominąć można wszystkie ówczesne animozje, spory i małostki. W całym pełnym blasku jaśnieje wiktoria roku 1920-tego, być może największa na przestrzeni naszych dziejów i na pewno godna wielkich swych poprzedniczek Kircholmu, Chocimia i Wiednia. A w blasku tym na naczelne miejsce wybija się postać Józefa Piłsudskiego, Wielkiego Polski Marszałka, który zwycięstwo to wyczarował, gdy groza nieuchronnej klęski wydawała się niemal pewnikiem, z którego pracą i imieniem związana jest w historii cała ta epoka, krótkotrwały, niestety, okres prawdziwej niezależności i niepodległości państwa.

Gdy w słonecznym poranku pamiętnego dnia 1 września 1939 roku ruszyły na Polskę pancerne kolumny Hitlera wraz z jego olbrzymią przewagą techniczną — napotkały na zdecydowany opór całego narodu i państwa, całej jego siły zbrojnej. Gdy przyłączyły się do nich czerwone kohorty Kremla — naród nie ugiął się w mrokach podwójnej niewoli, wszedł w podziemie i konspirację lub szukał oparcia u boku sprzymierzonych państw Zachodu. Tu i tam odtworzył konieczne instytucje życia państwowego, tu i tam zorganizował jak mógł najlepiej swe zbrojne ramię. — W okresie tych lat kilku największych w dziejach zmagań całego świata — naród polski wykazał jak najdobitniej że pragnie wolności i niezależności, że chce żyć jedynie we własnym, niepodległym państwie. — O to bili się grenadierzy 1 dywizji, brygada pancerna i strzelcy dywizji pieszej na polach Francji w 1940 roku, o to ginęli pod Narwikiem, Tobrukiem i Gazalą. — O te najwyższe ideały legli tysiącem zabitych na zboczach krwawo zdobytej twierdzy opactwa na Monte Cassino, torując drogę sobie i innym do miasta wiecznego, do Rzymu. — Z tą myślą i pod dźwięki — sercu polskiemu tak miłe — szli żołnierze Korpusu „z ziemi włoskiej — by dojść do polskiej".

Gdy ruszyła największa w wojennych dziejach świata wyprawa na zdobycie fortecy Europy od zachodu — nie zabrakło tam w najważniejszych chwilach polskiej reprezentacji. Falaise i Breda, krwawy szlak przez Holandię i Francję z rzetelną żołnierską dumą powtarzane być mogą przez weteranów tej kampanii. Nie brakło polskich spadochroniarzy pod Arnhem, gdy ta najmłodsza broń z tak wielkim trudem organizowana szukała rozstrzygającej bitwy. — W samotnej „Battle of Britain" — jedynie o sprzymierzonych polskich eskadrach lotnikach mówiły codzienne komunikaty sztabu imperialnego. „Polskie skrzydło" powtarzało się odtąd stale, podobnie jak znane są wyczyny jednostek polskiej marynarki wojennej, operującej u boku tak potężnej floty, jak brytyjska i Stanów Zjednoczonych. Orzeł i Błyskawica, Grom, Garland jak i inne polskie jednostki mają swój własny wydźwięk wojenny, swoje dobre imię.

Zryw Warszawy i Armii Krajowej w najbardziej krwawym i heroicznym wyczynie — nie ma zapewne analogii w dziejach tej czy innej wojny. — Powstanie warszawskie stanowi odrębną kartę w historii naszej, kartę dumną i tragiczną ale równocześnie wspaniałą. Prawda tej tak samotnej znów bitwy, przeszło dwumiesięcznej, polskiej stolicy — stała się odrazu legendą bohaterstwa, jak legenda jest jedynie częścią prawdy historycznej tego zespołowego bohaterskiego wysiłku.

Warszawa, pamiętna i dumna ze swego zwycięstwa 1920 roku — w nim szukała zapewne oparcia i nadziei, gdy zmienne losy wojny znów szukały rozstrzygnięcia nad Wisłą.

Zwycięstwo sierpniowe 1920 roku jest Świętem Żołnierza, który w dniu tym, gdziekolwiek go losy rzuciły chce patrzeć z ufnością i nadzieją w lepsze jutro swego kraju.

Stefan Benedykt

GŁÓWNIEJSZE

UCHWAŁY ZJAZDU SPK W. BRYTANIA

W SPRAWIE PASZPORTÓW REŻYMOWYCH

Zjazd SPK w W. Brytanii stwierdza, zgodnie z instrukcją Zarządu SPK w W. Brytanii z 12. 10. 61, że przyjmowanie paszportów reżimowych jest sprzeczne z założeniami ideowymi SPK. Zgodnie z tą zasadą, przyjęcie paszportu reżimowego powoduje zawieszenie w prawach członka SPK. Pozostanie w szeregach SPK osób, które przyjęły paszport reżimowy, może nastąpić tylko w wypadkach szczególnych. Przepisy wykonawcze postępowania w takich wypadkach opracuje Zarząd SPK w W. Brytanii.

Zjazd przestrzega społeczeństwo polskie przed lekkomyślnym traktowaniem sprawy paszportów reżimowych. Przyjmowanie paszportów: 1) jest sprzeczne z ideą walki o wolność dla narodu polskiego; 2) jest aktem dobrowolnego uznania władzy obcej, narzuconej przemocą narodowi polskiemu; 3) pozbawia wszelkich praw uchodźcy politycznego.

W SPRAWIE POWSZECHNEJ ORGANIZACJI POLAKÓW

Walny zjazd SPK w W. Brytanii uznaje potrzebę powołania centralnej polskiej organizacji społecznej w wolnym świecie za niezmiernie ważną i aktualną. Organizacja taka powinna dążyć do objęcia wszystkich osób polskiego pochodzenia, mieszkających w różnych częściach świata, bądź przez członkowstwo indywidualne bądź poprzez organizacje biorące udział w naczelnej reprezentacji. Celem tej naczelnej polskiej organizacji społecznej winno być:

1) utrzymanie polskości oraz ścisłego związku z kulturą polską;

2) jak najskuteczniejszy współudział wszystkich Polaków w świecie w walce o wolność narodu polskiego, o równe prawa z innymi narodami wolnego świata;

3) wzajemna pomoc Polaków i osób polskiego pochodzenia rozproszonych po całym świecie i pomoc dla Polaków w Kraju.

Zjazd apeluje o prace w tym kierunku na wszystkich szczeblach organizacji SPK. Zjazd stwierdza, że ku realizacji centralnej polskiej organizacji społecznej zmierzają prace podjęte przez Zarząd Główny Federacji Światowej SPK, mające na celu powołanie reprezentacyj krajowych oraz wysiłki SPK w W. Brytanii powołania miejscowych komitetów międzyorganizacyjnych.

W SPRAWIE MŁODZIEŻY I SPORTU

Sport jest dziedziną wielkiego zainteresowania młodzieży. Z tego powodu sprawa organizowania życia sportowego młodzieży, w szczególności tworzenia klubów oraz drużyn sportowych oraz zespołów młodzików winna być przedmiotem troski polskich organizacyj społecznych w W. Brytanii, zwłaszcza SPK.

Zjazd wzywa Zarządy wszystkich kół o poświęcenie tej akcji szczególnej uwagi, zarówno jeśli idzie o dziedzinę czysto sportową jak i wychowawczą.

TRZYLECIE FEDERACJI ŚWIATOWEJ SPK

W roku bieżącym upływa trzeci rok istnienia SPK w formie Federacji Światowej. Pragnąc uzyskać garść spostrzeżeń na ten temat, redaktor Kolumny Kombatanckiej odbył z Sekretarzem Generalnym Zarządu Głównego Federacji Kol. *Stanisławem Lisem* rozmowę, której treść przytaczamy:

P.: *Statut federacyjny naszego Stowarzyszenia uchwalony był w roku 1959 w atmosferze obaw, że nowe formy osłabią więź organizacyjną między poszczególnymi ogniwami krajowymi i władzami centralnymi. Czy życie potwierdziło te obawy?*

O.: Istotnie, w czasie dokonywania w r. 1959 dosyć głęboko sięgających zmian strukturalnych naszej organizacji, część delegatów podzielała te obawy. Praktyka jednak obaw tych nie potwierdziła. Nowe formy organizacyjne, które wyraziły się w pewnej decentralizacji wcale nie wpłynęły ujemnie na stosunki ogniw krajowych z władzami głównymi Federacji. Powiedziałbym, że mamy dane po temu, aby twierdzić, iż więź organizacyjna członów SPK tworzących pozornie luźny związek jest może nawet większa, aniżeli w latach poprzednich.

P.: *Mimo oddzielnych statutów, SPK w każdym kraju wykazuje całkowitą zbieżność dróg i celów działania. Czy można powiedzieć, że u podstaw tego zjawiska leżą w pierwszym rzędzie względy ideowe?*

O.: Poszczególne człony Federacji, którymi są organizacje SPK w 21 krajach wolnego świata, rządzą się własnymi statutami dostosowanymi do miejscowych warunków i wymogów prawa kraju osiedlenia. W ramach Statutu Głównego Stowarzyszenia posiadają one dużą autonomię. Formalnie więc istnieje dosyć luźny związek ogniwa krajowego z władzami centralnymi w Londynie. Faktycznie jednak związek ten, oparty o wspólną tradycję, o serdeczne koleżeństwo, o to, co możnaby nazwać wspólną ideologiczną żołnierskością, jest głęboki i silny.

Podstawą tej więzi są przede wszystkim założenia ideowe, którymi kierujemy się od powstania Stowarzyszenia, łączy nas nierozerwalnie wspólny cel, który postawiliśmy sobie przed wielu laty — jest nim walka o powrót Polski do rodziny wolnych narodów.

P.: *Ostatnio dosyć częste były kontakty osobiste członków Zarządu Głównego z ogniwami krajowymi SPK. Jakie obserwacje poczynił Kolega na temat roli SPK w naszym społecznym życiu emigracyjnym*

O.: SPK jest napewno jedyną zorganizowaną — w skali światowej — siłą społeczną na emigracji. Reprezentujemy i bronimy interesów nie tylko własnych członków lecz uchodźców polskich jako całości.

Bez posądzania nas o zarozumiałość, możemy stwierdzić, że ogniwa SPK we wszystkich niemal krajach wolnego świata są ostoją czynnej postawy niepodległościowej, że niezależnie od liczby członków danego ogniwa krajowego, SPK na wielu terenach polskiego osiedlenia odgrywa rolę kierowniczą w zorganizowanym życiu polskiej emigracji politycznej. SPK w wielu krajach oddaje duże usługi, może nie zawsze doceniane, na rzecz całości społeczeństwa emigracyjnego danego kraju. Nie trzeba być zbyt bystrym obserwatorem, aby dojść do wniosku, że w wielu krajach trudno sobie wyobrazić jakąkolwiek poważną działalność społeczną bez SPK.

Sposobność do poczynienia takich właśnie obserwacji dały mi osobiste kontakty, nawiązane z kolegami w poszczególnych krajach europejskich z okazji mojego udziału w dorocznych zjazdach organizacji krajowych.

Zarząd Główny Federacji zdaje sobie sprawę, że najlepszą formą łączności jest kontakt osobisty, żywy i bezpośredni. To też w ostatnim okresie dzięki dużemu wysiłkowi władz głównych udało się kontakty bezpośrednie nawiązać. Dały one wiele obustronnych korzyści, pozwoliły przedstawicielowi władz głównych poczynić cały szereg obserwacji i wyjaśnić lub załatwić niejedną sprawę.

P.: *Które kraje odwiedził Kolega w roku bieżącym?*

O.: W ostatnich kilkunastu miesiącach odwiedziłem Belgię, Francję, Holandię, Danię, Niemcy, Norwegię, Szwajcarię, Szwecję i Włochy. We wszystkich tych krajach spotkałem się z niezwykle serdecznym przyjęciem nie tylko ze strony Kolegów, członków SPK, ale i szerszych warstw społecznych. Wszędzie znalazłem potwierdzenie tych uwag i opinii, które pozwoliłem sobie wyrazić odpowiadając na poprzednie pytania, zadane mi przez kolegę Redaktora.

P.: *Czy mógłby Kolega powiedzieć jeszcze kilka słów o kontakcie z krajami zamorskimi?*

O.: Problem kontaktów bezpośrednich z organizacjami SPK w krajach zamorskich jest trudniejszy. Na przeszkodzie stoją — jak się nie trudno domyśleć — względy finansowe. Nie znaczy to, aby rzecz była niewykonalna. Zarząd główny rozważa tę sprawę i prawdopodobnie wystąpi z pewnymi sugestiami na walnym zjeździe Stowarzyszenia, który odbędzie się w przyszłym roku.

WALNE ZEBRANIE S.P.K. W ARGENTYNIE

Koledzy nasi z Argentyny odbyli swe walne zebranie 27 maja, w Buenos Aires. Dużym sukcesem na odcinku kulturalnym w ubiegłym roku było zdobycie pierwszego miejsca przez Zespół Baletowy „Naszego Teatru" na międzynarodowym konkursie grup tanecznych w Buenos Aires. Jest to zasługa nietrudzonej w pracy na tym polu kol. E. Niewiadomskiej, która w okresie wojny występowała w zespole „Polskiej Parady" w 2 Korpusie.

Po wysłuchaniu sprawozdań ustępującego zarządu, ożywionej dyskusji i udzieleniu absolutorium, zebranie dokonało wyboru nowych władz, do których weszli nast. koledzy: K. Baczewski — prezes; A. Kafliński i F. Przekładowski — wiceprezesi; K. Radzki — sekretarz; R. Ficek — zast. sekr.; L. Dall — skarbnik oraz A. Bukiet — zast.; E. Moroz — gospodarz; W. Baron, E. Nabożny, A. Protasewicz i A. Żeromski — członkowie.

W SPRAWIE ODSZKODOWAŃ DLA B. JEŃCÓW WOJENNYCH

Zjazd poleca Zarządowi SPK w W. Brytanii kontynuowanie na forum międzynarodowym akcji w sprawie odszkodowań dla byłych jeńców wojennych oraz informowanie zarządów kół o wynikach prac w tym kierunku.

W SPRAWIE ZJEDNOCZENIA POLITYCZNEGO

Zjazd SPK — organizacji niepodległościowej, skupiającej b. żołnierzy bez względu na ich przekonania w sprawach wewnętrzno-politycznych, apeluje do czynników politycznych o doprowadzenie do zjednoczenia politycznego, tak potrzebnego dla prowadzenia skutecznej walki o niepodległość.

Stefan Wóycicki

Ziemia przeznaczona

Powieść

„Bo nie ma ziemi wybieranej,
Jest tylko ziemia przeznaczona...“

(K. Wierzyński)

NO i co, szczeniak? — uśmiechnął się Zdziara. — Jakże ci się podoba Londyn?

Marek nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Wyręczył go Zalejski.

— Ciekawy eksponat — powiedział, uśmiechając się przypochlebnie. — Pompeje kapitalizmu.

Zdziara skrzywił się. Drażnił go „reakcyjno-inteligencki“, jak go określał, sposób wysławiania się Zalejskiego; najbardziej irytowało go to, że często nie rozumiał, co tamten właściwie chciał powiedzieć.

— Niewąskie miasto, co? — zwrócił się znowu do Marka, rozmyślnie ignorując Zalejskiego. — Gdzie tam naszej Warszawie do niego.

— Przeszło osiem milionów ludności. Drugie miasto na kuli ziemskiej pod względem ilości mieszkańców po Nowym Jorku — usłużnie podpowiedział Zalejski.

— Owszem, duże miasto — wahając się, odpowiedział Marek. — Ale liczba mieszkańców nie jest przecież taka ważna.

— Nie ważna? Poczekaj, bracie, do wojny. Jedna bomba wodorowa i fiut! skończyło się! Osiem milionów diabli wzięli! — zaśmiał się Zdziara. Zalejski zaniepokoił się:

— Nie tak głośno, kolego! Nie jesteśmy sami! — zauważył, rzucając nerwowe spojrzenie ku sąsiednim stolikom.

Zdziara śmiał się jeszcze głośniej.

— A cóż wy myślicie, że oni sami o tym nie wiedzą? Wiedzą, wiedzą — i pietra mają, jak cholera jasna!

Marek również rozejrzał się po sali.

— W głowie mi się nie chce pomieścić, że tu mieszka tylu Polaków. Co oni robią? Z czego żyją? A przede wszystkim, po co tu siedzą?

Zdziara uprzedził Zalejskiego, który właśnie zamierzał rozpocząć wykład:

— Widzisz, szczeniak, wszędzie są takie ofermy, co postawią na złego konia.

— Ależ wyścig się już skończył! — zaprotestował Marek.

Zdziara machnął ręką:

— Oni też to wiedzą, ale się nie chcą przyznać przed samymi sobą. Honor im, uważasz, nie pozwala.

— Kataklizmy i przeobrażenia historyczne — pośpiesznie wtrącił Zalejski. — Nie mogą obejść się bez ofiar. Takie jest prawo historii.

— No, ci tutaj na ofiary nie wyglądają! — sprzeciwił się Marek, ruchem głowy wskazując na salę.

— Pozory, kolego, pozory! — ciągnął Zalejski. — Bankructwo duchowe nie uwidacznia się zewnętrznie, ale tkwi głęboko, podgryza, niszczy!

Zdziara niechętnie popatrzył na Zalejskiego.

— Co tam będziecie szczeniakowi głowę zawracali bankructwem duchowym! Chłopak ma oczy, to widzi, że facet przy tamtym stoliku ma ubranko z prawdziwej wełny, a tamta babka futro. Ale co z tego? I tak są po złej stronie, tej, co przerżnęła. I tyle!

Zalejski nie chciał wdawać się w dyskusję. Wiedział doskonale, że zarówno swoje stanowisko w Ministerstwie Żeglugi, jak i wyjazdy zagraniczne zawdzięczał tylko i wyłącznie swojej wiedzy fachowej oraz usilnym staraniom przypodobania się przełożonym. Udało mu się zdobyć i utrzymać w popaździernikowej czystce legitymację partyjną, ale był na zawsze splamiony pochodzeniem z „klas posiadających“ i jego możliwości kariery były bardzo ograniczone.

Z zazdrością spojrzał na Marka — ten był młody, wcześnie przyłączył się do ruchu, nie obciążony dziedzicznie; przyszłość stała przed nim otworem. Zalejski poczuł się bardzo zmęczony. Wiedział, że cała jego lojalność dla „sprawy robotniczo-ludowej“ przydaje się tylko na tak długo, dopóki nie znajdą się nowi fachowcy z młodszego pokolenia, zdolni go zastąpić — a ta chwila przybliżała się z każdym rokiem. Nie ufano mu. Ot, chociażby taki Zdziara: każdym słowem, każdym spojrzeniem tryska z niego niechęć.

Tu chwycił go nagły gniew na Zdziarę i jemu podobnych: dureń, cham, który pewnie szkoły powszechnej nie skończył, ciemne bydlę, które by dawniej nie ośmieliło się przystąpić do niego z czapką na głowie, a dziś jest jego zwierzchnikiem!

Z zamyślenia wyrwał go głos Zdziary, który głośniej, niż by to zdaniem Zalejskiego należało robić, zwracał się do Marka:

— A co, mówiłem ci, szczeniak: trzymaj się Zdziary! Gdzie byłbyś dzisiaj beze mnie? W jakimś zasr... Żyrardowie czy innym Skarżysku dłubałbyś piórkiem po urzędowych papierkach, wysiadując dziury w ostatnich portkach, a tak, bracie, w delegacji zagranicę jeździsz. Spodziewałeś się tego?

— Sami wiecie, że nie! — skwapliwie zaprzeczył Marek. — Wiem przecież, ile wam zawdzięczam.

Zalejski skrzywił się nieznacznie. Ba, żebyż to on potrafił tak naturalnie, bez wysiłku się przymilać, tańczyć na dwóch łapkach przed tymi, od których wiele zależy!

— Dziedzicznie obciążony inteligent między swołoczą! — rozczulił się w myśli nad swoim losem i sięgnął po kieliszek. Trzeba korzystać, póki można i jak najmniej myśleć o tym, co może być dalej. Żebyż tylko ten cham przestał się wygłupiać na całą salę! Ludzie przy sąsiednich stolikach gotowi usłyszeć i zareagować — i awantura na całego. A Zdziara ani myślał przestawać.

— Uważasz, Marek — ciągnął dalej, jak zwykle pomijając zupełnie Zalejskiego. — Trzeba mieć jeszcze moje szczęście, żeby Holendrzy nie mogli się podjąć budowy tego tankowca. I teraz, bracie, siedzisz w lokalu w Londynie i ciągniesz whisky. Jak na filmie. Wdechowo, co?

Marek przytaknął. Lubił Zdziarę i odczuwał w stosunku do niego prawdziwą wdzięczność. Doskonale zdawał sobie sprawę, że bez jego opieki daleko by nie zaszedł. Zwłaszcza „rozejście się po kościach“ jego AKowskiej przeszłości w okresie powojennym nie byłoby możliwe bez interwencji Zdziary. Prawda, że ominęło go samo powstanie, gdy leżał chory u wuja w małej wsi podwarszawskiej na prawym brzegu Wisły, gdzie ogarnęła go fala czerwonej armii, więc nie miał na sumieniu „istotnych“ przewinien antyradzieckich, ale to przecież Zdziara pokierował jego losami. Zdziara przekonał go o nieuchronności komunistycznego przewrotu — za zgodą, czy bez zgody Polaków, Zdziara udowodnił mu bezsilność Zachodu, Zdziara popchnął go na właściwą drogę.

Było coś istotnie fantastycznego w tej karierze byłego maszynisty spacerowego statku wiślanego, który poprzez obozy sowieckie i dywizję Kościuszki wyjechał ostatecznie na stanowisko dyrektora departamentu w ministerstwie Żeglugi. Zdziara nie raz wspominał o swojej przedwojennej przynależności do partii, ale to już inna sprawa. W każdym razie jedna rzecz nie ulega wątpliwości: Zdziara mocno siedział w ministerstwie przed i po październiku. A jak długo Zdziara siedział mocno, tak długo Marek mógł być o swoją karierę spokojny. Ciepłym spojrzeniem ogarnął swego szefa, który na chwilę przestać mówić i z drwiącym uśmieszkiem wodził oczami po pełnej sali.

— O czym myślicie? — zapytał. Wprawdzie Zdziara zwracał się do niego zawsze per ty, albo per „szczeniak“, Marek zachowywał bezpieczny dystans i przy obcych mówił Zdziarze „wy“.

— O czym myślę? Zaraz ci powiem, szczeniak. Widzisz to całe bractwo naokoło, tych byłych dyrektorów, prezesów, naczelników? Przed wojną, jakbym wszedł w Warszawie do podobnego lokalu, to by mnie kelnerowi kazali za drzwi wyrzucić. Nie wierzysz? Zapytaj Zalejskiego. On to powinien doskonale wiedzieć.

Zalejski drgnął i usiłował się uśmiechnąć, ale mu się to zupełnie nie udawało. Zdziara przejechał po nim lekceważącym spojrzeniem i dalej mówił do Marka:

— Jeszcze by mi nawymyślali od chamów i bydlaków, prawda, towarzyszu Zalejski?

— Przesadzacie, przesadzacie. Nie każdy znowu był takim snobem — bronił się niezręcznie Zalejski. Zdziara nie zrozumiał i to mu zupełnie wystarczyło. Odwrócił się od Marka ku spłoszonemu inżynierowi:

— Mnie tam nie będziecie mówić, jaka to była demokracja w tej naszej przedwojennej Polsce! Robociarz i chłop byli „wy“, albo i „ty“, a inteligenty to już sami „jaśnie wielmożni panowie“. Czy wy myślicie, że ja nie widzę, jak was zła krew zalewa, że ja, — ten cham, ten prosty robociarz, mogę mówić do pana inżyniera przez „wy“, mogę mu kazać zrobić, co zechcę? A wy wszystko połknięcie, żebyście się mieli udławić, bo wasze czasy już się skończyły! Tak, towarzyszu Zalejski!

Marek nie chciał, żeby Zdziara swoimi humorami popsuł przyjemny wieczór.

— Co tam wspominać stare dzieje! — rzekł pojednawczo. — Napijmy się pod przyszłość.

Zdziara ochłonął od razu.

— Masz rację, Marek! Pod naszą przyszłość! — mocno zaakcentował „nasza“, wyzywająco patrząc przy tym na Zalejskiego.

Wypili. Marek zapalił papierosa — angielskiego! — i wygodnie odchylił się w tył na krześle. Był w tej chwili najzupełniej zadowolony z siebie i z całego świata. Jakoś nie udało mu się wyjechać zagranicę (to znaczy na Zachód, bo liczne wyjazdy do innych republik ludowych nie liczyły się) w okresie popaździernikowym, kiedy było o to znacznie łatwiej, ale za to teraz nareszcie jest w Anglii. A jak Zdziara dobrze głową pokręci, to kto wie, czy się nie uda zawadzić o Paryż w drodze powrotnej. Dobrze jest!

Jakiś kobiecy głos za nim odezwał się nagle:

— Pan Stopczyński?

Drgnął i o mało nie zrzucił na ziemię pustego kieliszka. Ależ tak! Pomyłka była wykluczona.

— Marysia?

Piwne oczy, krótki nos, pełna dolna warga — jakże dobrze pamiętał tę twarz z okupacyjnych kompletów szkolnych, z wiosennych spacerów pod rękę, z pełnej przejęcia i dziecinnej jeszcze konspiracji w A.K.

— Dawno przyjechałeś? Na długo? Po wojnie przecież byłeś w Kraju? A może uciekłeś? — Marysia zasypała go pytaniami.

Marek czuł na sobie rozbawiony wzrok Zdziary i ironiczne spojrzenie Zalejskiego, chociaż nie patrzył w ich stronę. Zaczęło mu być niewymownie głupio, zwłaszcza że towarzystwo przy sąsiednim stoliku zaczęło mu się bacznie przyglądać. Z zakłopotania nieoczekiwanie wybawił go Zdziara:

— Pani się myli. Towarzysz Stopczyński przyjechał tu w charakterze członka oficjalnej delegacji rządowej.

Radosny uśmiech Marysi roztopił się na jej wargach.

— Ale ty nie jesteś chyba komunistą? — zapytała z wahaniem.

Zdziara znowu wyręczył Marka:

— I jakim jeszcze, łaskawa pani! od czterdziestego piątego roku!

Marek miał zupełnie dosyć.

— Chodźmy stąd — powiedział ostro do towarzyszy i nie czekając na odpowiedź, zaczął się przeciskać ku wyjściu. Usłyszał za sobą głos Zdziary:

— Nie tak ostro! Poczekaj, aż zapłacę rachunek!

— Będę w szatni — rzucił przed siebie, nie odwracając głowy.

W szatni odetchnął głęboko. Psiakrew, co za pech! Że też musiał właśnie natknąć się na Marysię! Nerwowo zapalił następnego papierosa, spoglądając co chwila na drzwi, prowadzące na salę. Mogliby się pośpieszyć z tym płaceniem rachunku!

Drzwi otworzyły się, ale zamiast kolegów ukazała cię w nich Marysia.

— Marek — powiedziała stanowczo. — Ja chcę z tobą pomówić. Ale bez tych tam twoich towarzyszy. Będę na ciebie czekała na stacji kolejki podziemnej Marble Arch. Jutro o szóstej.

Marek wyjął papierosa z ust.

— Na co to potrzebne, Marysiu? Na pewno się nie dogadamy.

(c. d. n.)

APTEKA M. B. GRABOWSKI

RZETELNA POMOC Z rzetelnych RĄK

Gwarancję szybkiej dostawy i właściwego towaru, starannie skontrolowanego i opakowanego dać może tylko fachowiec.

„JEŚLI LEKI TO Z APTEKI“

Również wysyłamy do Polski i poza linię Curzona wszelkie inne towary stanowiące pomoc dla rodzin i bliskich.

M. B. GRABOWSKI

175, Draycott Avenue, London, S. W. 3. England.
Tel. KENsington 0750.

POPIERAJ POLSKIE FIRMY HANDLOWE!

BILETY
KOLEJOWE, SAMOLOTOWE, OKRĘTOWE
Formalności związane ze sprowadzeniem rodzin z Kraju oraz wyjazdy do Polski.
Szybko, sprawnie, tanio
załatwia
TAZAB TRAVEL Ltd
273, Old Brompton Road, LONDON, S. W. 5.
Tel. FRE 1186
MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.
Tel. Moss Side 4683
BIRMINGHAM 4
63, Dale End. Tel. Central 6260

ZBRODNIA KATYŃSKA
W ŚWIETLE DOKUMENTÓW
Wydanie trzecie — uzupełnione
Stron 300, fotografie, indeks.
Cena 35/-.
Do nabycia u wydawcy:
GRYF PUBLICATIONS LTD.,
171, BATTERSEA CHURCH ROAD, LONDON, S.W. 11
i we wszystkich księgarniach polskich.

CZYTAJ POLSKĄ KSIĄŻKĘ

Odroczenie rokowań ze Wspólnym Rynkiem

(Dokończenie ze str. 3)

rolnictwa Nowej Zelandii. Opracowano nawet podstawy kompromisu. Lecz, gdy francuski minister spraw zagr. zażądał ustalenia kompensat finansowych, Anglicy odrzucili tę propozycję. Wówczas Francuzi zaproponowali odroczenie.

Sprawy rolne nastręczają w ogóle państwom zachodnim wiele kłopotów: Przypominamy, że 6 państw Wspólnego Rynku, bez W. Brytanii, miało wiele trudności, by na początku tego roku uzgodnić wspólną politykę rolną. Zawsze powstawało zagadnienie zbytu dla produktów rolnych Francji. W żadnej też sprawie W. Brytania nie staje tak jaskrawo wobec zagadnienia wyboru między Europą Zach. a własną Wspólnotą, jak właśnie w sprawie rolnej.

Odroczenie rokowań stawia rząd brytyjski w dość trudnej sytuacji. Niebawem odbędzie się w Londynie zjazd premierów Wspólnoty Brytyjskiej, którym zamierzano przedstawić już konkretne warunki przyjęcia W. Brytanii do Wspólnego Rynku. Później, na jesieni nastąpi zjazd Partii Konserwatywnej, która miała dać zgodę na ostateczną decyzje rządu brytyjskiego. Tymczasem p. Macmillan nie będzie miał wystarczających danych, by na Zjazdy te przybyć z ostateczną decyzją.

Co prawda, p. Heath, stwierdził, że odroczenie narad brukselskich nie daje powodu do odwołania zjazdu premierów Wspólnoty. — Wręcz przeciwnie — będą się oni mogli wspólnie zastanowić nad niemałymi osiągnięciami dotychczasowych rokowań oraz nad zarysowanym już planem porozumienia w sprawach rolnych. W *„Timesie"* ukazał się artykuł uspakajający, tłumaczący, że odroczenie sprawia „zawód", ale nie powinno ono prowadzić do wniosków zbyt posępnych. W każdych rokowaniach powstają takie sytuacje bez wyjścia, z których jakieś wyjście w końcu się znajduje.

Lecz opinia brytyjska jest w sprawie Wspólnego Rynku podzielona. Byli premierzy Atlee, i Eden wypowiedzieli się wyraźnie przeciw wstępowaniu do Wspólnego Rynku na zarysowujących się warunkach. Opozycję, dość umiarkowaną zresztą, prowadzi też kierownictwo Labour Party. Część prasy brytyjskiej sprzeciwia się gwałtownie, choć tak wpływowe pismo, jak *„Times"*, *„Sunday Times"*, *„Observer"* — opowiadają się wyraźnie za Wspólnym Rynkiem.

W *„Sunday Times"* ukazał się artykuł p.n.: „Rozbicie rokowań nie do pomyślenia", w *„Observer"* p.t.: „Dlaczego teraz powinniśmy przystąpić". Jest rzeczą ciekawą, że również w prasie francuskiej odzywają się głosy, przypisujące motywy głównie taktyczne oponentom Wspólnego Rynku w W. Brytanii. Ostatecznie chodzi o niemałe interesy finansowe i każde państwo musi dbać o najlepsze dla siebie warunki. Rozstrzygać jednak będą w końcu motywy polityczne. W tym duchu rokowania będą toczyły się nadal, choć wczesnych wyników nie można oczekiwać.

Wielka Brytania jest o tyle w gorszym położeniu, że to ona zgłasza się do Wspólnego Rynku. Wyraźnie to zresztą powiedziano p. Heathowi, że to Anglia prosi o przyjęcie jej do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej — a nie Wspólny Rynek wprasza się do Brytyjskiej Wspólnoty.

W każdym razie z dotychczasowego przebiegu zawiłych rokowań wynika jasno, że siłą kierowniczą Wspólnego Rynku oraz mocarstwem, które stawia czoło Anglii w pertraktacjach, jest przede wszystkim Francja. Nonsensowe twierdzenia, które znalazły wyraz nawet na łamach prasy emigracyjnej, że pozycja Francji osłabła wskutek jej polityki algierskiej — nie znajdują potwierdzenia ani w faktach, ani w opinii ludzi poważnych i doświadczonych.

DYMISJA ambasadora amerykańskiego w Paryżu gen. Gavin'a (wybitnego spadochroniarza) wywołała duże wrażenie, przychodziła bowiem bezpośrednio po ustąpieniu gen. Norstada. Motywem podstawowym decyzji ambasadora były względy finansowe. Kongres amerykański stosunkowo skąpo wynagradza ambasadorów Stanów Zjednoczonych, licząc na to, że zwłaszcza koszta reprezentacyjne, nieraz bardzo poważne — pokrywać będą oni z własnej szkatuły. Prezydenci Stanów mianują dlatego na czołowe stanowiska dyplomatyczne znanych milionerów, businesmanów, którzy oddali usługi Partii Republikańskiej bądź Demokratycznej. W liście do prez. Kennedy'ego amb. Gavin wręcz oświadczył, że musi zadbać o swoje interesy prywatne.

Ponadto jednak, jako „osobisty przyjaciel prezydenta Kennedy'ego", wskazał w swym liście na wzrost znaczenia Francji w ciągu ostatnich kilku lat. Wpłynęło na to przede wszystkim, zdaniem ambasadora Gavin, załatwienie zagadnienia algierskiego, zgodne z poglądami Ameryki. Stosunki między Francją i Ameryką, pisał ambasador, ulegały dalszej „ewolucji" wskutek wykonywania przez Francję jej „narodowego programu nuklearnego" i zwiększającego się ciągle znaczenia Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Niektóre wynikające stąd różnice między Francją i Ameryką dały się załatwić, ale zdaniem ambasadora, „nie ulega wątpliwości, że nasze taktyki, dotyczące zagadnień codziennych, będą od czasu do czasu różne". Gen. Gavin chciałby pozostać doradcą prezydenta Kennedy'ego w sprawach francuskich i europejskich. Prezydent się na to zgodził.

Prasa francuska żegna ambasadora amerykańskiego z żalem, dowodząc, że słuchał on zawsze uważnie argumentacji gen. de Gaulle'a i że często był orędownikiem w Waszyngtonie postulatów francuskich. *„Le Monde"* stwierdza, że główna różnica zdań między Francją i Ameryką dotyczy wciąż spraw nuklearnych. Ameryka, jak wiadomo, nie zamierza wydać Francji tajemnic atomowych, ale, dzięki staraniom ambasadora Gavin, gotowa jest udzielić i udziela Francji pomocy technicznej, co zmniejsza koszty budowy francuskiej siły uderzeniowej *„force de frappe"*. Mimo to pisał *„Le Monde"*, daremnie byłoby ukrywać, że w tej sprawie istnieje duża różnica poglądów między prezydentem i ambasadorem."

ROZWIĄZANIE sprawy algierskiej i dalszy jej przebieg od czasów układów w Evian wywyższyło a nie osłabiło Francję. Niepodległość Algerii i wycofanie się z jej polityki wewnętrznej Francji, doprowadziło do gorszącej walki domowej między przywódcami muzułmańskimi, i do wzrastającego chaosu w całym kraju, który mimo przeszło siedmioletniej wojny z Francją, nie może dojść do równowagi. Prowizoryczna egzekutywa w Algierze, która na zasadzie układów w Evian ma sprawować władzę do czasu powołania rządu w wyniku wyborów, (odłożonych do 3 września) oraz t.zw. tymczasowy, powstańczy rząd algierski który kierował walką z Francją przez długie lata — nie mają dziś niemal żadnego autorytetu, wskutek wewnętrznego rozbicia. Są bezsilnymi widzami sawowolnych poczynań poszczególnych jednostek.

Walka toczy się z grubsza biorąc między siłami, które reprezentują dwaj ludzie: Ben Khedda, przewodniczący rządu tymczasowego i zwolennik oparcia się na społeczeństwie oraz instytucjach przez niego powołanych i Benbella, rewolucjonista, długoletni więzień Francji, uchodzący za „silnego człowieka" w Algerii. Chce on opierać się w dalszym ciągu na byłej podziemnej organizacji wojskowej, która wytworzyła się w czasie ostatniej wojny we Francji.

Benbella na razie bierze górę. Przybył wreszcie do stolicy, entuzjastycznie witany. Ben Khedda wydał natomiast obszerne oświadczenie polityczne, o tragicznym położeniu Algerii.

„Le Monde" nie bez słuszności podkreśla wartość tego dokumentu, zarówno gdy chodzi o jasność stylu, myśli, jak i o logikę rozumowania. Znać, że autor tego orędzia jest wychowankiem uniwersytetów francuskich. Wytykając różne tragiczne błędy samych Algierczyków, wspomina on i o działaniach „przeciw cudzoziemcom, Europejczykom, których kraj nasz potrzebuje i przeciw Francuzom, których obecność w Algierii jest zgodna z układami w Evian". Wszystko to, zdaniem Ben Kheddy przynosi „poważne szkody Algierii, z punktu widzenia moralnego i gospodarczego i gotowe obniżyć powagę rewolucji algierskiej w opinii świata".

Jednocześnie tymczasowa egzekutywa algierska, zwróciła się do rządu francuskiego o szybkie przyznanie jej pożyczki na sumę 70 milionów dolarów, na pilne potrzeby! Gdzie tu mówić o obniżeniu autorytetu Francji? W dzisiejszych czasach mocarstwa nie zdobywają autorytetu przez utrzymywanie przestarzałych metod kolonialnych.

Do sporów wewnętrznych w Algierii, Francja zresztą zupełnie się nie miesza, za wyjątkiem, gdy chodzi o bezpieczeństwo jej obywateli. Jest to taktyka, której nie można odmówić mądrości.

A tymczasem Związek Sowiecki wznowił serię wybuchów nuklearnych w pobliżu Nowej Ziemi. Jednocześnie rozbudowuje swoją flotę podwodną, złożoną z okrętów atomowych. *„Le Monde"* podał do wiadomości p.t.: „Związek Sowiecki wzmaga swe wysiłki wojskowe". Dzieje się to niejako na marginesie niekończących się obrad rozbrojeniowych w Genewie, które do niczego nie prowadzą, mimo, że Stany Zjednoczone zrobiły dalsze ustępstwa w sprawie zawieszenia prób atomowych. Utrzymując w zasadzie międzynarodową kontrolę nad próbami atomowymi, rozluźniły ją znacznie pod pozorem, że współczesne osiągnięcia naukowe i najnowsze aparaty pozwalają dokładniej wykrywać wybuchy, bez potrzeby udawania się na teren danego kraju. Powstaje jednak pytanie, czy Rosja Sowiecka chce jakiegokolwiek układu, zabraniającego dokonywania próbnych wybuchów atomowych? Wszystko wskazuje na to, że zamierza ona dalej z całą energią i bez przeszkód przeprowadzać nadal swe zbrojenia atomowe.

R. P.

ZŁOTY MEDAL DLA POLSKIEGO MALARZA

Malarz polski, Józef Herman, lat 51, otrzymał złoty medal za malarstwo poświęcone Walii. Medal wręczony został na otwarciu dorocznego festiwalu sztuki walijskiej w Llanelly w hrabstwie Carmarthem. Herman mieszkał w Walii 10 lat i malował głównie pejzaże wiejskie Walii oraz górników i ich rodziny. Jego studio znajdowało się w starej fabryce w Ystradgynlais w hrabstwie Glamorgan. Herman mieszka obecnie w Londynie. Herman przybył do Walii po wojnie jako uchodźca. Był protest, iż nagrody nie przyznano artyście walijskiemu, później jednak protestu nie podtrzymano.

PRASA Z POLSKI W 124 KRAJACH

Prasa z Polski — jak informuje „Życie Warszawy" — wysyłana jest do 124 krajów. 50 spośród 828 tyt. — to dzienniki. Spośród nich reżymowe przedsiębiorstwo „Ruch" wysyła najwięcej „Trybuny Ludu", która jak wiadomo jest centralnym organem partii komunistycznej w Polsce i dociera do różnych krajów w ilości 17,000 egzemplarzy dziennie. Łączny nakład wszystkich pism wysyłanych z Polski za granicę wynosi obecnie ponad 703,000 egzemplarzy.

„Rekordową poczytnością za granicą — pisze „Życie Warszawy" — cieszy się miesięcznik „Polska" wydawany w kilku obcych językach. Wysyłamy w świat 200,000 egzemplarzy tego pisma miesięcznie... Notowane rekordy poczytności bije „Film" — tygodniowo wysyłamy 62,000 egzemplarzy oraz „Ekran" — 60,000 egz. Następne miejsca na liście naszych tygodników zajmują: „Kobieta i Życie" — 27,000 egz., „Przekrój" — 25,000 egz. i „Przyjaciółka" — 16,000 egzemplarzy. Dużym zainteresowaniem cieszą się w wielu krajach świata polskie miesięczniki, kwartalniki i inne periodyki naukowe". (FEC)

KRONIKA TYGODNIA

28 lipca

Negocjacje prowadzone w Brukseli o przystąpienie W. Brytanii do Wspólnego Rynku zostały przerwane. Nie znaleziono formuły kompromisowej w sprawie importu produktów rolniczych z krajów Wspólnoty Brytyjskiej.

29 lipca

W poselstwie rumuńskim w Londynie nastąpił tajemniczy wybuch skutkiem czego jedna kobieta poniosła śmierć a dwie są w szpitalu. Urzędnicy komunistyczni odmawiają policji brytyjskiej pozwolenia na przeprowadzenie dochodzeń.

30 lipca

Znaczny zespół posłów labourzystowskich i silna grupa konserwatystów rozpoczęła gwałtowną akcję przeciwko przystąpieniu W. Brytanii do Wspólnoty Europejskiej.

31 lipca

W ślad za Manchesterem i innymi miejscowościami także w Londynie wybuchły rozruchy spowodowane prowokacyjnymi wystąpieniami publicznymi zwolenników Mosleya i innych organizacji faszystowskich i rasistowskich.

1 sierpnia

Już czwartą noc trwały w Helsinkach demonstracje antykomunistyczne przeciwko Światowemu Festiwalowi Młodzieży, odbywającemu się w stolicy Finlandii a organizowanemu przez Moskwę.

W Warszawie zmarł w wieku lat 73 jeden z najstarszych dziennikarzy Henryk Butkiewicz, b. redaktor „Kuriera Lwowskiego" i warszawskiego „Expressu Porannego".

2 sierpnia

W stolicy Gany, Accara, dokonany został zamach bombowy na prezydenta państwa, Nkrumah. 4 osoby straciły życie, 53 odniosły rany. Prezydent wyszedł z zamachu bez szwanku.

3 sierpnia

Na karę śmierci skazany został w Warszawie przez sąd reżymowy Jerzy Bryn, b. pierwszy sekretarz pewnej komunistycznej placówki dyplomatycznej za „zdradę sanu". Bryn został odwołany ze swego stanowiska po stwierdzeniu przez wywiad, iż „przekazywał ważne informacje zawierające tajemnice państwowe".

4 sierpnia

W wyniku tajemniczego wybuchu w poselstwie rumuńskim w Londynie dwie osoby poniosły śmierć a 3 kobiety i 1 mężczyzna odnieśli rany. Zwłoki drugiej ofiary przewieziono także samolotem „Iljuszin" do Bukaresztu — jako „bagaż dyplomatyczny".

Księżniczka Małgorzata wzięła w imieniu królowej udział — wraz z mężem — w wielkich uroczystościach uzyskania niepodległości przez Jamajkę.

5 sierpnia

Toczące się w Brukseli rozmowy między państwami Wspólnego Rynku Gospodarczego a W. Brytanią w sprawie przyjęcia W. Brytanii do Wspólnoty zostały — na skutek zastrzeżeń delegacji francuskiej — przerwane.

Rosja Sow. rozpoczęła nową serię wybuchów z bombami atomowymi na Nowej Ziemi. Rząd amerykański nazwał te doświadczenia „ponurym epizodem" i wezwał do podpisania układu o wstrzymaniu doświadczeń atomowych.

Na skutek nadmiernej ilości zażycia środków nasennych zmarła w Los Angeles sławna aktorka Marilyn Monroe, lat 36. Aktorka popełniła prawdopodobnie samobójstwo.

6 sierpnia

Do Anglii przemycił się przywódca hitlerowców amerykańskich, Lincoln Rockwell. Poszukuje go policja angielska. Rockwell przyleciał do Anglii z portu irlandzkiego Shannon i w ten sposób nie musiał przedstawiać paszportu.

W czasie ostatniego week-endu i wolnego od pracy poniedziałku zginęło na drogach w wypadkach samochodowych w W. Brytanii 56 osób (w ub. rok w tym samym czasie 45), natomiast we Francji aż 137 osób.

CENA EGZEMPLARZA: w W Brytanii sh 1/3. — we Francji NF 0.75. — w Austrii 1.60 Sch — w Belgii 7 fr. b. — w Holandii 60 cent. w Niemczech 60 Pf. — w Portugalii 3 esc — w Szwecji 90 öre — we Włoszech 60 lir. — w Australii A 1sh 9d. — w Argentynie $0.20 (w przeliczeniu). — w Kanadzie 20 cent. — w Stanach Zjednoczonych 20 cent. — w Szwajcarii 60 rp.

PRENUMERATA (opłata za przesyłkę lotniczą wg taryfy płatna z góry) Zamówienia i należności przyjmują: W W BRYTANII: „Gryf" Publications Ltd 169-171 Battersea Church Rd London S W 11; miesięcznie 6/- kwartalnie 16/6 rocznie £3.0.0 Zmiana adresu 1s. — W BELGII: miesięcznie frb 25; kwartalnie frb 75; Mrs J Korab-Brzozowska-Csaky 116 rue Joseph II Bruxelles 4; wpłacać na rachunek pocztowy: J Korab-Brzozowska-Csaky nr 7315 20 podając swój dokładny adres — FRANCJA: N.F.: kwart 5.00, półr 10.00 rocznie 28.00 Admin „Syreny" 20 rue Legendre Paris 17 Konto poczt: Edit El KA Paris 5507-30; „Libella" Libraire 12 rue St Louis-en-l'Ile Paris 1V; z konta poczt Paris cc 565150 Francja Północna: inż Eugeniusz Tuszewski 107 rue Royale Lille (Nord) tel 558-50 Dep Bouches-du-Rhône, Var, Vaucluse: Stefan Horodyński Ecole des Filles, La Penne sur Huveaune (Bouches-du-Rhône) — W HOLANDII: mies fl 2.00 kwart. 5.50, wpłacać przek poczt.: Fr. Malecki Tulpenlaan 17 Lindenheuvel, Geleen (L.). — W NIEMCZECH: Stanisław Mikiciuk (13b) München 45, Gablonzerstrasse 7/1. — W NORWEGII: koron: mies 4, kwart 10, rocznie 36; Narvesens Kiosk Kompanii Post box 115, Oslo. — W PORTUGALII: kwart 35 esc., rocz 120; A Zieliński Lisboa Central Caixa Postal Nr 110 — W SZWAJCARII: fr.szw mies 2.00 kwart 5.50; Maria Wasung 6, rue des Lilas Genève i Janusz Rakowski Mainaustr. 28 Zurich — W SZWECJI: koron: mies 3.60, kwart 10 rocznie 36; Polski Komitet Pomocy Jungfrugatan 30/II Stockholm — W WŁOSZECH: lirów: kwart 700; W Zahorski Associazione Combatt Polacchi Via Licia 19-9 Roma; należność wpłacać przekazem pocztowym — W ARGENTYNIE: prenumerata roczna $8.00 (w przeliczeniu); Tadeusz Dąbrowski „Libreria Polaca" Serrano 2076 Buenos Aires — W BRAZYLII: półrocznie $4.00 rocznie $8.00. — W AUSTRALII: „Vistula" (Australia) Pty Ltd Daking House Rawson Place, Sydney; „Społem" 64 Tapleys Hill Rd Royal Park Adelaide S.A.; R Gronowski 23, Clifton Str., Richmond E. 1 Vic. kwart £1.0.0A rocznie £3.15.0A. W KANADZIE: rocznie $8.00; „Gryf" London — W Pt.D AFRYCE: kwart 16/6 rocznie — 60/-; prenumeratę przyjmuje bezpośrednio „Gryf" Publications Ltd — W STANACH ZJEDNOCZONYCH: Prenumerata kwartalna: $2.10 półroczna: $4.00 Przedstawicielstwa: „Gryf Publications" W Bieńkowski 738 Hampton A Schenectady N.Y., Polish American Book Co., 1136 Milwaukee Ave. Chicago 22 Ill.; „Księgarnia Ludowa" L Żukowski 5347 Chene St., Detroit 11, Mich USA; Polska Składnica Taniej Książki „Polinvalco" 2109 Robinwood Avenue Toledo 2 Ohio

CENA OGŁOSZEŃ: za jeden cal przez jeden łam £1.5.0, wzgl 1 cm przez jeden łam 7.50 NF. Przyjmuje: GRYF PUBL. LTD. 171 Battersea Church Rd., London, S.W.11; Adm „Syrena" 20, rue Legendre Paris 17 tel WAGram 0045; Carlton Berry Ltd Gr Buildings Trafalgar Sq., London W C. 2; lub Odra Press Ltd. 20 Queens Gate Terrace S W 7. Tel KNI 6855.

Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca

Za treść ogłoszeń Redakcja nie bierze żadnej odpowiedzialności

Adres Redakcji i Administracji:

„Gryf" 171, Battersea Church Rd. London, S.W.11. Tel. BATtersea 1445.

We Francji: „Syrena" 20 rue Legendre, Paris 17 Tel. WAGram 0045.

Konto pocztowe: Editions El KA c.c. Paris 5507-30.

Printed and published by „Gryf Printers (H.C.) Ltd." 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Registered at the G.P.O. as a newspaper.